

Willa Cather

MOJA ANTONIA

przełożyła Ryszarda Grzybowska

Wstęp

Tak się złożyło, że latem ubiegłego roku, w okresie wielkich upałów, przemierzałam lowę pociągiem, którym jechał też Jim Burden. Jesteśmy starymi przyjaciółmi, wychowaliśmy się w tym samym mieście w Nebrasce i niemało mieliśmy sobie do powiedzenia. Pociąg mknął pośród bezkresnych mil dojrzałej pszenicy, pośród miasteczek i barwnie ukwieconych łąk, pośród dębowych gajów więdnących w słońcu, a my siedzieliśmy w pierwszym wagonie, w którym ławki były tak rozgrzane, że aż parzyły, a wszystko pokrywała gruba warstwa czerwonego pyłu. Upał i gorący wiatr, i pył obudziły w nas wspomnienia. Rozmawialiśmy o tym, jak wygląda dzieciństwo w takich małych miasteczkach, ukrytych w pszenicy i kukurydzy, w klimacie o skrajnych przeciwnościach: gorące lata, podczas których świat się zieleni i faluje pod olśniewającym niebem, a człowieka aż dech zapiera od roślinności, barw, ostrej woni tytoniu i bujnych zbóż; mroźne zimy, z niewielką ilością śniegu, kiedy cała kraina jest ogołocona ze wszystkiego i szara jak stalowa blacha. Zgodziliśmy się, że ktoś, kto nie wychował się w małym miasteczku na prerii, nie może mieć o tym wszystkim najmniejszego wyobrażenia. Stwierdziliśmy, że jest to pewnego rodzaju masoneria.

Choć zarówno Jim Burden, jak i ja mieszkamy w Nowym Jorku, nieczęsto się widzimy. Jim jest radcą prawnym w jednym z wielkich Zachodnich Towarzystw Kolejowych i często wyjeżdża na całe tygodnie. To jeden z powodów, dla których się rzadko widzimy. Poza tym, nie lubię jego żony. Jest przystojna, energiczna, samodzielna, ale mnie wydaje się zimna i niezdolna do jakiegokolwiek entuzjazmu. Spokojne upodobania jej męża tylko ją irytują, jak sądzę, i uznała, że lepiej grać rolę patronki młodych poetów i malarzy o postępowych ideach i miernym talencie. Ma swój własny majątek i jest niezależna. Z jakichś jednak względów chce być panią Burden.

Jeśli chodzi o Jima, to rozczarowania go nie zmieniły. Romantyczne usposobienie, z powodu którego jako chłopiec często wydawał się tak zabawny, walczyło przyczyniło się do jego sukcesu. Kocha gorąco tę wielką krainę, przez którą biegnie i rozgałęzia się kolej. Jego wiara w nią i wiedza wydatnie wpłynęły na jej rozwój.

Podczas tego upalnego dnia, kiedy jechaliśmy przez lowę, w rozmowie naszej ciągle powracaliśmy do najważniejszej postaci: \czeskiej dziewczyny, którą niegdyś znaleźliśmy oboje. Upamiętniła \nam się najbardziej ze wszystkich, stała się dla nas symbolem tej \krajiny, wszystkiego, co nas otaczało, i całej przygody naszego \dzieciństwa. Straciłam ją zupełnie z oczu, ale Jim odnalazł ją po lwielu latach i odnowił z nią przyjaźń, która tak wiele dla niego lznaczyła. Tego dnia myślał tylko o niej. Sprawił, że znowu ją | ujrzałam, czułam jej obecność, odżyło we mnie dawne do niej przywiązanie.

- Od czasu do czasu spisuję to, co zapamiętałem o Antonii - zwierzył mi się. - Podczas długich podróży przez tę krainę zabawiam się w ten sposób w swoim służbowym przedziale.

Powiedziałam, że chętnie bym to przeczytała, na co odparł, że z pewnością pokaże mi... jeżeli kiedykolwiek skończy.

Po kilku miesiącach, któregoś zimowego popołudnia podczas zawiei śnieżnej, Jim odwiedził mnie w moim mieszkaniu i przyniósł ze sobą prawniczą aktówkę. Wszedł z nią do salonu i rozgrzewając ręce powiedział:

-Oto dzieje Antonii. Czy w dalszym ciągu chcesz przeczytać? Skończyłem wczoraj wieczorem. Nie miałem czasu, żeby to uporządkować. Napisałem po prostu, i to całkiem sporo, o wszystkim, co łączy się z jej imieniem. Chyba nie ma to żadnej formy. Nie dałem też tytułu. - Wszedł do sąsiedniego pokoju, usiadł przy moim biurku i na wierzchu aktówki napisał "Antonia". Zmarszczył jednak czoło, po czym dopisał na początku drugie słowo i tak powstała "Moja Antonia". To go chyba zadowoliło.

KSIĘGA PIERWSZA

Szimerdowie

i

Po raz pierwszy usłyszałem o Antonii podczas nieskończenie długiej, jak mi się zdawało, podróży poprzez wielkie równiny środkowej części Ameryki Północnej. Miałem wtedy dziesięć lat; w przeciągu jednego roku straciłem i ojca, i matkę, a moi krewni z Wirginii wysłali mnie do dziadków mieszkających w Nebrasce. Opiekował się mną w podróży chłopiec z gór, Jake Marpole, jeden z pomocników mego ojca na starej farmie pod Blue Ridge, który teraz jechał na zachód, żeby pracować u mego dziadka. Jake miał niewiele bogatszą niż ja wiedzę o świecie. Nigdy nie jechał pociągiem, aż do owego ranka, kiedy to obaj wyruszyliśmy, aby spróbować szczęścia w nowym świecie.

Całą drogę przebywaliśmy pociągiem osobowym, a po każdym nowym etapie podróży przyklepiała się do nas coraz grubsza warstwa brudu. Jake kupował wszystko, co mieli do zaoferowania sprzedawcy gazet: cukierki, pomarańcze, mosiężne guziki do kołnierzyków, breloczki do zegarków, a dla mnie "Życie Jesse Jamesa", którą do dzisiaj uważam za jedną z najprzyjemniejszych książek, jakie kiedykolwiek czytałem. Od Chicago jechaliśmy pod opieką przyjacielskiego konduktora. Znał on dobrze krainę, do której zmierzaliśmy, i w zamian za nasze zaufanie udzielał wszelkich rad. Wydawał się nam człowiekiem doświadczonego i światowego, który był wszędzie; w rozmowie swobodnie posługiwał się nazwami odległych stanów i miast. Nosił pierścienie, spinki i odznaczenia różnych bractw, do których przynależał. Nawet na spinkach u mankietów miał wygrawerowane hieroglify, a w ogóle było na nim więcej różnych napisów niż na egipskim obelisku.

Pewnego razu, kiedy przysiadł na pogawędkę, powiedział

nam, że w wagonie dla migrant/w je»t jakaś rodzina “zza morza” i jedzie do tego samego miejsca, co i my,

•-- Nikt z nich nie mówi po angielsku, oprócz malej dziewczynki, która zresztą potrafi tylko powiedzieć: “My jechać Black Hawk, Nebraska”, Niewiele jest starsza od ciebie, może ma dwanaście albo trzynaście lat, a świeża jak jabłuszko. Może pójdziesz ją zobaczyć, Jimmy? Ma takie śliczne brązowe oczy!

Onieśmielony tymi słowami potrząsnąłem głową i zabrałem się do czytania “Jeune Jamesa”, Jake przyznał mi rację i powiedział, że od tych obcych tylko się łapie choroby.

Nie pamiętam przejazdu przez rzeki Missouri, nie pamiętam nic z tego długiego dnia podróży przez Nebraskę, Najprawdopodobniej przekraczałem już tyle rzek, że całkiem na nie zobojeźniałem, Najbardziej jednak znamienne było to, że przez cały długi dzień była to wciąż Nebraska,

Spałem już od doć dawna, skulony na ławce wyścielonej czerwonym pluszem, gdy przyjechaliśmy do Black Hawk, Jake zbudził mnie i wziął za rękę, Wytaszczyliśmy się z pociągu na drewniany peron, po którym biegali mężczyźni z latarkami, Nic mogłem dostrzec żadnego miasta ani nawet odległych świateł; otaczała nas nieprzenikniona ciemność, Lokomotywa dyszała ciężko, zmęczona długą podróżą, W czerwonym blasku padającym z paleniska lokomotywy ujrzałem stłoczona na peronie grupkę ludzi z tobołkami i pudłami. Wiedziałem, że musi to być rodzina imigrantów, o której opowiadał nam konduktor. Kobieta miała owinięty wokół głowy szal z frędzlami, a w ramionach trzymała niewielki metalowy kuferek, który tuliła do siebie niczym dziecko, Był leż starczy mężczyzna, wyaoki i przygarbiony, Dwaj podrośnięci już chłopcy i dziewczyna trzymali owinięte w ceratę tobołki, a mała dziewczynka tuliła «ię do matczynej spódnicy. Zbliżył się do nich mężczyzna z latarką, zaczął coś mówić i wykrzykiwać. Nastawiłem uszu, bo po raz pierwszy w życiu słyszałem obcą mowę.

Zbliżyła się następna latarka i rozległ się głos, w którym brzmiała lekka kpina: Halo, czy to wy przyjechaliście do pana liurdena? Jeśli tak, to właśnie mnie poszukujecie.

Jestem Otto f uch*. Pracuję u pana Burdena i mam was zawieźć do niego, Jimmy, nie boisz *ię, że przyjechałeś tak daleko na zachód?

Spojrzałem z zainteresowaniem na tę nową twarz w iwietJe latarki, Musiał chyba %płynąć wprost ze stronic „Jamesa”, Miał na głowie sombrero z szerokim skórzanym paskiem i błyszczącą sprzączką, a końce jego wąsów, sztywno podkręcone do góry, przypominały malutkie rogi. Wydał mi wę człowiekiem żywotnym i srogim, mu%iał mieć za sobą bujną przeszłość, Długa szrama przecinała mu policzek i podciągała kącik ust złowieszczym zawijaszem. Lewe ucho od góry miał ścięte, a skórę brązową jak Indianin, Była to niewątpliwie twarz szaleńca, Kiedy tak chodził po peronie w butach na wysokich obcasach szukając naszych kufrów, zauważyłem, że jest niewysoki, szybki, mocny i zwinny. Powiedział nam, że mamy przed tobą długą, całonocną podróż, więc lepiej, żebyśmy już wyruszyli. Poprowadził nas do bariery, u której przywiązane były dwa wozy; na jednym z nich siedziała już stłoczona rodzina cudzoziemców, drugi przeznaczony był dla nas, Jake usiadł na przedzie obok Otto Kuchta, ja zaś jechałem na słomie ułożonej na wozie, przykryty bawołą skórą. Imigranci z turkotem ruszyli w ciemność, a my tuż za nimi.

Próbowałem zasnąć, ale wóz tak podskakiwał, że przygryzałem sobie język, i wkrótce byłem cały obolały. Słoma się ugniotła, a moje legowisko zrobiło się twarde. Wysunąłem %ię ostrożnie spod bawolej skóry i uklękawszy usiłowałem wyglądać ponad boczną ścianę wozu. Zdawało się, że nie ma nic do oglądania: żadnych płotów, strumyków ani drzew, żadnych wzgórz ani pól. Jeżeli nawet była tu droga, to ja jej nie

mogłem wypatrzeć w nikłym blanku gwiazd. Była tu tylko ziemia, nawet nie kraina, tylko materia, z której powstają krainy, fak, była tu tylko ziemia - lekko falista, a wiedziałem to dlatego, że nasze koła ocierały się o hamulec, gdy zjeżdżaliśmy w dół i podjeżdżaliśmy pod górę. Odnosiłem wrażenie, że świat zo*tał daleko po/a nami, że przekroczyliśmy jego kraniec i znaleźliśmy się po/a zasięgiem ludzkiej jurysdykcji. Jeszcze nigdy w życiu

nie spoglądałem na takie niebo, żeby na jego tle nie rysowało się jakieś znajome pasmo górskie. Było to sklepienie niebieskie w całej pełni. Nie mogłem uwierzyć, aby ojciec i matka patrzyli na mnie z tego nieba; wciąż pewnie szukają mnie pośród stada owiec nad potokiem albo na białej drodze prowadzącej w stronę górskich pastwisk. Nawet ich duchy pozostawiłem za sobą. Wóz podskakiwał wiodąc mnie w nieznaną. Nie sądzę, abym tęsknił za domem. Gdybyśmy nawet nigdzie nie dojechali, byłoby to bez znaczenia. Pomiędzy tą ziemią i tym niebem przestałem istnieć, zostałem wymazany. Nie odmówiłem modlitwy tej nocy: tutaj, wiedziałem, stanie się to, co ma się stać.

n

Nie pamiętam naszego przyjazdu na farmę dziadka przed świtem po przebyciu prawie dwudziestu mil ciężkimi pociągowymi końmi. Kiedy się zbudziłem, było już południe. Leżałem w małym pokoiku, niewiele większym niż moje łóżko, u wezgowia powiewała w oknie zasłona w lekkich podmuchach wiatru. Stała nade mną, przyglądając mi się, wysoka kobieta o czarnych włosach i ciemnej, pooranej zmarszczkami twarzy; wiedziałem, że musi to być moja babcia. Zauważyłem, że płakała, ale kiedy otworzyłem oczy, uśmiechnęła się i spojrzawszy na mnie z zatroskaniem, usiadła w nogach łóżka.

- Dobrze ci się spało, Jimmy? - spytała żywo, a potem już całkiem innym tonem powiedziała jakby do siebie: - Och, jakże ty jesteś podobny do swego ojca! - Pamiętałem, że mój ojciec był jej ulubieńcem, pewnie często przychodziła go budzić w taki sam sposób, kiedy zasnął. - Tutaj masz czyste ubranie - mówiła dalej, jednocześnie poklepując ciemną dłońią moją kołdrę. - Najpierw jednak chodź ze mną na dół do kuchni i umyj się w ciepłej wodzie za piecem. Możesz zabrać ze sobą wszystkie rzeczy, nikogo nie ma w pobliżu.

"Na dół do kuchni" - zdziwiłem się słysząc te słowa; w domu mówiło się zawsze: "w kuchni na zewnątrz". Wziąłem buty i pończochy i poszedłem za nią przez bawialnię, a potem schodami do sutereny, w której na prawo od schodów znajdowała się jadalnia, a na lewo kuchnia. Obie izby były otynkowane i wybielone - tynk położony był bezpośrednio na ściany z gliny, tak jak w lepiankach. Podłoga była z cementu. Wysoko, pod drewnianym sufitem, znajdowały się małe okienka z białymi zasłonkami oraz doniczkami pelargonii i głupiego jasia na szerokich parapetach. Kiedy wszedłem do kuchni, uderzył mnie w nozdrza zapach piernika z imbirem. Piec był ogromny, ozdobiony lśniącem niklem, a z tyłu, przy ścianie, stała długa drewniana ława i cynkowa balia, do której babcia nalała gorącej i zimnej wody. Kiedy przyniosła mydło i ręczniki, powiedziałem, że zawsze myję się sam, bez niczyjej pomocy.

- A potrafisz umyć uszy, Jimmy? Na pewno? Wobec tego będę cię nazywać małym elegancikiem.

Przyjemna to była kuchnia. Słońce wpadało do mojej bali przez okienko od strony zachodniej, a wielki maltański kot ocierał się o balię patrząc na mnie jednocześnie z zaciekawieniem. Szorowałem się, a babcia szykowała coś w jadalni, aż w końcu zawołałem z niepokojem: - Babciu, chyba się ciasto przypala! - Przyszła roześmiana, machając fartuchem, jakby płoszyła kurczęta.

Była szczupła, wysoka i lekko pochylona, lecz głowę nosiła wysuniętą do przodu w ciągłej czujności, jakby wypatrywała lub czegoś nasłuchiwała gdzieś w dali. Kiedy podrosłem, doszedłem do przekonania, że dlatego tak trzyma głowę, bo zawsze rozmyśla o czymś, co dzieje się gdzieś bardzo daleko. Chodziła szybko, w każdym jej ruchu przebijała energia. Głos miała wysoki i dość ostry, często mówiła ze zniecierpliwieniem, bo niezmiernie pragnęła, aby wszystko odbywało się wedle

ustalonego porządku i z zachowaniem wszelkich form. Śmiech jej też był wysoki i trochę piskliwy, ale wyczuwało się w nim głęboką mądrość. Miała wtedy pięćdziesiąt pięć lat, była silna i o niespożytej wprost energii.

Ubrałem się, a potem zwiedziłem długą piwnicę obok kuchni. Została wykopana pod częścią domu, otynkowana i ocementowana, prowadziły do niej schody i drzwi z zewnątrz, przez które ludzie wchodzili i wychodzili. A pod jednym z okienek było specjalne miejsce do mycia, kiedy wracali po pracy.

Babcia przygotowywała kolację, usiadłem więc sobie na drewnianej ławie za piecem i zawierałem znajomość z kotem - łapał nie tylko szczury i myszy, ale, jak powiadano, także i susły. Plama żółtego słońca na podłodze przesunęła się w stronę schodów, a ja z babcią wciąż rozmawiałem o mej podróży i o przybyciu nowej, czeskiej rodziny; babcia powiedziała mi, że mają to być nasi najbliżsi sąsiedzi. Nie rozmawialiśmy o farmie w Wirginii, która była jej domem przez długie lata. Kiedy jednak wrócili z pola mężczyźni i zasiedliśmy wszyscy przy stole do kolacji, spytała Jake'a

O stare strony, o naszych przyjaciół i sąsiadów.

Dziadek mówił niewiele. Kiedy wszedł po raz pierwszy, pocałował mnie i odezwał się serdecznie, ale nie był wylewny. Z miejsca wyczułem jego powściągliwość i godność osobistą, trochę nawet napawał mnie lękiem. Najbardziej jednak rzucała się w oczy jego piękna, falująca, śnieżnobiała broda. Słyszałem kiedyś, jak pewien misjonarz powiedział, że przypomina brodę arabskiego szejka! Na głowie miał tylko wianuszek włosów wokół łysiny, co jeszcze bardziej potęgowało wrażenie.

Oczy dziadka zupełnie nie przypominały oczu starszego człowieka, były jasnoniebieskie, żywe, lśniące. Zęby miał białe i równe - a tak zdrowe, że jeszcze nigdy w życiu nie był u dentysty. Miał skórę delikatną, wrażliwą na słońce i wiatr. W młodości jego włosy i broda były rude; brwi jeszcze pozostały rude.

Przy stole rzucaliśmy na siebie z Otto Fuchsem ukradkowe spojrzenia. Babcia szykując kolację powiedziała mi, że Otto jest Austriakiem, przybył do tego kraju jako młody chłopiec i prowadził życie pełne przygód na Dalekim Zachodzie, pośród górniczej braci i hodowców bydła. Jego żelazne zdrowie zostało cokolwiek zachwiane z powodu

zapalenia płuc w górach, wobec tego przerzucił się na pewien czas do łagodniejszej krainy. Miał krewnych w Bismarcku, niemieckiej osadzie na północ od nas, ale od roku pracował u dziadka.

Skończyła się kolacja, po której Otto poprowadził mnie do kuchni i szepnął, że w stajni jest kucyk, którego kupiono dla mnie na wyprzedży; Otto jeździł na nim, żeby sprawdzić, czy nie ma jakichś złych narowów, ale okazał się "prawdziwym dżentelmenem" i nazywa się Duduś. Fuchs odpowiadał na wszystkie moje pytania: jak stracił ucho podczas zamieci śnieżnej w Wyoming, kiedy powoził dyliżansem, i jak się zarzuca łąso. Obiecał, że nazajutrz przed zachodem słońca złapie mi młodego byczka. Wyciągnął kowbojskie skórzane spodnie i srebrne ostrogi, żeby pokazać mnie i Jake'owi, a także swoje najlepsze kowbojskie buty, na których wyszyte były dość śmiałe wzory - róże, podwójne węzły i nagie kobiety. Wyjaśnił z powagą, że są to aniołowie.

Nim poszliśmy spać, Jake i Otto zostali zaproszeni do bawialni na modlitwę. Dziadek założył okulary w srebrnej oprawce i odczytał kilka psalmów. Głos miał przyjemny i czytał tak interesująco, że pragnąłem, aby wybrał jeden z moich ulubionych rozdziałów Księgi Królów. Zachwycała mnie jego intonacja, gdy wymawiał "Selah". On wybierze dziedzictwo dla nas, wspinał się Jakuba, którego umiłował. Selah.

Nie miałem pojęcia, co to słowo znaczy; może i dziadek nie wiedział, ale kiedy je wymawiał, brzmiało jak prorocze i najświętsze ze wszystkich słów.

Nazajutrz wybiegłem na dwór wczesnym rankiem, żeby się rozejrzeć. Powiedziano mi, że nasz dom to jedyny drewniany dom na zachód od Black Hawk - dopiero w osiedlu Norwegów można było jeszcze spotkać kilka takich domów. Nasi sąsiedzi mieszkali w ziemiankach i lepiankach - wygodnych, ale niezbyt obszernych. Nasz biały, drewniany dom, parterowy, a właściwie jednopiętrowy

- bo nad suteroną był półparter, a dopiero potem parter
- stał na wschodnim krańcu podwórka farmy, tak bym to określił, a tuż przy kuchennych drzwiach znajdował się

wiatrak, za którym ziemia opadała w kierunku zachodnim, aż po stodoły, spichlerze i chlewnie. Zbocze to było mocno wydeptane i nagie, poślubione potokami spływającego po nim deszczu. Za składem zboża, na dnie płytkiej dolinki, była niewielka mulista sadzawka otoczona kępami rdzawej wierzbiny. Droga z poczty prowadziła tuż obok naszych drzwi, przez podwórko, potem okrążyła sadzawkę i dalej już zaczynała się wspinać na łagodne wzniesienie ciągnących się w stronę zachodu bezkresnych prerii. Tam, wzdłuż zachodniej linii horyzontu, rozpościerało się olbrzymie pole kukurydzy, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie widziałem. Ono właśnie, a także pole, na którym rośło sorgo za stajnią, to jedyne zorane grunta na całym widnokregu. Wszędzie dokoła, gdzie tylko sięgnąć okiem, rosła szorstka, kosmata, czerwona trawa, przeważnie tak wysoka jak ja.

Od północnej strony domu, w środku zaoranej przesieki, rósł gęsty pas klonów jesionolistnych, niskich i krzaczastych, o lekko pożółkłych liściach. Ten żywopłot ciągnął się prawie na ćwierć mili, musiałem mocno wytężyć wzrok, aby go ujrzeć w całości. Małe drzewka wydawały się bez znaczenia na tle trawy. Odnosiło się wrażenie, że trawa tłumi tu wszystko, nawet i kępę śliw za kurnikiem obłożonym darnią.

Kiedy się rozejrzałem, wydało mi się, że trawa stanowi tutaj krainę, tak jak woda - morze. Czerwień trawy nadawała całej ogromnej prerii odcień wina, jakby zostało po niej rozlane, albo jakichś wodorostów, po raz pierwszy obmytych wodą. I tyle było w niej ruchu, jakby cała ta kraina ciągle gdzieś mknęła.

Prawie zapomniałem, że mam babcię, aż tu nagle wyłoniła się, w czepku i z workiem w ręku, i spytała, czy nie chciałbym pójść z nią do ogrodu ukopać ziemniaków na obiad.

Ogród znajdował się o jakieś ćwierć mili od domu, co było dość osobliwe, a szło się do niego przez płytką dolinkę koło zagrody dla bydła. Babcia zwróciła moją uwagę na grubą łaskę z orzechowego drzewa, zakończoną miedzianą nasadką, która wisiała u jej paska na skórzanym rzemyku. Wyjaśniła mi, że jest to kij na grzechotniki. Nie wolno mi

wchodzić do ogrodu bez mocnego kija albo noża do ścinania kukurydzy; zabiła już tutaj niemało grzechotników. Dziewczynkę, która mieszka przy drodze do Black Hawk, ukąsił grzechotnik w kostkę i chorowała potem przez całe lato.

Pamiętam dokładnie, jak wyglądała ta okohca owego wrześnieowego ranka, gdy szedłem u boku babci wyjeżdżonymi przez wozy koleinami. Zapewne żyło jeszcze we mnie wspomnienie długiej podróży pociągiem, bo odczuwałem ruch całego krajobrazu w ożywczym, porannym wietrzyku i nawet w samej ziemi, jakby kosmata trawa była luźno zawieszoną skórą, pod którą galopowały stada dzikich bawołów.

Sam nie znalazłbym ogrodu - chyba że zauważyłbym ogromne żółte dynie, które leżały odkryte pośród zwiędłych liści - a kiedy wszedłem, nie wzbudził we mnie zainteresowania. Chciałem iść prosto przed siebie, przez czerwoną trawę, aż na sam skraj świata, który z pewnością był gdzieś niedaleko. Lekkie powietrze świadczyło o tym, że świat gdzieś tutaj się kończy: pozostały jeszcze tylko ziemia, słońce i niebo. Wystarczy pójść trochę dalej, a będzie już tylko słońce i niebo, i można się będzie wnieść do góry niczym bure jastrzębie, które szybowały nad naszymi głowami rzucając wolno przesuujące się po trawie cienie. Znaleźliśmy motykę w redlinie i babcia zabrała się do kopania ziemniaków, a ja wybierałem je z miękkiej brunatnej ziemi i wrzucałem do worka, ale przez cały czas zerkałem na jastrzębie przekonany, że mógłbym równie łatwo latać jak one.

Kiedy babcia zbierała się do powrotu, powiedziałem, że chętnie bym jeszcze pozostał w ogrodzie.

Spojrzała na mnie spod czepka.

- A nie boisz się węży?
- Trochę się boję - przyznałem - mimo to zostanę.
- Dobrze, ale jeżeli zobaczysz węża, nic mu nie rób. Takie duże żółte i brązowe są niegroźne, to samce, dzięki którym nie wychodzą susły. Nie przestrasz się, jeżeli zobaczysz, że coś wygląda z dziury tam na brzegu. To nora borsuka. Jest wielkości dużego oposa, główkę ma w czarnobiałe cętki. Od czasu do czasu porywa kurczaka, ale nie

■pozwalam mu zrobic krzywdy. W nowych stronach czlowiek jest szczegolnie przyjazny dla zwierzat. Lubie, kiedy wychodzi i patrzy, jak cos robie.

Babcia przewiesila worek przez ramie i poszla sciezka, lekko pochylona do przodu. Droga wila sie wzdluz dolinki, przy pierwszym zakrecie pomachala mi ruka i zniknela. Pozostalem sam z nie znanym mi dotad uczuciem lekkoosci i zadowolenia.

Usiadlem po sredku ogrodu, gdzie wuze nie mogly podpelz- Inac do mnie niepostrzezenie, i oparlem sie o ciepla, zolta dynie. Wzdluz sciezki rosla miechunka obsypana owocami. Odwrócilem trojkatne, jakby papierowe otoczki ochraniajace owoce i zjadlem kilka. Dokoła mnie olbrzymie koniki polne, dwukrotnie wieksze od tych, jakie widywalem, dokonywaly akrobatycznych wyczynow pośród uschniętych liści. Susły bezustannie przemykaly po zaoranej ziemi. Na dnie tej otoczonej zewszad dolinki wiatr nie wial zbyt silnie, ale slyszalem, jak wyje na rowninie, i widzialem, jak faluje trawa. Ziemia pode mna byla ciepla, tak samo ciepla w dotyku, gdy przesytywalem ja miedzy palcami. Jakies dziwne czerwone robaczki powychodzil skads i calym szwadronem maszerowaly powoli wokol mnie. Grzbiety mialy lsniaaco cynobrowe w czarne kropki. Trwalem w ciszy. Nic sie nie dzialo. Na nic zreszta nie oczekiwalem. Bylem czymś, co lezy pod sloncem, i czulem to, podobnie jak dynie, i nie chcialem byc niczym wiecej. Bylem absolutnie szczesliwy. Pewnie tak wlasnie czujemy sie w chwili smierci, kiedy stajemy sie czescia jakiejś calosci, czy jest to slonce, czy powietrze, dobroc czy wiedza. W kazdym razie jest to szczescie, byc wlaczonym w cos, co jest skonczone i wielkie. Kiedy ogarnia to czlowieka, ogarnia w sposob tak naturalny jak sen.

III

W niedziele rano Otto Fuchs mial nas zawiezc, zebyśmy poznali naszych nowych czeskich sasiodow. Wzielismy ze soba jedzenie, bo zamieszkali na dzikich terenach, gdzie nie

bylo ani ogrodu, ani kurnika, tylko troche zoranej ziemi. Fuchs przyniosl z piwnicy worek ziemniakow i kawał wędzonej wieprzowiny, a babcia wlozyla w slome na furmance kilka bochenkow sobotniego chleba, garnek masla i pare plackow z dyni. Wgramolilismy sie na przednie siedzenie i ruszyliśmy z turkotem droga, która prowadzila obok malej sadzawki i pila sie w strone wielkiego pola kukurydzy.

Nie moglem sie doczekac, zeby zobaczyc, co znajduje sie poza kukurydzianym polem; rosla tam jednak tylko czerwona trawa jak u nas i nic wiecej, choc z wysokiego kozla na wozie widać bylo dalekie tereny. Droga przypominala dzika sciezke, omijala glębokie rowy, a przecinala plytkie i szerokie. Wzdluz niej - i tam, gdzie sie wila, i tam, gdzie biegla prosto - rosly sloneczniki: niektore byly tak duze jak male drzewka, mialy ogromne szorstkie listy, mnostwo bocznych lodyg, obficie obsypanych kwieciem. Tworzily zlotą wstęge wijaca sie przez prerie. Co jakis czas ktorys z koni odgryzal po drodze slonecznik pelen kwiatow i szedl dalej chrupiac go, a kwiaty kolysaly sie w rytm pochrupywan, dopoki nie zjadl calaj lodygi.

Czeska rodzina, jak powiedziala mi w drodze babcia, kupila to gospodarstwo od miejscowego czlowieka, Petera Krajieka, i zaplacila mu wiecej, niz bylo warte. Zawarli umowe, nim jeszcze wyjechali ze starego kraju, a posredniczyl w tym kuzyn Krajieka, który byl jednoczesnie krewnym pani Szimerdy. Szimerdowie byli pierwsza czeska rodzina przybyla w te strony. Krajiek byl ich jedynym tlumaczem i mogl im powiedziec wszystko, co tylko chcial. Nie znali angielskiego, zeby sie kogos poradzie lub chocby wyrazic swoje najpilniejsze potrzeby. Jeden z synow, powiedzial Fuchs, jest juz calkiem duzy i silny, moze uprawiac ziemie, ale ojciec jest stary i kruchy i nie ma pojecia o roli. Jest tkaczem z zawodu, byl bardzo sprawny w tkaniu dywanow i

materiałów dekoracyjnych. Przywiózł ze sobą skrzypce, które tutaj na niewiele mu się zdadzą, choć w kraju przysparzały mu pieniędzy.

- Jeżeli są to mili ludzie, to żal pomyśleć, że będą

musieli spędzić zimę w tej norze Krajieka - orzekła babcia. - Jest niewiele lepsza od nory borsuka. Lepianka, która nie nadaje się do mieszkania. Słyszałam, że kazał sobie zapłacić dwadzieścia dolarów za piec w kuchni, niewart nawet dziesięciu.

- Tak, psze pani - powiedział Otto. - Do tego wszystkiego sprzedał im woły i dwa chude konie za cenę dobrych zwierząt. Wtrąciłbym się, bo stary rozumie trochę po niemiecku, gdybym wiedział, że na coś się to zda. Ale Czesi nie ufają Austriakom.

Babcia spojrzała na niego z zainteresowaniem. - A to dlaczego, Otto?

Fuchs zmarszczył brew i nos. - No cóż, psze pani, to polityka. Długo by to trzeba było wyjaśniać.

Teren był coraz bardziej nierówny; powiedziano mi, że zbliżamy się do rzeki Squaw, która przecina zachodnią część posiadłości Szimerdów, przez co ziemia niezbyt nadaje się pod uprawę. Wkrótce ujrzelśmy porośniętą trawą wzgórze, które znaczyły drogę wijącego się strumienia, a także lśniące wierzchołki topoli i jesionów rosnących w wąwozie. Niektóre topole zmieniły już barwę, a ich żółte liście i lśniące biała kora nadawały im wygląd srebrzystozłocistych drzew z baśniowej krainy.

Zbliżyliśmy się już do posiadłości Szimerdów, a ja wciąż jeszcze widziałem tylko nierówne czerwone pagórki i wąwozy ze stromymi brzegami, na których w miejscach, gdzie usypywała się ziemia, zwisały długie korzenie. Wreszcie dostrzegłem coś w rodzaju szalasu przycupniętego do pochylego zbocza i pokrytego strzechą z tej samej trawy koloru wina, jaka rosła tu wszędzie. Koło chaty stał rozlatujący się szkielet wiatraka bez skrzydeł. Podjechaliśmy, by przywiązać konie, i wtedy dostrzegłem drzwi i okno zatopione głęboko w zbocze wąwozu. Drzwi stały otworem, wybiegła z nich kobieta z dziewczynką lat około czternastu, obie spoglądały na nas z nadzieją w oczach. Za nimi szła mała dziewczynka. Kobieta miała na sobie ten sam haftowany szal ze srebrnymi frędzlami, w którym wysiadła z pociągu w Black Hawk. Nie była stara, ale też już nie młoda. Miała twarz czujną i żywą, ostry podbródek i przenikliwe małe oczy. Energicznie uściśnęła dłoń babci.

- Bardzo cieszę, bardzo cieszę! - wykrzyknęła. Nagle wskazała na zbocze, z którego się wyłoniła: - Dom niedobry, dom niedobry.

Babcia pokiwała głową ze współczuciem. - Z czasem wszystko sobie pani urządzi wygodnie, pani Szimerda, zrobi pani dobry dom.

Moja babcia zawsze mówiła głośno do cudzoziemców, tak jakby byli głusi. Pani Szimerda zrozumiała, że nasza wizyta ma charakter przyjacielski. Babcia wręczyła jej bochny chleba, które pani Szimerda nawet powąchała, a placki z dyni obejrzała z ogromnym zaciekawieniem i wykrzyknęła: - Dużo dobre, dużo dziękuję! - jeszcze raz ściskając dłoń babci.

Najstarszy syn, Ambrosz, wyszedł z lepianki i stanął koło matki. Miał dziewiętnaście lat, był niski i barczysty, włosy miał krótko ostrzyżone, twarz szeroką i płaską, oczy piwne, małe, lecz bystre, podobnie jak u matki, tylko że spojrzenie bardziej przebiegłe i podejrzliwe; pochłaniał wzrokiem jedzenie. Od trzech dni jedli tylko placki kukurydziane z melasą z sorgo.

Mała dziewczynka była ładna, ale Antonia - mocno akcentowali pierwszą sylabę, kiedy się do niej zwracali - ładniejsza. Przypomniałem sobie, co konduktor powiedział jej oczach. Duże, pełne ciepła i blasku, przypominały brązowe stawy w lesie, w których odbija się blask słońca. Cerę też miała smagłą, a policzki lśniące i jeszcze ciemniejsze. Jej brązowe włosy kręciły się w niesforne loki. Młodsza siostra, którą zwali Julką, była jasna, sprawiała wrażenie łagodnej i posłusznej dziewczynki. Kiedy stałem zakłopotany przyglądając się obu dziewczynkom, ze stodoły wyszedł Krajiek, żeby zobaczyć, co się dzieje. Za nim pojawił się jeszcze jeden syn Szimerdów. Nawet

z daleka widać było, że coś jest dziwnego w tym chłopcu. Kiedy się do nas zbliżył, zaczął wydawać z siebie jakieś dziwne odgłosy
1 wyciągnął ręce, aby pokazać swoje palce, które aż po pierwsze zgięcia były złączone jak u kaczki. Zobaczył, że

się cofam, a wtedy zaczął pisać z zachwytem jak kogut. Matka skarciła go i zawołała surowo: - Marek! - po czym zaczęła coś szybko mówić po czesku do Krajieka.

- Chce, abym powiedział, pani Burden, że on nikomu nie robi krzywdy. Taki się urodził. Inni są w porządku. Ambrosz, on będzie dobry farmer. - Poklepał Ambrosza po plecach, a chłopiec uśmiechnął się chytrze.

W tym momencie wynurzył się ojciec. Był bez kapelusza, gęste stalowosiwe włosy szcześnie miał do tyłu, tak długie, że tworzyły bujną czuprynę za uszami; przypominał mi stare portrety, jakie widziałem w Wirginii. Był wysoki i szczupły, przygarbiony w ramionach. Spojrzał na nas ze zrozumieniem, ujął dłoń babci i pochylił się nad nią. Zauważyłem, że ma białe i bardzo kształtne ręce. Wyczuwało się w nich spokój i zręczność. W głęboko osadzonych oczach przebijała melancholia. Jego twarz o nieregularnych rysach była jakby spopieliała, jakby wygasło w niej wszelkie ciepło i światło. Wszystko w tym starym człowieku harmonizowało z jego godną postawą. Był starannie ubrany. Pod marynarką miał zrobioną na drutach szarą kamizelkę, a zamiast kołnierzyka brązowo-szary jedwabny szalik starannie związany i przypięty spinką ozdobioną koralem. W tym czasie, gdy Krajiek tłumaczył coś panu Szimerdzie, Antonia podeszła do mnie i wyciągnęła z całą serdecznością rękę. Po chwili już wbiegaliśmy na strome wzgórze, a za nami podążała Julka.

Kiedy znaleźliśmy się na równinnym terenie, skąd widać było złote wierzchołki drzew, wskazałem ręką w ich stronę, a Antonia uśmiechnęła się i ucisnęła mi dłoń, jakby chciała w ten sposób wyrazić radość, że przyszedłem. Pomknęliśmy do rzeki Sąuaw i zatrzymaliśmy się dopiero wtedy, gdy zatrzymała się i sama ziemia - opadała tak gwałtownie, że jeszcze jeden krok, a znaleźlibyśmy się na wierzchołkach drzew. Staliśmy bez tchu na brzegu jaru i przyglądaliśmy się drzewom i krzakom rosnącym w dole. Wiał silny wiatr, musiałem trzymać na głowie kapelusz, a spódniczki dziewcząt powiewały wokół nich. Antonia była zachwycona; trzymała małą siostrzyczkę za rękę i szczebiotała w swoim języku, który wydał mi się o wiele szybszy od mojego. Spojrzała na mnie błyszczącymi oczyma pełnymi słów, których nie mogła powiedzieć. - Imię? Jakie imię? - spytała biorąc mnie za ramię. Powiedziałem, jak się nazywam, powtórzyła za mną i kazała też powtórzyć Julce. Wskazała na złote topole, których wierzchołki widzieliśmy przed sobą, i znowu spytała: - Jak nazywać?

Usiedliśmy i zrobiliśmy sobie gniazdo w wysokiej czerwonej trawie. Julka skuliła się jak mały króliczek i bawiła się pasikonikiem. Antonia wskazała na niebo kierując ku mnie pytające spojrzenie. Powiedziałem, jak się nazywa niebo, ale to jej nie zadowoliło i wskazała na moje oczy. Powiedziałem jej, powtórzyła, trochę źle akcentując. Pokazała na niebo, potem na moje oczy, znowu na niebo, robiąc to tak szybko i impulsywnie, że oszalałam na mnie i nie miałem pojęcia, czego chce. Uklękła na kolana i załamała ręce. Pokazała na swoje oczy i pokręciła głową, potem na moje i niebo, przytakując szybko.

- Och! - wykrzyknąłem. - Niebieskie, niebo jest niebieskie!

Klasnęła w dłonie i szepnęła: - Niebieskie niebo, niebieskie niebo - tak jakby ją to bawiło. Przez ten czas, kiedy kryliśmy się przed wiatrem, nauczyła się dużo słów. Była szybka i pełna zapału. Siedzieliśmy tak głęboko zatopieni w trawie, że widzieliśmy tylko niebieskie niebo nad nami i złociste drzewa przed nami. Było cudownie. Antonia powtarzała raz po raz nowe słowa, a potem chciała mi ofiarować srebrny grawerowany pierścionek, który nosiła na środkowym palcu. Prosiła i nalegała, ale stanowczo odmówiłem. Nie chciałem jej pierścionka, wyczuwałem, że w jej życzeniu, aby dać pierścionek chłopcu, którego dopiero poznała, jest coś lekkomyślnego i rozrzutność. Nic dziwnego, że Krajiek wykorzystał tych ludzi, skoro się tak zachowują.

W czasie gdy spieraliśmy się na temat pierścionka, usłyszałem pełne smutku wołanie: - Antonia! Antonia! - Skoczyła jak zając. - Tatinek! Tatinek! - krzyknęła i popędziliśmy do jej ojca, który szedł w naszą stronę. Antonia dobiegła pierwsza i pocałowała go w rękę. Kiedy ja się zbliżyłem, dotknął mojego ramienia i przez chwilę

popatrzył mi badawczo w twarz. Poczułem się zakłopotany, byłem bowiem przyzwyczajony, że starsi traktują mnie zwyczajnie.

Wróciliśmy razem z panem Szimerdą do domu, gdzie czekała na mnie babcia. Nim wsiadłem na wóz, wyjął z kieszeni książkę, otworzył i wskazał na stronicę z podwójnym alfabetem, agnielskim i czeskim. Wetknął książkę w dłoń babci, spojrzął na nią błagalnie i powiedział z żarliwością, jakiej nigdy nie zapomnę: - Na-ucz, naucz moją Antonię!

IV

Jeszcze tego samego dnia po południu wybrałem się na pierwszą długą przejażdżkę moim kucykiem pod dozorem Otto Fuchsa. Potem jeździłem na Dudusiu dwa razy w tygodniu na pocztę odległą sześć mil, a także załatwiałem interesy z naszymi sąsiadami, oszczędzając w ten sposób starszym domownikom dużo czasu. Ilekroć trzeba było coś pożyczyć albo przekazać wiadomość, że w szkolnej lepiance odbędą się modlitwy, ja służyłem za posłańca. Dawniej Fuchs załatwiał takie sprawy po pracy.

Wszystkie następne lata nie zdołały przesłonić wspomnień tej pierwszej cudownej jesieni. Cała nowa kraina leżała otworem przede mną; w owych czasach nie było ogrodzeń, mogłem więc wybierać sobie drogę poprzez wzgórza porośnięte trawą i zawierzyć kucykowi, że przywiezie mnie z powrotem do domu. Czasami wybierałem drogi obrzeżone słonecznikami. Fuchs powiedział mi, że to Mormoni sprowadzili tutaj słoneczniki w okresie prześladowań, kiedy opuszczali Missouri i wyruszali na dzikie tereny, aby znaleźć tam miejsce, gdzie mogliby czcić Boga na swój własny sposób, a członkowie pionierskiej grupy, przemierzając równiny Utah, rozsiewali po drodze nasiona słonecznika. Latem następnego roku, kiedy przybywały długie kolumny wozów z kobietami i dziećmi, miały już gotowy słonecznikowy szlak. Sądzę, że botanicy nie potwierdzają opowieści Fuchsa, uważają, że słonecznik to roślina tych stron. Jednakże ta legenda utkwiała mi w pamięci, a droga wiodąca wśród słoneczników wydaje mi się zawsze drogą wiodącą ku wolności.

Bardzo lubiłem mknąć przez jasnożółte pola kukurydzy wypatrując mokradeł, które czasami pojawiały się na ich brzegach, gdzie pokrzywy wnet przybierały miedziany kolor, a ich wąskie brązowe liście zwisały skrzycone jak kokony wokół nabrzmiałych węzłów na łodydze. Czasami jeździłem na południe, żeby odwiedzić naszych niemieckich sąsiadów i podziwiać ich katalpę albo ogromny wiąz, który wyrastał z głębokiej szczeliny w ziemi i w którego gałęziach uwił sobie gniazdo jastrzęb. Drzewa były rzadkością na tej ziemi, musiały ciężko walczyć o swoje istnienie, toteż byliśmy zawsze o nie niespokojni i odwiedzaliśmy je jak ludzi. Niezbyt urozmaicony musiał być ten rdzawo-brunatny krajobraz, skoro każdy szczegół w nim był tak cenny.

Jeździłem też na północ do ogromnego siedliska preriowych psów i obserwowałem, jak brązowe sowy przylatują tam późnym popołudniem i kryją się w swoich podziemnych norach razem z psami. Antonia Szimerda też chętnie się tam ze mną wybierała i wspólnie omawialiśmy podziemne zwyczaje tych ptaków. Tylko że tam musieliśmy być bardzo czujni, bo zewsząd czaiły się grzechotniki. Przypęłzały, aby wieść lekkie życie wśród żab i sów, które były tutaj całkiem bezbronne; dostawały się do ich wygodnych domków i zjadały jajka i małe pisklęta. Żal nam było sów. Ze smutkiem patrzyliśmy, jak przylatują do swoich domków o zachodzie słońca i znikają pod ziemią. Uważaliśmy jednak, że skoro stworzenia skrzydlate żyją w taki sposób, muszą być chyba upośledzone. Osada psów znajdowała się daleko od jakiegokolwiek sadzawki czy strumyka. Otto Fuchs mówił kiedyś, że widział ogromne siedlisko psów na pustyni, gdzie nie było wody na przestrzeni pięćdziesięciu mil; twierdził, że niektóre

z tych nor muszą sięgać aż do wody - w tej okolicy jakieś dwieście stóp. Antonia powiadała, że w to nie wierzy, że psy pewnie zlizują rosę wczesnie rano, jak króliki.

Antonia miała swoje zdanie o wszystkim i wkrótce mogła się nim dzielić. Niemal codziennie przebiegała prerię, żeby mieć ze mną lekcje czytania. Pani Szimerda trochę się zżymała, ale rozumiała, jak ważne jest, aby przynajmniej jedno z nich nauczyło się angielskiego. Po lekcji szliśmy zwykle na pole za ogródkiem, gdzie rosły arbuzy. Rozcinałem je starym nożem do cięcia kukurydzy i po wyłuskaniu ziaren zjadaliśmy je, a sok ściekał nam po palcach. Białych, zimowych melonów nie ruszaliśmy, tylko przyglądaliśmy się im z zaciekawieniem. Zbierało się je późno, kiedy chwyciły pierwsze mrozy, i zostawiało na zimę. Po wielu tygodniach spędzonych na morzu Szimerdowie byli spragnieni owoców. Obie dziewczynki przemierzały całe mile wzdłuż łąk kukurydzy, żeby nazbierać miechunek.

Antonia bardzo lubiła pomagać babci w kuchni, uczyć się gotowania i prowadzenia domu. Stała koło babci obserwując każde jej poruszenie. Wierzyliśmy, że pani Szimerda była dobrą gospodynią we własnym kraju, ale tutaj, w nowych warunkach, słabo sobie radziła; a warunki miała rzeczywiście ciężkie.

Pamiętam, jacy byliśmy przerażeni kwaśnym, szarym jak popiół chlebem, który dała swej rodzinie do jedzenia. Zauważyliśmy, jak rozrabiała ciasto w starej blaszance, której Krajek używał w oborze. Zostawiała troszkę ciasta na ściankach blaszanki, którą stawiała potem na półce za piecem, żeby sfermentowało. Piekąc chleb następnym razem, wybierała te skwaśniałe resztki i kładła do świeżego ciasta zamiast drożdży.

W pierwszych miesiącach Szimerdowie nigdy nie chodzili do miasta. Krajek wyrobił w nich przekonanie, że w Black Hawk w jakiś tajemniczy sposób zostaną pozbawieni pieniędzy. Nienawidzili tego człowieka, a mimo to garnęli się do niego, był bowiem jedyną istotą ludzką, z którą mogli porozmawiać i od której mogli się czegoś dowiedzieć. Spał z panem Szimerdą i dwoma chłopcami w oborze- -lepiance razem z wołami. Trzymali go w tej swojej norze i karmili z takich samych powodów, jak stepowe psy i brunatne sowy znosiły grzechotniki... po prosta nie wiedzieli, jak się go pozbyć.

V

Zdawaliśmy sobie sprawę, że ciężko jest naszym czeskim sąsiadom, choć obie ich córki były zawsze pogodne i nigdy się na nic nie skarżyły. Zawsze były skore zapomnieć o kłopotach domowych i biec ze mną przez prerię, płosząc króliki i stada przepiórek.

Pamiętam, jak Antonia przyszła kiedyś do nas po południu do kuchni i ogromnie podniecona powiedziała:

- Mój papa znaleźć przyjaciół na północy, rosyjskich mężczyzn. Wczoraj wieczór zabrał mnie tam i mogę rozumieć ich mowę. Miłe ludzie, pani Burden. Jeden jest gruby i cały czas śmiać się. Wszyscy śmiać. Pierwszy raz ja widzę mój papa śmiać się w tym kraju. Och, bardzo miło!

Zapytałem, czy mówi o tych Rosjanach, którzy mieszkają koło wielkiego siedliska periowych psów. Ilekroć tamtędy przejeżdżałem, zawsze miałem ochotę do nieb wstąpić, ale jeden z nich wyglądał groźnie i trochę się go bałem. Rosja wydawała mi się bardziej odległa niż jakikolwiek inny kraj

- dalsza niż Chiny, prawie tak daleka jak biegun północny. Spośród wszystkich dziwnych ludzi między pierwszymi osadnikami ci dwaj mężczyźni byli najbardziej dziwni i trzymali się całkiem na uboczu, Ich nazwiska były nie do wymówienia, wobec tego nazywano ich Paweł i Piotr. Chodzili i porozumiewali się z ludźmi na migi, a do przyjazdu Szimerdów nie mieli żadnych przyjaciół. Krajek trochę ich rozumiał, ale oszukał ich w jakimś handlu, więc go unikali. Paweł, ten wysoki, był podobno anarchistą; ponieważ nie miał możliwości dzielenia się swymi poglądami, zapewne

jego gwałtowna gestykulacja i sposób bycia, niespokojny i buntowniczy, przyczyniły się do takiego przypuszczenia. Niegdyś musiał być silny, teraz jednak ten wielki mężczyzna o mocnych żyłastych musicalach był

wymizerowany, kości policzkowe sterczały mu na zwiędłej twarzy. Oddychał ciężko, ciągle kaszłał.

Piotr, jego towarzysz, wyglądał zupełnie inaczej: był niski, krzywonogi i tłusty jak pączek. Cieszył się, ilekroć spotkał kogoś na drodze, uśmiechał się i zdejmował przed każdym czapkę, tak przed mężczyzną, jak i kobietą. Z daleka, na wozie, wyglądał jak starzec; jego włosy i broda były tak płowe, że w słońcu wydawały się białe, i tak gęste i kędzierzawe, jak wełna czesankowa. Różowa twarz z zadartym nosem, osadzona w tym runie, przypominała melona wśród liści. Zazwyczaj nazywano go "Kędzierzawy Piotr" albo "Ruski Piotr".

Obaj byli dobrymi gospodarzami i latem widziało się ich zawsze razem przy pracy. Słyszałem, jak sąsiedzi śmiali się opowiadając, że Piotr zawsze wraca wieczorem do domu, żeby wydoić krowę. Inni samotni farmerzy pili mleko z puszki, oszczędzając sobie kłopotu. Czasami Piotr przychodził do kościoła w szkolnej lepiance. Tam właśnie ujrzałem go po raz pierwszy - siedział na niskiej ławce przy drzwiach, z pluszową czapką w ręku i bosymi nogami wsuniętymi pokornie pod ławkę.

Pan Szimerda, odkrywszy Rosjan, chodził do nich prawie co wieczór, a czasami zabierał ze sobą Antonię. Powiedziała, że pochodzą oni z takiej części Rosji, gdzie język niewiele się różni od czeskiego i gdybym chciał się do nich wybrać, mogłaby z nimi porozmawiać w moim imieniu. Któregoś popołudnia, jeszcze nim się zaczęły srogie mrozy, pojechaliśmy tam razem na moim kucyku.

Mieli schludny dom zbudowany z drewnianych pali na trawiastym zboczu, z kołowrotem przy drzwiach. Kiedy wyjechaliśmy z doliny, minęliśmy arbuzowe pole i ogród, w którym dynie i żółte ogórki leżały na ziemi. Piotra znaleźliśmy za kuchnią pochylonego nad balią. Był tak zajęty, że nawet nic usłyszał naszych kroków. Piorąc na tarze cały się kiwał w przód i w tył i bardzo zabawnie wyglądał od tyłu, ze zmierzwioną czupryną i pałkowatymi nogami. Kiedy się wyprostował na nasze powitanie, krople polu stoczyły się z jego grubego nosa na kędzierzawą brodę. Wytarł ręce, najwyraźniej zadowolony, że zostawia pranie. Zabral nas, żeby pokazać nam kurczaki i krowę pasącą się na wzgórzu. Wyjaśnił Antonii, że w jego kraju tylko bogaci mają krowy, a tutaj może mieć każdy, kto o nią zadba. Mleko jest dobre dla Pawła, który często choruje, a poza tym ze śmietany robi masło ubijając ją drewnianą tyżką. Piotr bardzo lubił swoją krowę. Głaskał ją po bokach i mówił do niej po rosyjsku wyciągając jednocześnie kotek od powroza i przenosząc go w inne miejsce.

Obejrzeliliśmy ogród, a potem Piotr powiózł na wzgórze taczkę pełną arbuzów. Pawła nie było w domu. Wyszedł gdzieś, żeby pomóc w kopaniu studni. Dom wydał mi się bardzo wygodny dla dwóch mężczyzn, którzy wiedli kawalerskie życie. Obok kuchni znajdował się pokój z szerokim podwójnym łóżkiem przymocowanym do ściany, porządnie zasłanym, przykrytym kapą w niebieskie pasy i z poduszkami na wierzchu. Była też mała spiżarnia z oknem, w której trzymali strzelby, siodła i narzędzia, stare palta i buty. Tego dnia na podłodze leżały warzywa suszące się na zimę, kukurydza, fasola, pękate żółte ogórki. W domu nie było ani okiennic, ani żadnych zasłon, wszystkie drzwi i okna stały otworem, wpadały przez nie zarówno muchy, jak i słońce.

Piotr ułożył arbuzy rzędem na stole przykrytym ceratą i stanął nad nimi wymachując rzeźnickim nożem. Nim ostrze je przebiło, rozpadały się ze wspaniałym odgłosem, były bowiem bardzo dojrzałe. Podał nam noże, ale bez talerzy, i koniec stołu wkrótce pływał w soku i ziarnach. Jeszcze nigdy dotąd nie widziałem, aby ktoś zjadał tyle arbuzów co Piotr. Zapewniał nas, że są bardzo dobre, lepsze od lekarstwa; w jego kraju ludzie żywią się arbuzami o tej porze roku. Był ogromnie gościnnie i

wesoły. W pewnej chwili spojrzął na Antonię i westchnął mówiąc, że gdyby został w domu w Rosji, pewnie miałby już ładną córkę, która by gotowała i prowadziła mu dom. Powiedział, że opuścił swój kraj z powodu "wielkiego kłopotu".

Kiedy wstaliśmy, żeby już odejść. Piotr zakłopotany

zaczął się rozglądać, czym by nas tu zająć. Wbiegł do spiżarni i przyniósł stamtąd jaskrawo pomalowane organki. Usiadł na ławce i zaczął wygrywać jak cała orkiestra. Melodia była albo bardzo skoczna, albo bardzo smętna, czasami nawet przyśpiewywał.

Przed wyjściem nakładł w worek dojrzałych ogórków dla pani Szimerdy i dał nam kolorowe wiaderko pełne mleka, aby ugotować w nim ogórki. Jeszcze nigdy w życiu nie słyszałem, żeby ktoś gotował ogórki, lecz Antonia zapewniła mnie, że są bardzo smaczne. Musieliśmy przez całą drogę prowadzić kucyka, żeby nie rozlać mleka.

VI

Pewnego popołudnia mieliśmy lekcję czytania na ciepłym, trawiastym nasypie, w którym mieszkał borsuk. Był to taki dzień, w którym blask słońca ma kolor bursztynu, ale w powietrzu czuje się nadchodzącą zimę. Rano widziałem już lód przy wodopoju, a kiedy szliśmy przez ogród, ujrzelśmy wysoki asparagus z czerwonymi jagodami leżący na ziemi - masa mulistej zieleni.

Antonia była boso i drżała z zimna w kretonowej sukience, a ciepło było jej tylko wtedy, gdy siedzieliśmy na wygrzanej ziemi w słońcu. Już teraz mogła ze mną rozmawiać

0 wszystkim. Tego popołudnia opowiedziała mi, jak cenny jest nasz przyjaciel-borsuk w jej kraju i jak mężczyźni biorą do polowania na borsuki specjalne psy o krótkich nogach. Psy, powiedziała, wchodzi do nory za borsukiem i zabijają go staczając pod ziemią zaciętą walkę; na zewnątrz słychać szczekanie i piski. Potem pies wysuwa się z dziury pokąsany

1 podrapany, a pan go nagradza i głaszcze. Znała psa, któremu na obroży przypinano gwiazdkę za każdego upolowanego borsuka.

Króliki były niezwykle żwawe tego popołudnia. Zaczynały hasać wokół nas, a potem mknęły w dolinę, jakby się w coś bawiły. Ale maleńkie, bzyzące stworzonka, które żyły w trawie, były wszystkie martwe - wszystkie, oprócz jednego.

Kiedy leżeliśmy na ciepłej ziemi, maleńki owad, w kolorze jasnej, delikatnej zieleni, podskoczył zbołały i usiłował wspiać się na wysokie źdźbło trawy. Nie udało mu się, spadł i przycupnął opuściwszy główkę między długie nóżki; czułki mu drżały, jakby czekał na nadejście czegoś, co zakończy jego życie. Antonia zrobiła mu ciepłe gniazdko w swoich dłoniach, mówiła do niego radośnie i krzepiąco po czesku. Po chwili zaczął nam śpiewać - a był to cieniutki, drżący świergot. Antonia trzymała go przy uchu i śmiała się, ale po chwili zobaczyłem w jej oczach łzy. Powiedziała mi, że w jej rodzinnej wiosce żyła stara żebraczka, która chodziła po wsi i sprzedawała różne zioła i korzenie ukopane w lesie. Jeżeli ją ktoś zaprosił i posadził w ciepłym miejscu przy piecu, śpiewała dzieciom dawne piosenki, tak samo drżącym głosem. Nazywano ją Starą Hata, a dzieci cieszyły się, gdy przychodziła, zbierały dla niej ciastka i słodycze.

Kiedy zbrocze po drugiej stronie doliny zaczęło rzucać wąską smugę cienia, czas już było ruszać do domu; z chwilą gdy słońce się zniżyło, szybko zrobiło się zimno, a Antonia miała cienką sukienkę. Co było robić z kru- chutkim maleńkim stworzonkiem, które udało nam się przywrócić do życia w sposób sztuczny? Zaproponowałem moje kieszenie, lecz Antonia potrząsnęła głową i ostrożnie wsunęła zielonego owada we włosy, przewiązując luźno falujące włosy chustką. Zaproponowałem, że odprowadzę ją do Squaw Creek i stamtąd wrócę do domu. Powlekliśmy się leniwie, bardzo szczęśliwi, poprzez magiczny blask późnego popołudnia.

Wszystkie jesienne popołudnia były podobne do siebie, ale jakoś nigdy nie mogłem się do nich przyzwyczaić. Jak daleko sięgał wzrok, całe mile miedzianoczerwonej trawy zalane były słońcem, które o tej porze dnia najsilniej

prażyło. Jasne łany kukurydzy miały barwę złocistoczerwoną, stogi siana poróżwiały i rzucały długie cienie. Cała preria przypominała płonący busz, którego ogień jeszcze całkowicie nie strawił. Ta godzina miała w sobie zawsze urok zwycięstwa, tryumfalnego zakończenia, jak bohaterska

śmierć... bohaterów umierających młodo i w pełni chwały. Było to nagle przeistoczenie, ukoronowanie całego dnia.

Przez ileż to popołudni przemierzałem z Antonią prerię pośród tej wspaniałej scenerii! I zawsze migały przed nami dwa długie cienie albo też posuwały się za nami ciemne plamy na rdzawej trawie. Szliśmy w milczeniu, a słońce obsuwało się coraz niżej, coraz bliżej prerii, i nagle ujrzelśmy na wzgórzu mężczyznę ze strzelbą na ramieniu. Szedł wolno, wlokąc nogi za sobą, jakby nie miał żadnego celu. Puściliśmy się pędem, żeby go dogonić.

- Mój papa chory cały czas - powiedziała Antonia sapiąc w biegu. - Dobrze nie wygląda, Jim.

Gdy się zbliżyliśmy, zawołała, a pan Szimerda podniósłszy głowę zaczął się rozglądać. Antonia podbiegła do niego, chwyciła za rękę i przycisnęła do swego policzka. Ona jedna z całej rodziny potrafiła go wyrwać z apatii, w której zdawał się żyć nieustannie. Zdjął z paska worek i pokazał nam trzy króliki, które ustrzelił. Uśmiechnął się do Antonii blado i zaczął coś mówić. Odwróciła się do mnie.

- Mój tatinek zrobi mi mały kapturek ze skór, mały kapturek na zimę! - zawołała z radością. - Mięso do jedzenia, skóra na kapelusz - wyliczała te dobrodziejstwa na palcach.

Ojciec położył rękę na jej głowie, ale chwyciła ją i delikatnie odsunęła, mówiąc coś szybko. Usłyszałem, że wspomina o Starej Hata. Rozwiązał chustkę, rozdzielił palcami jej włosy i stał wpatrzony w zielonego owada. Kiedy ten zaczął cichutko ćwierkać, stał wsłuchany, jakby to była najpiękniejsza melodia.

Podniosłem strzelbę, którą upuścił; dziwna, ze starego kraju, krótka i ciężka, z głową jelenia na cynglu. Widząc, że tak się przyglądam, zwrócił na mnie to swoje spojrzenie, tak pełne głębi, że zawsze wydawało mi się, jakbym był gdzieś na samym dnie studni. Powiedział coś głosem serdecznym i bardzo poważnym, a Antonia przetłumaczyła:

| Mój tatinek mówi, że kiedy będziesz duży chłopiec, da ci tę strzelbę. Bardzo dobra, z Czech. Należała do wielkiego człowieka, bardzo bogaty, takich tu nie ma. Wielkie pola, lasy, duże domy. Mój papa grał na jego weselu i on dał papie dobrą strzelbę, a mój papa da tobie.

Ucieszyłem się, że to dopiero ma nastąpić w przyszłości. Nigdy jeszcze nie spotkałem takich ludzi jak Szimerdowie; oddaliby wszystko, co mieli. Nawet pani Szimerda ciągle mi coś dawała, choć wiedziałem, że oczekuje w zamian także na prezenty. Staliśmy w przyjacielskiej ciszy, gdy minstrel ukryty we włosach Antonii rozpoczął swoje piskliwe ćwierkanie. Uśmiech pana Szimerdy, gdy słuchał, był tak pełen smutku i żalu, że nie mogłem tego potem nigdy zapomnieć. Słońce się skryło, zrobiło się nagle zimno, rozszedł się wokół ostry zapach ziemi i suchej trawy. Antonia i jej ojciec, trzymając się za ręce, poszli w swoją stronę, a ja zapiąłem marynarkę i pomknąłem za swoim cieniem do domu.

VII

Bardzo lubiłem Antonię, ale nie cierpiałem tonu wyższości, z jakim się czasem do mnie zwracała. Była ode mnie co prawda cztery lata starsza i widziała więcej świata; ale ja byłem chłopcem, a ona dziewczyną i niechętnie znosiłem jej opiekuńczy stosunek do mnie. Przed końcem jesieni zaczęła mnie traktować bardziej jak równego sobie i ulegać w wielu innych rzeczach, nie tylko w czytaniu. Ta zmiana zaczęła się od pewnej przygody, którą wspólnie przeżyliśmy.

Pewnego dnia pojechałem do Szimerdów, a Antonia wybierała się właśnie pieszo do domu Piotra, aby pożyczyć łopatę, która potrzebna była Ambroszowi.

Zaproponowałem, że zawiozę ją tam na moim kucyku, więc usiadła za mną. W nocy wystąpił ostry mróz, ale teraz powietrze było czyste i orzeźwiające jak wino. W ciągu tygodnia wszystkie przydrożne kwiaty zwiędły, żółte słoneczniki na przestrzeni setek mil zamieniły się w brązowe, szeleszczące, nagie badyle.

Znaleźliśmy Piotra przy kopaniu ziemniaków. Z przyjemnością weszliśmy, żeby się ogrzać w jego ciepłej kuchni; dynie i męlony były już poukładane w spiżarni na zimę.

Kiedy wracaliśmy z łopata, Antonia zaproponowała, abyśmy się zatrzymali w siedlisku preriowych psów i rozkopali jedną z nor. Przekonalibyśmy się wtedy, czy prowadzą prosto w dół, czy poziomo jak nory kretów, czy mają podziemne połączenia i czy sowy mają tam swoje gniazda wysłane piórami. Moglibyśmy sobie wziąć małe szczeniaki albo sowie jajka, albo też węzowe skóry.

Osada psów rozciągała się na jakieś dziesięć akrów. Trawa była tu wyskubana krótko i równo, cały ten obszar nie był więc zmierzwiony i czerwony jak cała okolica, tylko szary i aksamitny. Nory były równomiernie rozmieszczone, w odległości kilku jardów od siebie, i tak regularnie, jak ulice i aleje. Odnosiło się wrażenie, że toczy się tutaj życie wedle ustalonego porządku i we wspólnocie towarzyskiej. Uwiązałem Dudusia w dolinie, a dalej poszliśmy pieszo rozglądając się za norą, którą łatwo dałoby się rozkopać. Psy były jak zwykle na zewnątrz, siedziały na zadnich łapkach przy wejściu do nor. Kiedy się zbliżyliśmy, zaczęły na nas czekać i merdając ogonkami skryły się pod ziemię. Przed wejściem do nor leżały małe kupki piasku i żwiru, wygrzebane zapewne z głębi ziemi. Tu i ówdzie napotykalismy na większe kupki żwiru, trochę dalej od nor. Jeżeli psy wygrzebały piasek kopiąc nory, to jak to się stało, że przeniosły go aż tak daleko? Właśnie na takim usypisku spotkała mnie przygoda.

Badaliśmy norę o dwóch wejściach. Jama łagodnie opadała w głąb, widać więc było połączenie obu korytarzy, a ubita ziemia była mocno zakurzona od częstego używania jak małe autostrada, na której jest duży ruch. Skulony zacząłem się wycofywać, gdy nagle usłyszałem krzyk Antonii. Stała naprzeciw mnie wskazując na coś z tyłu i krzycząc po czesku. Odwróciłem się, a na jednym z tych suchych legowisk ze żwiru leżał największy wąż, jakiego w życiu widziałem. Wygrzewał się w słońcu po zimnej nocy i chyba spał, gdy Antonia krzyknęła. Kiedy obróciłem się, leżał w luźnych zwojach, w kształcie litery "W". Naprężył się i zaczął się powoli zwiącać. Pomyślałem, że to nie tylko ogromny wąż, ale cyrkowe monstrum. Jego odrażające mięśnie, ohydne, płynne ruchy napępiały mnie obrzydzeniem. Był gruby jak moja noga i wydawało się, że kamień młyński nie zdoła zmiażdżyć jego wstrętnej żywotności. Podniósł swą ohydą małą główkę i zagrzechotał. Nie uciekałem, nawet mi to na myśl nie przyszło, a gdybym miał za sobą kamienny mur, wcale nie byłbym bardziej przykuty. Widziałem, jak zacieśniają się jego zwoje... teraz skoczy, całą swoją długością, o tym pamiętałem. Rzuciłem się do przodu i uderzyłem go łopata w głowę, przy samej szyi, a po chwili już otaczał mi nogi luźnymi zwojami. Uderzyłem go z nienawiścią. Antonia, z bosymi nogami, podbiegła do mnie. Rozplaszczyłem mu głowę, a mimo to zwiącał się i skręcał, wyginał w pałąk i opadał. Odszedłem, po chwili jednak się odwróciłem. Było mi niedobrze.

Antonia podeszła do mnie płacząc: - Och, Jimmy, czy on cię nie kąsił? Pewne? Dlaczego nie uciekałeś, jak ja krzyczałam?

- Po co trajkotałaś coś po czesku? Mogłaś być powiedzieć, że za mną jest wąż!
- powiedziałem rozdrażniony.

- Wiem, że ja okropna, Jim, bałam się. - Wyjęła mi z kieszeni chustkę i próbowała otrzeć moją twarz, ale wyrwałem jej chustkę z rąk. Myślę, że wyglądałem tak, jak się czułem.

- Nigdy nie myślałam, że ty tak dzielny - mówiła pocieszając mnie. - Ty jak duży mężczyzna, czekasz, aż podniesie głowę i wtedy idziesz na niego. Nie bałeś się trochę? Teraz weź węża do domu i pokaż każdemu. Nikt w tym kraju nie widział tak dużego węża, jak tyś zabił.

Mówiła to w napięciu, a ja doszedłem do wniosku, że czekałem na taki moment i bardzo się ucieszyłem. Ostrożnie wróciliśmy do węża; wciąż jeszcze podrzucał

ogonem i odwracał do wierzchu swoje okropne brzuszysko. Rozchodził się cuchnący odór, a ze zmiażdżonej głowy spływała cienka strużka zielonego płynu.

- Popatrz, Antonio, to trucizna - poinformowałem ją.

Wyciągnąłem z kieszeni długi sznurek. Antonia podniosła głowę węża łopata, a ja zrobiłem wokół niej pęczę. Rozciągnęliśmy go na całą długość, i wtedy zmierzyłem go

34 WILLA CATHER

harapem; miał około pięciu i pół stopy długości. Miał dwanaście grzechotek, ale odpadły, nim zaczęły się zwęzać, upierałem się więc, że niegdyś musiał mieć dwadzieścia cztery. Wyjaśniłem Antonii, że to znaczy, że miał dwadzieścia cztery lata, że był już tutaj, kiedy pojawili się pierwsi biali, pochodził z czasów, gdy żyli tu Indianie i bawoły. Kiedy go odwróciłem, ogarnęła mnie duma, a jednocześnie szacunek dla jego wieku i rozmiarów. Zdawał się być starożytnym, najstarszym Złem. Niewątpliwie ten gatunek wzbudzał podświadomie straszne reakcje u stworzeń ciepłokrwistych. Kiedy zwlekliśmy go w dolinę, Duduś odskoczył na całą długość liny, którą był przywiązany, i drżał - nie pozwolił nam zbliżyć się do siebie.

Ustaliliśmy, że Antonia pojedzie na nim do domu, a ja będę szedł. Jechała powoli, jej boscie nogi objęły się o boki kucyka i co chwila odwracała się do mnie i wykrzykiwała, jak to wszyscy będą zdziwieni. Szedłem za nią z łopata na ramieniu, ciągnąc mojego węża. Jej zachwyty były udzielające. Ta wielka kraina jeszcze nigdy nie wydała mi się tak ogromna i wolna. Nawet gdyby w czerwonej trawie było dużo grzechotników, zmierzyłbym się z nimi jak równy z równym. Jednakże co pewien czas oglądałem się za siebie, czy przypadkiem jakiś mściwy kompan, jeszcze starszy i większy niż moja zdobycz, nie goni mnie.

Słońce już zaszło, gdy dotarliśmy do naszego ogrodu i minawszy dolinkę udaliśmy się w stronę domu. Natknęliśmy się najpierw na Otto Fuchsa. Siedział na brzegu poidła dla krów i palił spokojnie fajkę przed kolacją, Antonia zawołała, żeby prędko przyszedł i zobaczył, co mamy. Przez chwilę milczał, tylko podrapał się w głowę i odwrócił węża butem.

- Gdzie znalazłeś to чудо, Jim?
- W osadzie psów - odparłem lakonicznie.
- Sam go zabiłeś? Skąd miałeś broń?
- Byliśmy u Piotra, żeby pożyczyć łopatę dla Ambrosza.

Otto wytrzymał z fajki popiół i przykucnął, żeby policzyć grzechotki. - Twoje szczęście, że miałeś takie narzędzie - powiedział po namyśle. - Boże! Za nic nie chciałbym mieć do czynienia z tym facetem, chyba że miałbym potężny drąg w ręku. Laska na węża twojej babci ledwie by go

MOJA ANTONIA 35

pogłaskała. Gdyby stanął, mógłby z tobą porozmawiać, no nie? Bronił się zaciekle?

Antonia zaczęła mówić: - Bronił się, że coś okropne! Zakręcił się wokół buta Jima. Ja krzyczę, żeby uciekać, a on wali i wali węża, że aż strach.

Otto na mnie mrugnął. Kiedy Antonia odeszła, powiedział: - Zabiłeś go za pierwszym uderzeniem w głowę, prawda? Tak trzeba było zrobić.

Powiesiliśmy go na wiatraku, a kiedy wszedłem do kuchni, Antonia stała pośrodku i opowiadała barwnie naszą przygodę.

Następne doświadczenia z grzechot ni kam i przekonały mnie, że przy tym pierwszym zetknięciu miałem szczęście. Mój ogromny grzechotnik był stary, wiódł leniwe życie; nie był skory do walki. Najprawdopodobniej żył sobie tak od lat zjadając na śniadanie tłustego preriowego psa, kiedy był głodny, kryjąc się w którejś norze, a nawet w swoim gnieździe wysłanym piórami, i zapominał, że światu niepotrzebne są grzechotniki. Gdyby wąż tej wielkości był w nastroju do walki, żaden chłopiec by sobie nie poradził; w gruncie rzeczy była to zabawna przygoda, zdarzyła mi się przypadkiem, jak i zapewne wielu zwycięzcom smoków. Zostałem odpowiednio wyposażony przez Piotra-Rosjanina; wąż był stary i leniwy, no i miałem obok Antonię, która mnie doceniała i podziwiała.

Wąż wisiał na naszym płocie przez kilka dni, sąsiedzi przychodzili go oglądać i wszyscy zgodnie twierdzili, że to największy grzechotnik, jakiego zabito w tych stronach. To wystarczyło Antonii. Od tego czasu polubiła mnie jeszcze bardziej i już nigdy więcej nie przybierała wobec mnie tonu wyższości. Zabiłem dużego węża - byłem już teraz dużym chłopcem.

VIII

Jesienne barwy na łąkach i polach poblady, a naszym przyjaciołom Rosjanom źle się wiodło. Piotr opowiedział

WILLA CATHER

O swoich kłopotach panu Szimerdzie; nie miał pieniędzy na spłacenie weksla, którego termin płatności przypadał na pierwszego listopada; nie dotrzymując terminu musiał zapłacić wygórowane dodatkowe procenty i oddać świnie, konie, a nawet krowę. Jego wierzycielem był Wiek Cutter, bezlitosny lichwiarz z Black Hawk, człowiek cieszący się złą sławą w całej okolicy, o którym później jeszcze będę miał wiele do powiedzenia. Piotr nie mógł jasno wytłumaczyć tej transakcji z Cutterem, wiedział tylko, że najpierw pożyczył sto dolarów, potem znowu sto i pięćdziesiąt, przy czym za każdym razem do zasadniczej sumy dodawany był procent. Dług wzrastał o wiele szybciej niż dochody z zebranych plonów. Teraz wszystko było obłożone hipoteką.

Piotr przedłużył termin płatności weksla, a Paweł wkrótce nadwerężył siły dźwigając bale drzewa przy budowie nowej stodoły i przewrócił się na wióry ze strasznym krwotokiem z płuc. Wszyscy myśleli, że umrze na miejscu. Zanieśli go do domu i ułożyli w łóżku, w którym wciąż leżał, bardzo chory. Zdawało się, że nieszczęście zagościło pod dachem domu z belek niby jakiś zły ptak, który trzepotał skrzydłami i ostrzegał wszystkich, aby się trzymali z daleka. Rosjanie nie mieli szczęścia, tak że ludzie bali się ich i woleli o nich nie myśleć.

Pewnego popołudnia przyszła do nas Antonia z ojcem po maślanek i jak zwykle ociągali się z odejściem, dopóki słońce nie opuściło się nisko na niebie. Kiedy wychodzili, przyjechał Piotr-Rosjanin. Paweł był bardzo ciężko chory i chciał porozmawiać z panem Szimerdą i jego córką; przyjechał, żeby ich zabrać ze sobą. Antonia i jej ojciec usiedli na wozie, a ja ubłagałem babcię, aby mi pozwoliła pojechać razem z nimi: mogę nie jeść kolacji, przespać się u Szimerdów w oborze i raniutko przybiec do domu. Moj plan wydał jej się zapewne bardzo nierozsądny, ale zawsze była wyrozumiała i starała się spełniać pragnienia innych ludzi. Poprosiła Piotra, aby chwilę zaczekał, i wkrótce wyłoniła się z kuchni z torbą kanapek i pączków.

Pan Szimerda i Piotr zajęli miejsca na przodzie, a J^a z Antonią usiedliśmy z tyłu na słomie i, podskakując, przez

L

cały czas sobie podjadaliśmy. Po zachodzie słońca zerwał się silny wiatr, który zawodził na prerii. Gdyby taka zmiana pogody objawiła się wcześniej, pewnie bym nie pojechał. Zakopaliśmy się w słomie i skuleni obok siebie obserwowaliśmy, jak zanika złowroga czerwień zachodu, a zaczynają się pojawiać gwiazdy na czystym i wietrznym niebie. Piotr wzdychał i pojękiwał. Antonia szepnęła, że pewno boi się, że Paweł już nie wydobrzeje. Leżeliśmy spokojnie, bez słowa. Gwiazdy błyszczwały wspaniale. Choć pochodziliśmy z różnych części świata, oboje przesiąknęliśmy mrocznym przesądem, że te błyszczące grupki gwiazd mają wpływ na to, co ma być i nie być. Może Piotr-Rosjanin, pochodzący z dalszych niż my stron świata, wyniósł stamtąd również takie przekonanie.

Mały domek na zboczach wzgórz był tak stopiony z nocą, że go wcale nie było widać, kiedy wjeżdżaliśmy pod górę z doliny. Naprowadził nas czerwony blask w oknach... z ognia płonącego w kuchni, bo światło się nie paliło.

Weszliśmy cicho. Wydawało się, że człowiek leżący na szerokim łóżku śpi. Usiedliśmy z Antonią na ławce przy ścianie opierając ręce na stole znajdującym się przed nami. Ogień migał na ciosanych belkach podpierających strzechę. Paweł z trudem łapał oddech i pojękiwał. Czekaliśmy. Wiatr trząsał gwałtownie drzwiami i oknami, ale już po chwili popędził na szerokie przestrzenie i tam hulał zawodząc. Każdy nawracający poryw wiatru łomotał szybami i coraz bardziej się wzmagał.

Przypominało mi to pokonaną armię w odwrocie; albo duchy, które w rozpacz szukały schronienia, ale odwracają się wśród jęków. Wtem, w przerwie między nawałnicami wichury, rozległo się wycie kojotów; najpierw zawył jeden, potem drugi i trzeci, a wreszcie wszystkie razem - obwieszczały nam, że zaczyna się zima. Na ten dźwięk rozległa się odpowiedź z łóżka - długi żalony krzyk - jakby Pawła nawiedziły jakieś okropne sny albo budził się w poczuciu strasznego nieszczęścia. Piotr słuchał, ale się nie poruszył. Siedział na podłodze przy piecu. Kojoty znów się odezwały - jap, jap, jap... i rozległo

38 WILLA CATHER

się przeciągłe wycie. Paweł o coś prosił i z trudem podparł się na łokciu.

- Boi się wilków - szepnęła Antonia - w jego kraju jest bardzo wiele, zjadają mężczyzn i kobiety. - Przysunęliśmy się do siebie bliżej.

Nie mogłem oderwać oczu od Pawła leżącego w łóżku. Koszulę miał szeroko rozchyloną, a wychudzona pierś, porośnięta jasnymi włosami, unosiła się i opadała gwałtownie. Zaczął kaszleć. Piotr zerwał się na nogi, chwycił czajnik i zmieszał gorącą wodę z whisky. Po kuchni rozszedł się ostry zapach alkoholu.

Paweł chwycił kubek i wypił, po czym kazał sobie podać butelkę, którą wsunął pod poduszkę, uśmiechając się drwiąco, jakby kogoś okpił. Wodził oczami za Piotrem po pokoju, a był to wzrok nieprzyjazny i szyderczy. Odniosłem wrażenie, że pogardza nim za jego prostoduszność i łagodny charakter.

Nagle Paweł zaczął mówić do pana Szimerdy, a był to ledwie słyszalny szept. Snuł długą opowieść. Antonia ujęła mnie za rękę pod stołem i mocno ścisnęła. Nachyliła się do przodu i cała zamieniła się w słuch. Paweł z każdym słowem stawał się coraz bardziej podniecony i bez przerwy pokazywał na coś wkoło łóżka, jakby znajdowały się tam różne rzeczy i jakby chciał, aby pan Szimerda widział to wszystko.

- To wilki, Jimmy - cicho szepnęła Antonia. - To okropne, co on mówi.

Chory człowiek zaczął się złościć i wygrażać pięścią. Tak jakby przeklinał ludzi, którzy zrobili mu krzywdę. Pan Szimerda chwycił go za ramiona, ale z trudem udało mu się utrzymać go w łóżku. W końcu chorego zmógł atak kaszlu, od którego się o mało nie udusił. Wyciągnął kawałek płótna spod poduszki i przyłożył do ust. Wkrótce całe było w jaskrawoczerwonych plamach - wydało mi się, że jeszcze nie widziałem tak czerwonej krwi. Kiedy się położył twarzą do ściany, opuściło go to straszne zdenerwowanie. Leżał spokojnie, z trudem łapiąc oddech, jak dziecko złożone krupem. Ojciec Antonii odkrył jego długą, chudą i zaczął ją rytmicznie masować. Z ławki widzieliśmy, jak wynędzniałe było jego ciało. Kręgosłup i łopatki sterczały mu niczym kości pod skórą zabitego i leżącego na polu jelenia. Musiały go boleć tak kościste plecy, gdy na nich leżał.

Stopniowo zaczęliśmy odczuwać ulgę. Najgorsze minęło. Pan Szimerda dał nam znak, że Paweł zasnął. Piotr wstał bez słowa i zapalił lampę. Szedł zaprząc konie, aby nas odwieźć do domu, a pan Szimerda podążył za nim. Siedzieliśmy wpatrując się w skulone plecy pod niebieskim prześcieradłem i baliśmy się odдыchać.

W drodze powrotnej, kiedy leżeliśmy w słomie, a wóz podskakiwał i turkotał, Antonia opowiedziała mi tyle, ile zdołała powtórzyć. Czego nie zdołała wtedy, uzupełniła później; przez wiele następnych dni tylko o tym mówiliśmy.

Paweł i Piotr w młodości mieszkali w swoim kraju, w Rosji, i pewnego razu ich przyjaciel zwrócił się do nich z prośbą, aby byli drużbami na jego ślubie z piękną dziewczyną z sąsiedniej wsi. Była wtedy mroźna zima i młoda para jechała do ślubu saniami. Piotr i Paweł siedzieli w saniach razem z młodymi, a za nimi podążali krewni i przyjaciele w sześciu saniach.

Po ceremonii ślubnej w kościele wszyscy pojechali na obiad do rodziców młodej. Obiad trwał całe popołudnie, potem kolacja, która przeciągnęła się do późnej nocy. Dużo tańczono i pito. O północy rodzice pożegnali młodą i pobłogosławili. Młody wyniósł ją na rękach do sań i okrył kocami, po czym sam wskoczył i usiadł koło niej, a Paweł i Piotr (nasz Paweł i Piotr!) zajęli przednie miejsca. Paweł powoził. Całe towarzystwo ruszyło ze śpiewem i pobrzękiwaniem dzwonek u sań, sanie z młodymi jechały pierwsze. Wszyscy powożący mężczyźni byli mniej lub więcej podochoceni, a pan młody zajęty był swoją oblubienicą. Tej zimy grasowały wilki, wszyscy dobrze o tym wiedzieli, a mimo to, kiedy usłyszeli pierwsze wycie, nikt się tym specjalnie nie

przeraził. Zbyt dużo pojedli i popili. Pierwsze wycie wilków odbiło się echem, potem szybko

dobiegło następne. Wilki zbliżyły się wielkim stadem. Noc była bezksiężycowa, ale śnieg błyszczał w jasnym świetle gwiazd. Czarne stado pojawiło się na wzgórzu, za orszakiem ślubnym. Wilki pędziły jak cieniste strumienie; wydawało się, że nie są większe od psów, ale była ich cała chmara.

Coś się stało z ostatnimi saniami; woźnica stracił kontrolę - był zapewne bardzo pijany - konie zjechały z drogi, sanie uderzyły w drzewo i wywróciły się. Wszyscy wypadli na śnieg i w mig skoczyła na nich cała gromada wilków. Krzyki otrzeźwiły pozostałych. Powożący stali w saniach i poganiali konie. Młody miał najlepsze konie i najłżejsze sanie - we wszystkich pozostałych siedziało od sześciu do dwunastu osób.

Następny woźnica stracił panowanie. Rżenie koni było jeszcze bardziej przerażające niż krzyk ludzi. Nic nie mogło powstrzymać wilków. Trudno wyrazić to, co działo się z tyłu; ludzie, którzy wypadali z sań, krzyczeli tak samo żałościwie jak wszyscy, którzy już padli ofiarą wilków. Młoda skryła twarz na ramieniu męża i płakała. Paweł siedział spokojnie i pilnował koni. Droga była wyraźnie widoczna i biała, a trzy czarne konie mknęły jak wicher. Należało tylko zachować spokój i prowadzić je rozważnie.

Gdy wjeżdżali na wzgórze, Piotr uniósł się ostrożnie i obejrzał do tyłu. - Zostały już tylko trzy sanie - szepnął.

- A wilki? - spytał Paweł.
- Wystarczy! Wystarczy na nas wszystkich.

Paweł wjechał na wzgórze, ale w dół podążały za nimi już tylko dwie pary sań. Nagle, na wzgórzu, ujrzeli z tyłu za sobą kotłującą się czarną masę na śniegu. Młody krzyknął. Zobaczył, że wywróciły się sanie jego ojca, w których siedziała też matka i siostry. Poderwał się, jakby chciał wyskoczyć, ale młoda krzyknęła i zatrzymała go przy sobie. Było już za późno. Czarne cienie zgromadziły się nad kłębowiskiem na drodze, a jeden z koni pędził przez polę z wiszącą uprzężą i hordą wilków przy nogach. Ruch, jaki zrobił młody, natchnął Pawła pomysłem.

Do wioski mieli jeszcze kilka mil. Z sześciu sań jadących za nimi zostały już tylko jedne, a środkowy koń Pawła opadał z sił. Obok zamarznętego stawu coś się stało z następnymi saniami, Piotr wyraźnie to widział. Trzy ogromne wilki zagroziły drogę koniom, które oszalały. Zaczęły skakać jeden przez drugiego, zaplątały się w uprzęży i wywróciły sanie.

Kiedy ucichł krzyk, Paweł zrozumiał, że został sam jeden na znajomej drodze. - Czy gonią jeszcze? - spytał Piotra.

- Tak.
- Dużo?
- Dwadzieścia, trzydzieści... wystarczy.

Środkowego konia wlokły za sobą dwa pozostałe. Paweł przekazał lejce Piotrowi, a sam ostrożnie przeszedł do tyłu. Powiedział młodemu, że trzeba odciążyć sanie i wskazał na młodą. Młody obrzucił go przekleństwami i mocno przycisnął ją do siebie. Paweł usiłował młodą odciągnąć. Zaczęli ze sobą walczyć, młody wstał. Paweł wyrzucił go z sań, a za nim młodą. Mówił potem, że nie pamięta dokładnie, jak to się stało i co potem nastąpiło. Piotr, schylony na przodzie, niczego nie widział. Wkrótce dotarł do nich nowy dźwięk, który rozległ się w powietrzu, o wiele głośniejszy, niż kiedykolwiek - dzwon klasztorny nawołujący do pierwszych modlitw.

Paweł i Piotr sami dojechali do wsi i od tej pory byli już zawsze sami. Wypędzono ich ze wsi. Własna matka Pawła nie chciała go widzieć na oczy. Wędrowali po różnych miastach, ale gdy ludzie dowiedzieli się, skąd pochodzą, natychmiast pytano ich, czy nie słyszeli o tych dwóch, którzy rzucili młodą parę wilkom na pożarcie. Gdziekolwiek się udali, ta wieść dążyła za nimi. Oszczędzali przez pięć lat, żeby pojechać do

Ameryki. Pracowali w Chicago, Des Moines, Fort Wayne, ale nigdzie nie sprzyjało im szczęście. Gdy Paweł zapadł na zdrowiu, postanowili spróbować życia na farmie. Paweł zmarł w kilka dni później, opowiedziawszy tę historię panu Szimerdzie, i został pochowany na norweskim cmentarzu. Piotr sprzedał wszystko i wyjechał - zatrudnił się jako kucharz w kompanii budującej kolej, gdzie pracowało dużo Rosjan.

Na wyprzedazy kupiliśmy taczkę Piotra i część z jego upręży. Podczas aukcji chodził ze spuszczoną głową, nie podniósł oczu na nikogo. Wydawało się, że na niczym mu nie zależy. Był też lichwiarz z Black Hawk, który zajął mu żywy inwentarz, wykupił na wyprzedazy weksle w przeliczeniu pięćdziesiąt centów za dolara. Ludzie mówili, że Piotr pocałował krowę, gdy odchodziła z nowym właścicielem. Nie widziałem tego, ale wiem, że tak było. Kiedy rozkupiono już wszystkie meble, piec, garnki i patelnie, kiedy dom jego został już całkiem ogołocony, usiadł na podłodze ze scyzorykiem w ręku i zjadł wszystkie melony, które odłożył na zimę. Pan Szimerda i Krajiek podjechali wozem, żeby go podwieźć do pociągu, i tak go zastali, z ociekającą brodą, wśród stosu skórek od melonów.

Strata dwóch przyjaciół jeszcze bardziej przygnębiła pana Szimerdę. Wychodząc na polowanie zawsze wstępował do pustego domu z belek i siedząc tam rozmyślał. Ta chata była jego pustelnią, dopóki zimowe zasy nie zamknęły go we własnej jaskini. Dla mnie i dla Antonii historia weselna nie miała końca. Nikomu nie zdradziliśmy sekretu Pawła, strześliśmy go zazdrośnie - jakby ukraińskie wilki pojawiły się owej nocy i orszak weselny padł ich ofiarą po to, aby nam sprawić pełną smutku, ale jakże niezwykłą przyjemność. Wieczorem, przed zaśnięciem, często siedziałem w saniach, które ciągnęły trzy konie, mknąc przez krainę przypominającą trochę Nebraskę, a trochę Wirginię.

IX

Pierwszy śnieg spadł wcześniej, w grudniu. Pamiętam, jak wyglądał wtedy świat z okna naszej bawialni, gdzie tego ranka ubierałem się przy piecu; niebo wisiało nisko i przypominało ogromną stalową taflę, jasne pola kukurydzy okryły się jakąś upiorną szatą, mały staw zamarzył, a nad nim sterczały sztywne wierzbowe krzaki. Wokoło wirowały białe, wielkie płatki śniegu i znikwały w czerwonej trawie.

Za stawem, na zboczu wiodącym ku polom kukurydzy, zaznaczało się delikatnie w trawie ogromne koło, wyjeżdżone przez Indian. Jake i Otto byli przekonani, że Indianie jeżdżąc po tym kole torturowali więźniów przywiązanych do pała w środku, dziadek natomiast uważał, że urządzali tu wyścigi konne albo po prostu ćwiczyli biegi. Jeżeli patrzyło się na to zbocze o zachodzie słońca, koło rysowało się niczym jakiś wzór na trawie. Tego ranka, kiedy przyprószył śnieg, koło odznaczało się szczególnie wyraźnie, jakby na płótnie pociągnięto pędzlem chińską bielą. To koło, od dawna mi znane, robiło na mnie teraz szczególne wrażenie i uznałem je za dobry omen na zimę.

Kiedy śnieg się uleżał, zacząłem jeździć na sankach, dość obskurnych, które Otto zrobił mi ze skrzynki po jakichś produktach i przymocował do płozów. Fuchs jeszcze w starym kraju terminował kiedyś u stolarza, który robił meble, i bardzo zręcznie obchodził się z narzędziami. Zrobiłby lepsze sanki, gdybym go tak nie poganiał. Najpierw pojechałem na pocztę, a następnego dnia zabrałem Antonię i Julkę na przejażdżkę.

Był jasny, mroźny dzień. Nakładłem na sanie słomy i bawolich skór, wziąłem też dwie gorące cegły, które owinąłem w stare koce. Nie podjechałem pod sam dom Szimerdów, tylko zawołałem z dołu siedząc na sankach. Antonia i Julka wybiegły w kapturkach ze skórek króliczych, które zrobił im ojciec. Słyszały o moich saniach od Ambrosza i wiedziały od razu, po co przyjechałem. Usadowały się za mną i ruszyliśmy w kierunku północnym, drogą, która była już przetarta.

Niebo było błękitne, a słońce na lśniących białych połaciach prerii niemalże oślepiało. Antonia stwierdziła, że cały świat zmienił się od śniegu; na próżno staraliśmy się dojrzeć jakieś znajome znaki. Głęboki wąwóz, przez który wił się Squaw Creek, był teraz wąską szczeliną wśród zasp, intensywnie niebieską, gdy spojrzano się

w dół. Wierzchołki drzew, złociste jesienią, teraz skurczyły się i pochylały, jakby już nigdy więcej miało się nie obudzić w nich życie. Dwa małe cedry, tak ponure i mroczne przedtem, teraz stały sztywno, ciemnozielone. Wiatr miał piekący smak

świeżego śniegu; w gardle i w nozdrzach tak mnie szczypało, jakby ktoś otworzył butelkę z amoniakiem. Mróz był aż kłujący, a jednocześnie zachwycał. Koń oddychając wypuszczał gorącą parę, a ilekroć się zatrzymywał, wokół niego unosiły się jakby kłęby dymu. Kukurydziane pola w tym oślepiającym blasku odzyskały cokolwiek swoją barwę i rozciągały się bladozłociste w słońcu i śniegu. Wszędzie dokoła śnieg zbił się w płytkie tarasy, poznaczone jakby zmarszczkami na brzegach, krętymi falami, które sprawiały wrażenie, jakby zostały posiekane biczami na wietrze.

Dziewczęta były w kretonowych sukienkach i w szalach; trzęsy się pod bawolimi skórami i tuliły do siebie, żeby się choć trochę rozgrzać. Ale były szczęśliwe, bo wydostały się ze swojej ponurej nory, w której utyskiwała matka, i błagały mnie, abym jechał dalej i dalej, aż do domu Piotra Rosjanina. Wielkie orzeźwiające przestrzenie po ciepłym zaduchu w chacie wyzwoliły w nich szal radości. Śmiały się i wykrzykiwały, twierdziły, że już w ogóle nie chcą wracać do domu. A może byśmy się osiedlili w chacie Piotra Rosjanina? - spytała Julka. - Może pojechałbyś do miasta i kupił wszystko, co jest potrzebne do prowadzenia domu?

Przez całą drogę do chaty Piotra rozsadzała nas radość, ale kiedy wracaliśmy - chyba około czwartej - nasilił się wschodni wiatr i zaczął napierać na nas całą siłą; słońce przestało grzać, a niebo stało się szare i posępne. Zdjąłem z siebie wełniany szalik i owinąłem nim szyję Julki. Tak zziębła, że wsunęliśmy ją z głową pod bawolą derkę. Antonia i ja siedzieliśmy prosto, ale niezgrabnie trzymałem lejce, a wiatr chwilami całkiem mnie oślepił. Już się ściemniało, gdy dotarliśmy do ich domu, ale nie chciałem już wejść do środka, żeby się rozgrzać. Czułem, że jeżeli się zbliżę do pieca, rozbolą mnie ręce. Julka zapomniała mi oddać szalik, a dalsza moja droga do domu była pod wiatr. Następnego dnia dostałem ropień w gardle i musiałem siedzieć w domu prawie dwa tygodnie.

Kuchnia była cudownie przytulna i ciepła w tych dniach - jak szczelna mała łódeczka na morzu podczas zimy. Ludzie pracowali przez całe dni w polu przy łuskaniu

kukurydzy, a kiedy przychodzili w południe, w długich czapach nasuniętych na uszy i wysokich kaloszach z czerwonym paskiem, wydawali mi się odkrywcami Arktyki. Po południu babcia siadała zwykle na górze cerując lub robiąc rękawice do łuskania kukurydzy, a ja czytałem jej na głos "Szwajcarską rodzinę Robinsonów". Byłem przekonany, że przygody szwajcarskiej rodziny nie dorównują naszym i że największym wrogiem człowieka jest zimno. Podziwiałem radosny zapał babci, jaki przejawiała w prowadzeniu domu, żeby nam było ciepło, wygodnie, żeby nas dobrze nakarmić. Często, kiedy przygotowywała wszystko na powrót z pracy głodnych ludzi, przypominała mi, że to nie Wirginia i że tutaj gospodyni musi być zupełnie inna. W niedziele podawała nam tyle kurczaków, ile tylko mogliśmy zjeść, w pozostałe dni mieliśmy szynkę albo bekon, albo kiełbasę. Codziennie piekła szarlotkę albo jakieś inne ciasto, a czasami, dla odmiany, robiła mój ulubiony budyń z rodzynkami, gotowany w woreczku.

Poza dbaniem o ciepło, najbardziej interesującym wydarzeniem były obiady i kolacje. Nasze życie koncentrowało się wokół ciepła, jedzenia i powrotu mężczyzn z pola

0 zmierzchu. Zastanawiałem się nieraz, jak to możliwe, że po powrocie z pola, zmęczeni, ze zdrętwiałymi nogami

1 popękanyimi, obolałymi rękoma, mogli jeszcze robić przytomnie takie rzeczy jak: nakarmić i napoić konie, a także podsypać ściółki, wydoić krowy i dojrzyć świnię. Po kolacji długo jeszcze wygrzewali zziębnięte kości. Kiedy ja zmywałem z babcią

naczynia, a dziadek czytał na górze gazetę, Jake i Otto siadali na długiej ławie za piecem i tam suszyli buty albo wcierali baranie sadło w popękane ręce.

W każdą sobotę wieczorem prażyliśmy kukurydzę lub robiliśmy toffi, a Otto Fuchs śpiewał: "Bo ja jestem kowboj, wiem, że zawiniłem" albo "Nie zakopcie mnie na samotnej prerii". Miał dobry baryton i zawsze przewodził w śpiewie podczas nabożeństw, które się odbywały w szkolnej lepiance.

Wciąż jeszcze widzę tych dwóch mężczyzn siedzących na ławce; Otto z krótko przystrzyżonymi włosami i Jake'a z kędzierzawą czupryną sczesaną gładko do przodu mokrą

szczotką. Widzę ich pochylone ze zmęczenia plecy oparte o bieloną ścianę. Jacy byli poczcwi, ile widzieli i jacy byli wierni!

Fuchs był kowbojem, stangretem dylizansu, barmanem, górnikiem, wędrował po całym Zachodzie i pracował wszędzie, choć, jak babcia mówiła, niczego nie zdobył. Jake był mniej błyskotliwy. Prawie nie umiał czytać, z trudem się podpisywał i miał gwałtowne usposobienie, czasami zachowywał się jak szalony – tracił nad sobą panowanie, a potem było mu nieprzyjemnie. Ale miał gołębnie serce, każdy mógł go wykorzystać. Jeżeli, „zapomniał się”, jak sam to określał, i zaklął w obecności babci, cały dzień chodził zgnębiony, było mu wstyd. Obaj mieli jowialny stosunek do mrozu w zimie i upału w lecie, zawsze byli chętni do pracy, o każdej porze i w każdej potrzebie. Nie oszczędzali się i byli z tego dumni. A jednak do niczego w życiu nie doszli, ciągle pracowali za jednego czy dwa dolary dziennie.

W owe lodowate i rozświetlone gwiazdami wieczory, kiedy to siadywaliśmy wokół starego pieca, który nas karmił, ogrzewał i napełniał radością, słuchaliśmy wycia kojotów poza ogrodzeniem, a ich wygłodniały zimowy krzyk przypominał chłopcom wspaniałe historie o zwierzętach: o szarych wilkach i niedźwiedziach w Górach Skalistych, o żbikach i panterach w górach Wirginii. Czasami udawało nam się nakłonić Fuchsa do opowieści o banitach i desperatach, których spotkał w swoim życiu. Pamiętała pewną zabawną historię o nim samym: babcia, słuchając jej, óniab się do łez, a że akurat wyrabiała na stolnicy ciasto na chleb i miała umączzone ręce, musiała oóenc oczj wierzchem dłoni. A oto opowieść Fuchsa:

Kiedy Ono wyjeżdżał z Austrii do Ameryki ktoś z jego krewnych zwrócił się do niego z prośbą, aby zaopiekował się pewną kobietą, która płynęła tym samym statkiem do męża do Chicago. Kobieta wyruszyła w drogę z dwojpe® dzieci, ale nietrudno się było domyślić, że jej rodzina 002? się powiększy w czasie podróży. Fuchs powiedział- ** „całkiem nieźle sobie radził z dziećmi” i polubił ich matkę- choć splatała mu porządnego figła. Na samym środku oceanu przystąpiła do rodzenia nie jednego dziecka, a trojaczków! Wobec takiego wydarzenia Fuchs, który razem z nią podróżował, stał się obiektem niezасłużonego rozgłosu. Stewardesa pokładu dla ubogich pasażerów była na niego oburzona, lekarz spoglądał podejrzliwie. Pasażerowie pierwszej klasy, którzy urządzili na tę kobietę składkę pieniężną, zaczęli okazywać dość kłopotliwe dla niego zainteresowanie i często wpytywał go o jego podopiecznych. Kiedy trojaczki wysadzono w Nowym Jorku na brzeg, musiał, jak sam powiedział, „niektóre z nieb nieść”. Droga do Chicago była jeszcze gorsza niż podróż przez ocean. W pociągu trudno było zdobyć mleko dla dzieci i utrzymać butelki w czystości. Matka starała się, jak mogła, ale żadna kobieta nie zdołała wykarcić trojga dzieci z naturalnych zasobów. W Chicago mąż jej pracował w fabryce mebli i skromnie zarabiał, toteż kiedy zobaczył na stacji swoją rodzinę, był przybity jej liczebnością. On takżp zdawał się obwiniać za to Fuchsa. JSyłem oczywiście zadowolony – podsumował Otto – że nie czuł urazy do tej biednej kobiety, ale na mnie patrzył złym okiem A teraz niech mi pani powie, pani Burden, czy słyszała pani kiedykolwiek, żeby młody człowiek miał takiego pecha? **

Babcia powiedziała na to, że jest przekonana, że Pan Bóg mu to pamięta i nie raz pomagał mn w różnych opałach, choć Otto nawet nie zdawał sobie sprawy, że czuwa nad nim Opatrzność.

X

Po mojej przejażdżce saniami przez kilka tygodni nie mieliśmy żadnych wieści od Szimerdów. Ból gardła trzymał pinie dość długo w domu, a potem babcia saę przeziębiła i trudniej jej było zajmować się domem W niedzielę była zadowolona, że ma jeden dzień odpoczynku. Któregoś wieczoru przy kolacji Fuchs powiedział nam że

widział pana Szimerdę na polowaniu.

- Wiesz, Jim, zrobił sobie czapkę ze skóry królika i kołnierz, który zapina sobie na płaszczu. Mają tylko jeden płaszcz i noszą go wszyscy po kolei. Chyba się okropnie boją zimna, bo siedzą w tej swojej norze jak borsuki.

- Wszyscy oprócz tego głupiego chłopaka - dodał Jake. - On nigdy nie nosi palta. Krajiek mówi, że jest okropnie mocny i wszystko wytrzyma. Coś mi się zdaje, że coraz mniej królików w tych stronach. Ambrosz wczoraj przechodził koło pola kukurydzy, gdzie pracowałem, i pokazał mi trzy preriowe psy, jakie ustrzelił. Spytał, czy są dobre do jedzenia, na co się skrzywiłem, żeby go odstraszyć, ale tak patrzył, jakby lepiej ode mnie wiedział. Włożył je z powrotem do worka i poszedł.

Babcia podniosła głowę w przerażeniu i powiedziała do dziadka: - Josiah, chyba nie myślisz, że Krajiek pozwoli tym biedakom jeść psy?

- A może byś odwiedziła jutro naszych sąsiadów, Emmaline - odparł z powagą.

Fuchs powiedział coś do śmiechu i dodał, że preriowe psy to czyste zwierzaki i powinny się nadawać do jedzenia, gdyby nie ich rodzinne powiązania. Spytałem go, co to znaczy, a on uśmiechając się odparł, że należą do rodziny szczurów.

Kiedy zszedłem rano na dół, babcia i Jake układali coś w koszu.

- Słuchaj, Jake - odezwała się babcia - może byś znalazł tego starego koguta, któremu zmarł grzebień, i ukręcił mu głowę, to byśmy go ze sobą zabrali. Nie pojmuję, jak to się stało, że pani Szimerda nie dostała kur od sąsiadów jesienią, już by miała własny kurnik. Myślę, że była zagubiona i nie wiedziała, od czego zacząć. Sama kiedyś przybyłam do obcej krainy, ale pamiętam, że dobrze mieć kury, bez względu na wszystko.

- Jak sobie pani życzy, proszę pani - rzekł Jake - ale krew mnie zalewa, jak pomyślę, że ten Krajiek będzie zajadał nogę naszego starego koguta. - Wypadł z kuchni i zatrzasnął za sobą drzwi.

Po śniadaniu babcia, Jake i ja opatuleni usadowiliśmy się na przodzie wozu. Zbliżając się do domu Szimerdów usłyszeliśmy skrzypienie zamrożonej pompy i ujrzeliśmy Antonię z głową obwiązaną chustką i w kretonowej sukience, którą wiatr szarpał na wszystkie strony. Z całych sił unosiła i opuszczała rączkę pompy. Usłyszawszy nasz wóz obejrzała się za siebie i chwyciwszy wiadro z wodą rzuciła się pędem w stronę dziury w zaspie.

Jake pomógł babci zsiść z wozu i powiedział, że przyniesie jedzenie, tylko okryje derkami konie. Poszliśmy wolno zamrożoną ścieżką w stronę drzwi zatopionych w zboczu wzgórza. Niebieskie kłęby dymu dobywały się z komina, który sterczał pośród traw i śniegu, a wiatr roznosił je daleko.

Pani Szimerda otworzyła drzwi, nim jeszcze zdążyliśmy zapukać, i chwyciła rękę babci. Nie powiedziała "Jak się masz" - a tak zawsze mówiła na powitanie - tylko od razu wybuchnęła płaczem i zaczęła coś szybko mówić w swoim języku wskazując na nogi owinięte szmatami i patrząc na przybyłych oskarżycielskim wzrokiem.

Jej mąż siedział na pieńku koło pieca kuląc się, jakby się chciał schować przed wszystkimi. Julka przykucnęła na podłodze u jego stóp z kotem na kolanach. Zerknęła na mnie i uśmiechała się, ale spojrzawszy na matkę, spuściła głowę. Antonia zmywała naczynia w ciemnym kącie. Pomyłony chłopak leżał pod jedynym w tej chacie oknem, wyciągnięty na worku wypchanym słomą. Natychmiast po naszym wejściu rzucił worek na szczelinę pod drzwiami. Panował tu okropny zaduch i do tego jeszcze ciemność. Lampa wisząca nad piecem rzucała tylko słaby żółty odblask.

Pani Szimerda odkryła dwie beczki stojące za drzwiami i kazała nam do nich zajrzeć. W jednej było trochę ziemniaków, zamrożonych i nadgniłych, w drugiej odrobina mąki. Babcia coś mruknęła w zakłopotaniu, a czeska kobieta roześmiała się

pogardliwie, jakby zarżała, i chwyciwszy z półki pusty dzbanek do kawy potrząsnęła nim przed nami ze wzrokiem prawie że mściwym.

Babcia zaczęła coś mówić w ten swój uprzejmy wirgiński sposób, nie wspominając ani słowem o ich biedzie ani własnej opieszałości, aż zjawił się Jake z koszem, jakby

w bezpośredniej odpowiedzi na wymówki pani Szimerdy. Wtedy biedna kobieta załamała się. Osunęła się na podłogę obok swego pomyłonego syna, ukryła twarz na kolanach i tak siedziała płacząc gorzko. Babcia nie zwracała na nią uwagi, tylko poprosiła Antonię, żeby podeszła i pomogła opróżnić koszyk. Antonia opuściła swój kąz z ociąganiem, Jeszcze nigdy nie widziałem jej tak przygnębionej.

- Pani nie zwraca uwagę na moja maminka, pani Burden. Jest taka smutna - szepnęła wycierając mokre ręce o sukienkę i biorąc to, co podawała jej babcia.

Pomyłony chłopak widząc jedzenie zaczął wydawać jakieś ciche, gardłowe odgłosy i uderzać się po brzuchu. Jake wszedł znowu, tym razem z workiem ziemniaków. Babcia rozejrzała się z zakłopotaniem.

- Antonio, czy nie macie na zewnątrz jakiejś piwnicy albo dołu? Tu nie można trzymać warzyw. Jak to się stało, że zmarzły wam ziemniaki?

- My dostali od pana Bushy, na poczcie, co wyrzucił. My nie mamy ziemniaki, pani Burden - Antonia wyznała z żalem.

Gdy Jake wyszedł, Marek poczołgał się po podłodze i znowu zatkał szczelinę w drzwiach. Wtem cicho jak duch wyszedł zza pieca pan Szimerda. Stojąc pocierał ręką siwą gładką czuprynę, jakby chciał rozproszyć mgłę, która unosiła się wokół jego głowy. Wyglądał czysto i porządnie jak zwykle, miał zielony szalik i spinkę z koralem. Wziął babcię pod ramię i poprowadził ją za piec w końcu izby. W tylnej ścianie była mała wnęka - okrągła dziura, nie większa niż beczka po nafcie, wykopana w czarnej ziemi. Kiedy wszedłem na stołek i zajrzałem do niej, zobaczyłem tam trochę pościeli i kupkę słomy. Starszy człowiek trzymał w ręku lampę. - Julka - powiedział cichym, zrozpaczonym głosem. - Julka, moja Antonia.

Babcia cofnęła się. - Czy to znaczy, że tam śpią- dziewczynki? - Skinął głową.

Antonia wsunęła mu się pod ramię. - Tu na podłodze jest zimno, a tam jest ciepło, jak nora borsuka. Ja lubię spać tam - zapewniała żywo. - Moja maminka ma ładne łóżko, poduszki z naszej własnej gęsi w Czechach. Widzisz, Jim? - wskazała na wąską koję, którą zrobił dla siebie Krajiek przy ścianie, jeszcze przed przyjazdem Szimerdów.

Babcia westchnęła. - Oczywiście, kochanie, bo i gdzie byś mogła spać! Nie wątpię, że ci jest tam ciepło. Niedługo będziecie mieli lepszy dom i wtedy, Antonio, zapomnisz o tych ciężkich czasach.

Pan Szimerda zmusił babcię, aby usiadła na jedynym krześle, a żonie wskazał obok stołek. Stanął przed nimi położywszy dłoń na ramieniu Antonii i zaczął mówić niskim głosem, a córka tłumaczyła. Chciał, abyśmy wiedzieli, że nie byli żebrakami w starym kraju; dobrze zarabiał, a jego rodzina cieszyła się szacunkiem. Opuścił Czechy mając jeszcze ponad tysiąc dolarów oszczędności po opłaceniu podróży. Trochę stracił na wymianie w Nowym Jorku, a opłata kolejowa do Nebraski była większa, niż się mogli spodziewać. Po zapłaceniu Krajiekowi za ziemię, konie, woły i różne gospodarskie urządzenia, pozostało im już bardzo niewiele. Pragnął jednak, aby babcia wiedziała, że jeszcze ma trochę pieniędzy. Jeżeli dotrwią do wiosny, kupią krowę, kilka kurczaków i założą ogród, a wtedy będzie im bardzo dobrze. Ambrosz i Antonia już podrosli, mogą pracować w polu, mają zresztą na to ochotę. Ale śnieg i ostra zima wprawiły ich wszystkich w przygnębienie.

Antonia wyjaśniła, że ojciec zamierza zbudować dla nich nowy dom wiosną; z Ambroszem uszykował już drzewo, ale teraz jest przysypane śniegiem, nad rzeką, gdzie je wycięli.

Babcia zachęcała i udzielała różnych rad, a ja usiadłem na podłodze koło Julki, która pokazywała mi kota. Marek ostrożnie przysunął się do nas i zaczął pokazywać błoniaste palce. Czuję, że chce popisać się przede mną różnymi odgłosami - chce

zaszczekać jak pies, zarzęć jak koń - ale nie miał odwagi w obecności dorosłych. Marek zawsze starał się być posłuszny, biedaczek, jakby rozumiał, że musi nadrobić tym wszystkie swoje ułomności.

Fani Szimerda stopniowo się uspokoiła i stała się rozsądna i nawet co chwila z własnej inicjatywy wtrącała jakieś słowa, które Antonia tłumaczyła. Miała czułe ucho i w mig

chwytala angielskie slowa. Kiedy podnieśliśmy się, żeby już wracać, otworzyła drewniany kufer i wyjęła woreczek uszyty z wsypy, długości worka na mąkę, ale o połowę węższy, czymś do pełna wypchany. Na ten widok Marek zaczął mlaskać. Pani Szimerda rozwiązała woreczek i zamieszała w środku ręką, a wtedy rozniósł się słony zapach ziemi, bardzo ostry, mimo tylu różnych zapachów, jakimi przesycona była ta nora. Odmierzyła filiżankę od herbaty, zawinęła w szmatkę i wręczyła to ceremonialnie babci.

- Dla gotowanie - oznajmiła. - Mało teraz, ale dużo, kiedy gotować - rozłożyła ręce, jakby chciała pokazać, że kwarta powiększy się w galon. - Bardzo dobre. Wy nie macie w tym kraju. Wszystko do jedzenia lepsze w mój kraj.

- Może i tak, pani Szimerda babcia rzekła oziębłe. - Trudno mi powiedzieć, ale ja w każdym razie wolę nasz chleb.

Antonia zaczęła wyjaśniać. - To bardzo dobre, pani Burden. - Klasnęła w dłonie, jakby nie mogła inaczej wyrazić, jak dobre. - Robi się dużo, kiedy gotować, tak jak mówi mama. Gotować z królikiem, z kurczakiem, w sosie... och, bardzo dobre!

Przez całą drogę do domu babcia i Jake rozwodzili się nad tym, jak łatwo chrześcijanie zapominają o wspieraniu swych braci.

- Ale powiadam ci, Jake, niektórym spośród naszych braci i siostr trudno jest pomóc. Bo i od czego ma człowiek zacząć z takimi ludźmi? Potrzebują wszystkiego, a najbardziej to konia. Ale nikt im przecież konia dać nie może. A poza tym to mają chyba tyle pojęcia o gospodarstwie, co nasz Jimmy. Myślisz, że ten ich chłopak, Ambrosz, coś potrafi?

- Dobrze pracuje, proszę pani, jest nawet zaradny, tylko że jest skąpy. Ludzie mogą być skąpi i radzą sobie na tym świecie, ale bywają zanadto skąpi.

Tego wieczoru, kiedy babcia przygotowywała kolację, rozwiązaliśmy pakiecik, który nam dała pani Szimerda. Pełno w nim było małych brązowych wiórków, które wyglądały jak skrawki jakiegoś korzenia. Były lekkie jak piórka, ale najbardziej charakterystyczny wydawał się ten przenikliwy zapach ziemi. Nie mogliśmy się zorientować, czy to jakieś zwierzę, czy roślina.

- Może to być suszone mięso z jakiegoś dziwnego zwierzęcia, Jim. Bo nie jest to suszona ryba ani nic, co rośnie na łące czy też się pnie. Boję się tego. Nie mam ochoty jeść czegoś, co przez całe miesiące leżało zamknięte, razem ze starymi ubraniami i poduszkami z gęsiego pierza.

Wrzuciła cały pakiecik do pieca, ale mnie został kawałek w ręku i zacząłem go żuć. Długo nie mogłem zapomnieć dziwnego smaku; a było to wiele lat temu, nim się dowiedziałem, że te małe brązowe wiórki, które pani Szimerda przywiozła z tak daleka i strzegła jak skarbu, to były grzyby. Zostały zebrane pewnie w głębokich czeskich lasach.

XI

W ostatnim tygodniu przed Bożym Narodzeniem najważniejszą osobą w naszym domu był Jake, bo miał jechać do miasta i zrobić wszystkie świąteczne zakupy. Jednakże dwudziestego pierwszego grudnia zaczął padać śnieg. Sypał tak gęstymi płatami, że z bawialni widać było tylko wiatrak, a dalej już nic - a nawet wiatrak miał zarys niewyraźny i szary, nierealny jak cień. Padał przez cały dzień i przez całą noc. Nawet nie było dużego mrozu, ale śnieg prószył nieustannie i spokojnie. Mężczyźni mogli dotrzeć zaledwie do stajni i zagrody dla bydła. Siedzieli w domu prawie cały dzień, jakby to była niedziela; natłuszczali buty, naprawiali szelki, pletli bicze. Dwudziestego drugiego rano dziadek oświadczył przy śniadaniu, że nie ma możliwości, aby jechać do Black Hawk po świąteczne zakupy. Jake twierdził, że może

pojechać na koniu i przywieźć wszystko, co trzeba, w workach przytroczonych do siodła, ale dziadek powiedział, że drogi są zasypane i ktoś nowy w tym kraju bez wątplenia zabłądzi. Poza tym, nie pozwoliłby, aby którykolwiek z jego koni miał być narażony na taki wysiłek.

Postanowiliśmy mieć wiejskie Boże Narodzenie, bez pomocy miasta. Chciałem kupić jakieś książki z ilustracjami dla Julki i Antonii; nawet Julka potrafiła już trochę czytać. Babcia zabrała mnie do lodowatej spiżarni, gdzie miała kilka sztuk kretonu w pasy i pościelowego płótna. Pocięła kreton w kwadraty, które zszyliśmy razem na kształt książki. Okładki zrobiliśmy z tektury, którą pokryłem błyszczącym materiałem we wzór ze scen cyrkowych. Przez dwa dni siedziałem przy jadalnym stole nalepiając obrazki dla Julki. Mieliśmy całe stosy starych magazynów rodzinnych, w których zazwyczaj zamieszczano kolorowe reprodukcje, i otrzymałem pozwolenie, aby niektóre wykorzystać. Na frontispis wybrałem "Napoleon ogłasza rozwód z Józefiną". Na białych stronicach zgrupowałem karty ze szkółki niedzielnej i różne reklamówki, które przywiozłem z mojego "starego kraju". Fuchs wyciągnął stare świerkowe formy i zrobił świece z łoju. Babcia odnalazła swoje fantazyjne foremki do ciastek i upiekła piernikowe ludziki i kogutki, które przystroiliśmy lukrem z cukru i kropeczkami z czerwonego cynamonu.

W przeddzień Bożego Narodzenia Jake zapakował w woreczki przytroczone do siodła wszystkie rzeczy, jakie uszykowaliśmy dla Szimerdów, i wyruszył na szarym wałachu dziadka. Kiedy wsiadał na konia przed drzwiami, zauważyłem, że ma siekiere przytroczoną do pasa i że spojrzał porozumiewawczo na babcię, z czego wywnioskowałem, że planuje dla mnie jakąś niespodziankę. Tego popołudnia siedziałem w bawialni przy oknie i wypatrywałem go długo i niecierpliwie. Wreszcie dostrzegłem ciemną plamę przesuwającą się po zachodnim wzgórzu, tuż przy polu kukurydzy do połowy zasypanym śniegiem, gdzie niebo miało kolor miedziany od słońca, które się nie przedostało przez chmurę. Nałożyłem czapkę i wybiegłem na spotkanie Jake'a. Kiedy dobiegłem do stawu, zauważyłem, że wiezie małe cedrowe drzewko przytroczone do siodła. Zwykle pomagał memu ojcu ścinać dla mnie choinki w Wirginii i nie zapomniał, jak bardzo je lubię.

Nim umieściliśmy zimne, pachnące świeżością drzewko w rogu salonu, była już Wigilia. Po kolacji wszyscy się tam zgromadziliśmy i nawet dziadek, czytając gazetę przy stole, coraz to spoglądał na choinkę z życzliwym zainteresowaniem. Drzewko miało około pięciu stóp wysokości i było bardzo kształtne. Zawiesiliśmy na nim zwierzaczki z piernika, sznurki prażonej kukurydzy i kawałki świecy, które Fuchs oprawił w tekturowe podstawki. Ale największy splendor spłynął na choinkę z najbardziej nieprawdopodobnego miejsca na świecie - z kowbojskiego kufra Otto Fuchsa. Zawsze widziałam w tym kufrze tylko stare buty, ostrogi i pistolety oraz zachwycającą różnorodność rzemyków z jasnej skóry, naboi i wosku do butów. Spod płótna Otto wyjął teraz kolekcję barwnych papierowych figurek, wysokich na kilka cali i tak usztywnionych, że mogły stać samodzielnie. Przesyłała mu je co roku matka z Austrii. Było tam krwawiące serce ozdobione papierową koronką; trzej królowie w dostojnych szatach i wół, i osiołek, i pastuszkowie; było też dzieciątko w żłobku i kilka śpiewających aniołów; były wielbłądy i leopardy, które trzymali czarni niewolnicy królów. Nasze drzewko stało się mówiącym drzewkiem z bajki; legendy i baśnie gnieździły się jak ptaki wśród jego gałęzi. Babcia orzekła, że przypomina jej Drzewo Wiadomości. Na dole ułożyliśmy z waty śnieg, a kieszonkowe lustro Jake'a posłużyło jako zamrożone jezioro.

Widzę ich wszystkich jeszcze teraz, dokładnie tak jak wyglądali przy stole w blasku lampy: Jake, który miał grube rysy i tak nieforemne, że jego twarz wydawała się jakąś niewykończoną; Otto z pół uchem i barbarzyńską szramą okrutnie wywijającą mu górną wargę pod podkręconym wąsem. Pamiętam, że były to twarze bezbronne; surowe i gwałtowne, ale w gruncie rzeczy łagodne. Ci chłopcy nie uczyli się manier, którymi mogliby się posługiwać i utrzymywać ludzi na dystans. Potrafili stawić czoło

świata tylko własnymi pięściami. Otto był jednym z tych twardych, solidnych robotników, którzy się nie żenią i nie mają dzieci. A przecież tak bardzo lubił dzieci!

XII

Kiedy rano w dzień Bożego Narodzenia zszedłem do kuchni, mężczyźni wracali już z porannych zajęć - konie

i świnie zawsze dostawały śniadanie przed nami. Jake i Otto wykrzyknęli do mnie "Wesołych Świąt" i mrugnęli do siebie na widok ciepłych wafli w brytfankach na piecu. Zszedł dziadek w białej koszuli i świątecznej marynarce. Poranna modlitwa była dłuższa niż zwykle. Dziadek czytał rozdziały ze św. Mateusza o narodzeniu Chrystusa, a nam, słuchającym tego, wydawało się, że zdarzyło się to niedawno, nieomal teraz. W modlitwie podziękował Bogu za pierwsze Boże Narodzenie i za wielkie znaczenie tego święta dla całego świata od wieków. Podziękował za nasze jado i wsparcie, pomodlił się za strapionych i biednych w wielkich miastach, gdzie walka o byt jest o wiele trudniejsza niż tutaj. Modlitwa dziadka była zawsze bardzo interesująca. To, co mówił, było proste, a poruszało do głębi. Może dlatego, że mówił zawsze tak mało, jego słowa miały szczególną moc; nie były zniszczone od ciągłego używania. Modlitwy jego były odbiciem jego myśli, dzięki nim wiedzieliśmy, co czuje i sądzi o wszystkim.

Kiedy usiedliśmy do naszych wafli i kiełbasy, Jake opowiedział nam, jak bardzo zadowoleni byli Szimerdowie z naszych prezentów; nawet Ambrosz był przyjacielski i poszedł z nimi nad rzekę, żeby wyciąć drzewko na choinkę. Dzień był spokojny, ale szary, ciężkie chmury przesunęły się po niebie i co pewien czas sypało gęstym śniegiem. Nawet w święta nie brakowało dla mężczyzn różnych zajęć w oborze; dopiero byli wolni po południu. Zagrałem wtedy z Jake'iem w domino, a Otto pisał długi list do matki. Zawsze pisze do niej w Boże Narodzenie, powiedział, bez względu na to, gdzie się znajduje i jak dawno temu pisał. Całe popołudnie siedział w bawialni. Popisał chwilę, potem siedział beczynn timerzymając zaciśnięte ręce na stole i wodząc oczami po deseni na ceracie. Mówił i pisał we własnym języku rzadko, szło mu to więc wcale niełatwo. Z trudem przypominał sobie słowa i to go całkowicie absorbowowało.

Okolo czwartej zjawił się gość - pan Szimerda, w czapce i kołnierzu z królika i nowych rękawiczkach, które zrobiła mu na drutach żona. Przyszedł nam podziękować za prezenty

i za serdeczność babci. Dołączyli do nas Jake i Otto i wszyscy razem siedzieliśmy przy piecu rozkoszując się głębokim urokiem zimowego popołudnia i poczuciem wygody i bezpieczeństwa w domu mego dziadka. Uczucie to zawładnęło całkowicie, jak się wydawało, panem Szimerdą. W tłocznym rozgardiaszu ich nory uwierzył, że pokój i ład zniknęły z tej ziemi albo istniały tylko w starym kraju, który pozostawił daleko za sobą. Siedział cicho i biernie, z głową na oparciu drewnianego bujanego fotela, z dłońmi skrzyżowanymi na ramionach. Na twarzy jego znać było zmęczenie i uczucie przyjemności, jak bywa z chorymi ludźmi, którzy po bólu doznają ulgi. Babcia nalegała, aby wypił szklanke jabłecznika, przebył przecież w zimnie długą drogę, a kiedy lekki rumieniec wystąpił mu na policzki, wydawało się, że jego twarz została wycięta z muszli, była bowiem tak przezroczysta. Nie mówił prawie nic, rzadko też się uśmiechał, ale gdy tak odpoczywał, mieliśmy poczucie, że jest naprawdę zadowolony.

Kiedy ściemniło się, spytałem, czy nie mógłbym zapalić świeczek na choince, nim zostanie wniesiona lampa. W żółtych stożkowatych płomieniach wszystkie barwne figurki z Austrii uwidoczniły się wyraźnie i wymownie na tle zielonych gałęzi. Pan Szimerda wstał, przeżegnał się i spokojnie uklęknął przed choinką ze spuszczoną głową. Jego długie ciało przybrało kształt litery "S". Zauważyłem, że babcia spojrziała na dziadka z lękiem w oczach. Był raczej zasadniczy w sprawach religijnych i nieraz wypowiadał swoje poglądy raniąc uczucia innych ludzi. Dotychczas nie było nic dziwnego w tym drzewku, lecz teraz, gdy ktoś przed nim klęczał... z figurkami, świeczkami... Dziadek przytknął tylko czubki palców do czoła i schylił swą sędziwą głowę wprowadzając w ten sposób nastrój wiary protestanckiej.

Poprosiliśmy naszego gościa, aby pozostał z nami na kolacji. Nawet nie musieliśmy długo go nakłaniać. Kiedy zasiedliśmy do stołu, spostrzegłem, że patrzy na nas z zadowoleniem, że nasze twarze są dla niego jak otwarte księgi. Jego przenikliwe oczy spoczęły na mnie i wydało mi

się, że patrzy daleko w moją przyszłość, że widzi drogę, którą muszę przebyć.

O dziewiątej pan Szimerda zapalił jedną z naszych latarek i nałożył płaszcz z futrzanym kołnierzem. Stał w małym korytarzu z latarką w ręku i futrzaną czapką pod pachą, ściskając po kolei nasze ręce. Kiedy ujął dłoń babci, pochylił się nad nią jak zawsze i powiedział wolno: - Dobra ko... bieta! - Nade mną zrobił znak krzyża, potem włożył czapkę i odszedł w ciemność. Kiedy wróciliśmy do bawialni, dziadek spojrzał na mnie badawczo. - Modlitwy dobrych ludzi są bardzo przydatne - orzekł spokojnie. XIII

W tygodniu poświęconym wystąpiła odwilż i do Nowego Roku cały świat wokół nas zamienił się w szarą breję, a pozbionym zboczem między wiatrakami i stajnią spływały strugi błotnistej wody. Na drogach pojawiły się łaty grząskiej czarnej ziemi. Powróciłem do wszystkich moich zajęć, przynosiłem kaczany kukurydzy, drzewo i wodę, a popołudnia spędzałem w stajni przyglądając się, jak Jake łuska kukurydżę za pomocą ręcznej łuszczarki.

Pewnego ranka w czasie odwilży przyjechały do nas na swoim włochatym koniu Antonia i jej matka. Była to pierwsza wizyta pani Szimerdy w naszym domu i natychmiast obiegła wszystko, lustrując nasze dywany, zasłony i meble, przez cały czas mówiąc do córki głosem zawistnym i pełnym żalu. W kuchni chwyciła żeliwny garnek, który stał na brzegu pieca, i powiedziała: - Pani ma wiele, Szimerdowie nie mają. - Uznałem, że babcia źle postąpiła, oddając jej ten garnek.

Po obiedzie, kiedy pomagała w zmywaniu, odezwała się podrzucając głową:
- Pani ma dużo rzeczy, żeby gotować. Gdyby ja wszystko to mieć, robić dużo lepiej.

Była zarozumiała i chępliwa, nawet bieda nie mogła jej upokorzyć. Byłem tak oburzony, że czułem niechęć nawet do Antonii i nie okazałem współczucia, kiedy powiedziała, że jej ojciec nie czuje się dobrze.

- Mój papa smutny za stary kraj. Źle wygląda. Nigdy już nie gra. W domu on grał skrzypce cały czas; wesela, tańce. Tutaj nigdy. Kiedy proszę, żeby zagrał, trzęsie głową. Czasem bierze skrzypce i robi palcami na strunach, 0 tak, ale nigdy nie gra. On nie lubi ten kraj.

- Kto nie lubi tego kraju, powinien zostać w swoim
1 orzekłem surowo. - Nikogo nie zmuszamy, żeby tu przyjeżdżał.

- On nie chciał, nigdy! - wybuchnęła. - Moja maminka kazała. Cały czas ona mówić: "Ameryka duży kraj, dużo pieniędzy, dużo ziemi dla moich chłopców, dużo mężów dla moje dziewczynki". Mój papa płakał, jak opuszczał stare przyjaciele, co z nim grali. On kochał bardzo człowieka, co gra długi róg jak ten - pokazała, jak się gra na puzonie. - Chodzą do szkoły razem i są przyjaciele od chłopca. Ale moja mama, ona chce Ambrosza bogatego, dużo bydlą.

- Twoja mama - powiedziałem zagniewany - chce odbierać wszystko innym ludziom.

- Twój dziadek bogaty - odparła gwałtownie. - Dlaczego nie pomoże mojemu papa? Ambrosz będzie bogaty też, kiedyś, zapłaci z powrotem. Ambrosz jest sprytny. To dla niego mama przyjechać tutaj.

Ambrosz był traktowany jako ważna osoba w rodzinie. Pani Szimerda i Antonia zawsze mu ulegały, choć często był w stosunku do nich gburowaty, a do ojca miał stosunek pogardliwy. Ambrosz i matka stawiali zawsze na swoim. Antonia najbardziej ze wszystkich kochała ojca, ale lękała się starszego brata.

Patrząc, jak Antonia i jej matka jadą po wzgórzu na swoim wynędzniałym koniu, wraz z żeliwnym garnkiem, odwróciłem się do babci, która zabrała się do cerowania, i powiedziałem, że mam nadzieję, że ta wścibska stara baba już więcej do nas nie przyjedzie.

Babcia roześmiała się i przeciągnęła igłę przez dziurę w skarpetce Otto Fuchsa. - Wcale nie jest stara, Jim, choć pewnie taka ci się wydaje. Nie będę rozpaczała, jeżeli

więcej nie przyjedzie. Ale widzisz nigdy nie wiadomo, jak może wpłynąć na człowieka ubóstwo. Kobieta staje się często zaborcza, gdy widzi, że jej dzieci są głodne. Przeczytaj mi teraz rozdział z "Księcia Domu Dawida". Zapomnijmy o naszych czeskich sąsiadach.

Łagodna, rześka pogoda utrzymywała się przez trzy tygodnie. Bydło w zagrodzie zjadało kukurydzę w takim tempie, że ludzie ledwie nadążali z łuskaniem, i mieliśmy nadzieję, że się akurat nada na pierwszy jarmark. Któregoś ranka dwa duże buhaje, Gladstone i Młody Brigham, uznały, że nadeszła już wiosna, i zaczęły baraszkować i tłuc się łbami poprzez kolczasty drut, którym były odgródzone. W końcu zdenerwowały się. Zaczęły ryczeć i wierzgać kopytami, wzbijając w górę kurzawę ziemi, wywracały oczy i podrzucały głowami. Wycofały się do najdalszego końca własnej zagrody i pędem rzuciły się na siebie. Buch, buch! - usłyszeliśmy zderzenia ich wielkich łbów, a od ich ryku zadrżały w kuchni garnki na półkach. Gdyby nie zostały pozbawione rogów, porozrywałyby się na kawałki. Wkrótce opasłe woły też się przyłączyły i zaczęły bóść się rogami. Zdołano oczywiście opanować tę walkę. Wszyscy staliśmy patrząc z podziwem, jak Fuchs wjechał do zagrody z widłami i dźgając nimi rozpędził całe bractwo.

Największa zawieja śnieżna zaczęła się w moje jedenaste urodziny, dwudziestego stycznia. Kiedy zszedłem na śniadanie tego ranka, Jake i Otto weszli do domu biali jak śnieżne bałwany. Walili się dłońmi po ramionach i tupali nogami. Na mój widok zaczęli się śmiać hałaśliwie, mówiąc:

- Tym razem, Jim, dostałeś urodzinowy prezent nie ma co. Zamówiono dla ciebie śnieżycę na sto dwa.

Przez cały dzień trwała zawieja śnieżna. Tym razem śnieg nie padał, ale po prostu sypał się z nieba, jakby rozpruła się pierzyna. Tego popołudnia kuchnia zmieniła się w warsztat stolarski; mężczyźni przynieśli narzędzia i zrobili dwie duże drewniane szufle o długich kijach. Ani babcia, ani ja nie mogliśmy wyjść na taką śnieżycę, wobec tego Jake poszedł nakarmić kury i przyniósł zaledwie kilka jajek, bo kury słabo się niosły.

Nazajutrz mężczyźni odgarniali śnieg aż do północy, żeby się mogli dostać do stajni... a śnieg wciąż sypał! Od kiedy dziadek zamieszkał w Nebrasce, a miało to miejsce dziesięć lat temu, nie było jeszcze takiej śnieżycy. Przy obiedzie dziadek powiedział, że nie będziemy się przedostawać do bydła - jest tak spasione, że może się obejść dzień bez karmy; ale jutro musimy je nakarmić i odmrozić zbiornik z wodą, żeby się mogło napić. Nawet nie mogliśmy dojrzeć ich zagrody, wiedzieliśmy jednak, że są tam młode woły, wszystkie razem skupione pod zaspą. Nasze srogie byki, tym razem już całkiem ujarzmione, ogrzewały sobie nawzajem boki. - Odechce im się rozrabiać na jakiś czas - powiedział Fuchs wesoło.

W południe tego dnia wcale nie słychać było kur. Po obiedzie Jake i Otto, którym wyszło już przemoczone ubranie, wyciągnęli sztywno ręce i zanurzyli się w zaspę. Zrobili w śniegu tunel do kurnika, o ścianach tak mocnych, że oboje z babcią mogliśmy swobodnie przechodzić. Okazało się, że kury śpią; pewnie uznały, że zapadła już noc. Tylko jeden stary kogut się kręcił i dziobał w twardą bryłę lodu w naczyniu do picia. Kiedy poświeciliśmy im w oczy latarką, rozległo się głośne gdakanie, zaczęły fruwać bezładnie, gubiąc pióra. Nakrapiane perliczki z główkami jak łebki od szpilek, tak zawsze trudne do schwytania, wybiegły z wrzaskiem w tunel i usiłowały przebić swoje brzydkie nakrapiane główki przez śnieżne ściany. Do piątej wszystkie prace zostały wykonane - w momencie, kiedy właśnie trzeba było przystąpić do następnych! Był to dziwny dzień, zupełnie inny niż zawsze.

XIV

Dwudziestego drugiego zbudziłem się rano z przerażeniem. Nim otworzyłem oczy, wiedziałem już, że coś się stało. Usłyszałem podniecone głosy w kuchni - w głosie babci było tyle niepokoju, że z miejsca uświadomiłem sobie, że przestała nad sobą panować. Każdego wydarzenia wy-

glądałem z zachwytem. Co się stało? - zastanawiałem się nakładając w pośpiechu ubranie. Może stajnia spłonęła, może było zamarzło na śmierć, może jakiś sąsiad zbłądził w śnieżnej zawiei?

W kuchni dziadek stał przy piecu z założonymi do tyłu rękoma. Jake i Otto zdjęli buty i wykręcali wełniane skarpety. Ich ubrania i buty parowały, obaj byli kompletnie wyczerpani. Na ławce za piecem leżał człowiek przykryty kocem. Babcia gestem wskazała mi jadalnię. Posłuchałem niechętnie. Obserwowałem ją, jak wchodzi i wychodzi z półmiskami. Miała mocno ściągnięte wargi i tylko mruczała do siebie: - Och, Zbawicielu.' Boże, Ty jeden tylko wiesz. Wszedł z kolei dziadek i zwrócił się do mnie ze słowami:

- Jimmy, dzisiaj nie będziemy się modlić, bo mamy bardzo dużo do zrobienia. Pan Szimerda nie żyje, a rodzina jego pogrążona jest w* wielkiej rozpacz. Ambrosz przybiegł do nas w nocy, Jake i Otto poszli z nim. Mieli ciężką noc, nie zadawaj im żadnych pytań. Tam na ławce śpi Ambrosz. Chodźcie, chłopcy, na śniadanie!

Jake i Otto, łyknąwszy kawy, zaczęli mówić w wielkim podnieceniu, nie bacząc na ostrzegawcze spojrzenia babci. Nie odzywałem się, ale czujnie nastawiłem uszy.

- Nie, proszę pana - odparł Fuchs na pytanie dziadka

- nikt nie słyszał strzału. Ambrosz wyszedł z wołami, żeby przetrzeć drogę, a kobiety siedziały w chacie. Kiedy Ambrosz wrócił, było już ciemno i nic nie widział, ale woły zachowywały się jakoś dziwnie. Jeden wyrwał się i uciekł

- już ze stajni. Ma bliznę na rękach w tym miejscu, gdzie obtarł go powróż. Wziął latarkę i wrócił do stajni, a wtedy znalazł go, tak jak widzieliśmy.

- Biedaczysko, biedaczysko! - współczującym głosem mówiła babcia. - Nie mogę wprost uwierzyć, że to zrobił. Był zawsze taki delikatny, tak nie chciał nikomu sprawiać kłopotu. Jak mó\$ tak się zapomnieć i sprowadzić to na nas!

- Nie wydaje mi się, aby stracił głowę choćby na minutę, pani Burden - oświadczył Fuchs. - Wszystko zrobił, jak zwykle. Wie pani, był zawsze dokładny i taki pozostał do końca. Ogołił się po obiedzie, potem, jak dziewczynki pozmywały, umył się cały. Antonia nagrzała mu wody. Włożył czystą koszulę i czyste skarpetki i jak się już ubrał, ucałował Antonię i tę młodszą, wziął strzelbę i powiedział, że idzie upolować królika. Poszedł pewnie prosto do stajni i to zrobił. Położył się na tym łóżku, tuż przy przegrodach dla wołów, gdzie zawsze spał. Kiedy go znaleźliśmy, wszystko było jak trza, tylko...

- Fuchs zmarszczył brwi i zawahał się - ... tylko że wszystkiego nie mógł żadną miarą przewidzieć. Palto jego wisiało na kołku, a buty były pod łóżkiem Zdjął jedwabną chustę, którą zawsze nosił na szyi, złożył ją równo i wpiął w nią spinę. Wywinął koszulę pod szyją i podciągnął do góry rękawy.

- Nie mogę pojąć, jak mógł to zrobić! - babcia wciąż powtarzała to samo.

Otto źle ją zrozumiał. - No cóż, proszę pani, to całkiem proste, nacisnął cyngiel dużym palcem u nogi-.. Położył się na boku, przytknął koniec lufy do ust, a potem wyciągnął jedną nogę i przyłożył do cyngla. Stwierdził, że wszystko gra.

- Może i tak było - orzekł Jake ponurym głosem.

- Mnie się to wydaje bardzo dziwne.

- O czym ty mówisz, Jake? - spytała ostro babcia.

- Proszę pani, znalazłem siekierę Krajieka pod korytem, wziąłem ją, zaniósłem do ciała i przysięgam, że pasuje do rany na twarzy tego człowieka. Krajiek czał się tam, blady i spokojny, a jak zobaczył, że przyglądam się siekierze, zaczął skamleć: "Mój Boże, człowieku, nie rób tego!" Ja na to: "Muszę się temu przyjrzeć!" Wtedy zaczął piszczeć jak szczur i załamywać ręce. "Powiesz mi! - krzyczał.

- O Boże, powiesz mi, jak nic!*"

Fuchs przerwał mu z niecierpliwością: - Krajek zgłupiał, ale ty też, Jake. Pan Szimerda nie robiłby tych przygotowań po to, żeby go Krajek zamordował, no nie? To wcale nie gra. Strzelba była przy nim, gdy go Ambrosz znalazł.

- A Krajek nie mógł jej tam położyć, co? - Jake obstawał przy swoim.

Babcia przerwała ten spór zaniepokojona: - Słuchaj, Jake'u Marpołe. nie dodawaj morderstw a do samobójstwa.

Już i tak wystarczy jednej biedy. Otto czyta ci za dużo tych kryminalnych historii.

- Nietrudno będzie podjąć decyzję, Emmaline - powie* dział na to spokojnie dziadek. - Jeżeli zastrzelił się w taki sposób, jak mówią, rana będzie prowadziła od wewnątrz i rozszerzała się na zewnątrz.

- Tak jest, panie Burden - przytaknął Otto. - Widziałem kępki włosów i materiału przyklepione do słupów i słomy na dachu. Wyleciały tam od strzału, to pewne.

Babcia powiedziała dziadkowi, że zamierza pojechać razem z nim do Szimerdów.

- Nic tam nie pomożesz - rzekł z powątpiewaniem.

- Ciała nie można dotykać, dopóki nie sprowadzimy koronera z Black Hawk, a to potrwa kilka dni przy tej pogodzie.

- Mogę im zawieźć trochę wiktuałów i pocieszyć te biedne dziewczuszki. Najstarsza była jego ulubienicą i prawą ręką. Mógł chociaż o niej pomyśleć. Zostawił ją samą na tym trudnym świecie. - Spojrzała nieufnie w stronę Ambrosza jedzącego śniadanie przy kuchennym stole.

Fuchs, który spędził na mrozie prawie całą noc, zamierzał odbyć długą drogę do Black Hawk i przywieźć stamtąd księdza i kornera. Na dereszowatym wałachu, naszym najlepszym koniu, przemierzy tę krainę nie mając przed sobą ani jednej wydeptanej ścieżki.

- Niech się pani o mnie nie martwi, pani Burden

- powiedział z uśmiechem, wkładając drugą parę skarpet.

- Mam dobrego nosa do kierunków, nigdy nie potrzebowałem niczyjej pomocy. O deresza się martwię. Będę go oszczędzał, ale się zmęczy, powiadam pani.

- Nie pora roztkliwiać się nad zwierzętami, Otto. Dbaj przede wszystkim o siebie. Zatrzymaj się na obiad u wdowy Steavens. To dobra kobieta, zajmie się tobą.

Fuchs odjechał, a ja zostałem z Ambroszem. Zauważyłem coś, czego nigdy dotychczas nie dostrzegłem. Był głęboko, wprost fanatycznie religijny. Przez cały ranek nie odezwał się ani słowem, tylko siedział z różańcem w ręku i modlił się na głos. Nie odrywał oczu od paciorków, a ręce podnosił tylko po to, żeby się przeżegnać. Kilka razy biedny chłopak zasypiał na siedząco, po czym budził się z przerażeniem i zaczynał modlitwę od nowa.

Nie można było jechać do Szimerdów wozem, bo droga była zasypana, a przetarcie jej zajęłoby cały dzień. Dziadek wyjechał ze stajni na jednym z naszych koni, a Jake pomógł babci usiąść za dziadkiem. Miała na sobie czarny kaptur i otulona była w szale. Dziadek schował swą krzaczastą białą brodę pod palto. Gdy wyruszali, pomyślałem, że wyglądają jak z Biblii. Jake i Ambrosz jechali za nimi na drugim karym koniu i moim kucyku, wioząc tobołki z ubraniami, jakie zebraliśmy dla pani Szimerdy. Obserwowałem, jak przejeżdżają koło stawu i przez wzgórze koło kukurydzianego pola zasypanego śniegiem. I wtedy po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że jestem absolutnie sam w domu.

Czułem, jak narasta we mnie poczucie siły i władzy, i ogromnie pragnąłem spisać się jak najlepiej. Przyniosłem węgla i drzewa z piwnicy i napełniłem nimi oba piece. Przypomniałem sobie, że w pośpiechu i zamieszaniu nikt nie pomyślał o kurach, nikt też nie wybrał jajek. Poszedłem przez tunel i dałem kurom jeść, wyjąłem z miski lód i napełniłem ją wodą. Potem dałem kotu mleka i już nic mi więcej nie zostało do zrobienia. Rozkoszowałem się spokojem, a tykający zegar był najprzyjemniejszym ze wszystkich towarzyszy. Wziąłem sobie do czytania "Robinsona Crusoe", ale jego życie na wyspie wydawało się nudne w porównaniu z tutejszym życiem. Rozejrzałem się z zadowoleniem po naszej przyjemnej bawialni i nagle przyszło mi na myśl, że jeżeli dusza pana Szimerdy wędruje gdzieś po świecie, to musi być tutaj, w naszym domu, bo przecież lubił go najbardziej z całego sąsiedztwa. Wciąż widziałem

zadowolenie malujące się na jego twarzy, kiedy był u nas w dzień Bożego Narodzenia. Gdyby mógł mieszkać z nami, na pewno ta okropna rzecz by się nie zdarzyła.

Wiedziałem, że to tęsknota zabiła pana Szimerdę, i zastanawiałem się, czy jego duch uwolniony z ciała odnajdzie powrotną drogę do własnego kraju. Uświadomiłem

sobie, jak daleko jest do Chicago, a potem do Wirginii, do Baltimore - no i jeszcze przez ten ogromny zimowy ocean. Nie, od razu nie wyruszy w tak daleką podróż. Jego wyczerpany duch, tak zmęczony zimnem, ciasnotą i walką z nieustannie padającym śniegiem, na pewno odpoczywa teraz w naszym spokojnym domu.

Nie bałem się, ale siedziałem cicho. Nie miałem ochoty zakłócać mu spokoju. Poszedłem bezszelestnie do kuchni, która, zacisznie ukryta pod ziemią, wydawała mi się zawsze sercem całego domu. Usiadłem na ławie za piecem i tam rozmyślałem długo o panu Szimerdzie. Wsłuchiwałem się w śpiew wichru nad śniegiem ciągnącym się setkami mil. Miałem takie wrażenie, jakbym dał schronienie panu Szimerdzie przed dokuczliwą zimą i jakbym siedział sobie teraz z nim razem. Zastanawiałem się nad tym wszystkim, co opowiadała mi Antonia o jego życiu we własnym kraju; o tym, jak grywał na weselach i zabawach. Myślałem też

o ludziach, których żal mu było opuszczać, o przyjacielu, który grał na puzonie, o ogromnych lasach pełnych zwierzyny - należących, jak mówiła Antonia, do "panów" - do których razem z matką zakradały się w księżycowe noce, żeby uzbierać chrustu. Żył w tych lasach biały jeleń, a gdyby go ktoś zabił, powieszono by go za to, jak mówiła Antonia. Tak żywe obrazy stawały mi przed oczyma, że równie dobrze mogły to być wspomnienia samego pana Szimerdy, które go za życia nawiedzały i które jeszcze nie zdążyły się rozproszyć w powietrzu.

Zaczynało się już ściemniać, gdy wszyscy wrócili, a babcia była tak zmęczona, że natychmiast poszła do łóżka. Jake

1 ja przygotowaliśmy kolację, a potem przy zmywaniu opowiedział mi głośnym szeptem o wszystkim, co zastali u Szimerdów. Nikt nie mógł dotknąć ciała, dopóki nie przybędzie koroner. Gdyby ktoś je poruszył, stałoby się oczywiście coś strasznego. Jest całkiem zamrożony Jak oskubany indyk wywieszony na mróz", powiedział Jake. Konie i woły nie chciały wejść do stajni, póki nie zamarzną i nie czuć już było krwi. Stoją tam teraz razem z ciałem, bo nie ma ich gdzie trzymać. Nad głową pana Szimerdy wisi zapalona latarka. Antonia, Ambrosz i matka chodzą tam odmawiać przy nim modły. Pomyłony chłopak też z nimi chodzi, bo on nie czuje zimna. Mnie się wydaje, że było mu zimno, jak każdemu, tylko wołał, aby wszyscy myśleli, że jest inaczej. Biedny Marek, zawsze pragnął, aby go wyróżniano!

Ambrosz, powiedział Jake, okazał więcej ludzkich uczuć, niż można się było po nim spodziewać; głównie jednak myślał o sprowadzeniu księdza i o duszy ojca, która według niego znosi męki i znosić je będzie, dopóki rodzina i ksiądz nie wstawią się za niego długimi modłami. - Tak jak ja rozumiem - podsumował Jake - trzeba się modlić za niego przez całe lata, żeby opuścił czyściec, bo teraz znosi piekielne męki.

- Wcale w to nie wierzę - powiedziałem z głębokim przekonaniem. - Prawie na pewno wiem, że to nieprawda. - Nie powiedziałem mu oczywiście, że wierzę, iż całe popołudnie spędził u nas w kuchni i że jest w drodze do własnego kraju. A jednak, kiedy się położyłem do łóżka, myśl o karze i czyścicu całkowicie mną zawładnęła. Przypomniałem sobie przypowieść o bogaczach w piekle i zadrzałem. Ale pan Szimerda nie był ani bogaty, ani samolubny; był tylko bardzo nieszczęśliwy i nie mógł dłużej tak żyć.

XV

Otto Fuchs powrócił następnego dnia w południe. Przywiózł wiadomość, że koroner przybędzie do Szimerdów po południu, ale misjonarz jest akurat jakieś sto mil od parafii w przeciwnym kierunku, a pociągi nie kursują. Fuchs przespał się kilka godzin w miejskiej remizie, ale uważał, że deresz mocno się zmęczył. I rzeczywiście, już nigdy potem nie był taki, jak dawniej. Ta długa wyprawa przez głęboki śnieg nadwerżyła mu siły.

Fuchs przywiózł ze sobą obcego człowieka, młodego Czecha, który mieszkał niedaleko Black Hawk i który przyjechał na swoim jedynym koniu, żeby pomóc rodakom

WILLA CATHER

w biedzie. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem Antona Jelinka. Był to młody dryblas lat około dwudziestu, przystojny, serdeczny i pełen życia. Zjawił się wśród nas niby jakiś cud w całej tej ponurej historii. Pamiętam dobrze, jak wkroczył do kuchni w filcowych butach i długiej kapocie ze skóry wilka, a oczy i policzki błyszcząły mu od mrozu. Na widok babci ściągnął z głowy futrzaną czapkę i powitał ją głosem głębokim i dudniącym, który wydawał się o wiele starszy niż on sam.

- Bardzo pani dziękuję, pani Burden, za dobroć dla biednych ludzi z mojego kraju.

Mówił bez wahania, nie jak chłopak z farmy, i patrzył przy tym śmiało w oczy. Był spontaniczny i pełen ciepła. Powiedział, że przyjechałby do Szimerdów wcześniej, ale najał się do łuskania kukurydzy na całą jesień, a jak nastąpiła zima, zaczął chodzić do szkoły przy młynie i uczyć się angielskiego razem z dziećmi. Powiedział, że ma bardzo miłą nauczycielkę i że lubi chodzić do szkoły.

Przy obiedzie dziadek rozmawiał z Jelinkiem więcej niż zazwyczaj z obcym.

- Czy bardzo będą rozczarowani, że nie możemy sprowadzić księdza? - spytał.

Je linek spojrzał na dziadka z powagą.

- Tak, proszę pana, to bardzo źle dla nich. Ich ojciec popełnił straszny grzech - popatrzył wprost na dziadka. - tak mówi nasz Bóg.

Dziadkowi spodobała się jego szczerość,

- 1 my tak uważamy, Jelinek, Ale jednocześnie wierzymy, że dusza pana Szimerdy powędruje do Stwórcy również i bez księdza. Wierzymy, że Chrystus jest naszym jedynym orędownikiem.

Młody człowiek potrząsnął głową, - Wiem, o czym pan myśli. Moja nauczycielka w szkole też tak mówi. Ale widziałem dużo. Wierzę w modlitwę za umarłego. Widziałem dużo.

Spytaliśmy, co ma na myśli.

Rozejrzał się wokół stołu. - Chcecie, żebym powiedział? Kiedy byłem małym chłopcem jak ten oto, zacząłem pomagać księdzu przy ołtarzu. Przyjąłem pierwszą komunię bard/o młodo; wszystko, czego Kościół uczył, było dla mnie proste. Potem przychodzi wojna, walczą z nami Frusaki, Mamy bardzo dużo żołnierzy w obozie koło mojej wsi i wybucha cholera w tym obozie, i ludzie padają jak muchy. Cały dzień nasz ksiądz chodzi dawać sakrament umierającym ludziom, a ja chodzę z nim i noszę kielich ze świętym sakramentem. Każdy, kto idzie koło obozu, łapie chorobę, tylko nie ja i ksiądz. Nie mamy choroby, nie mamy strachu, bo niesiemy ciało i krew Chrystusa i to nas strzeże, - Zatrzymał się i popatrzył na dziadka. - To ja wiem, panie Burden, to się mnie zdarzyło. Wszyscy żołnierze też wiedzą. Kiedy idziemy drogą, stary ksiądz i ja, spotykamy cały czas żołnierzy w marszu i oficerów na koniach. Wszyscy ci oficerowie, kiedy oni widzą, co ja niosę pod nakryciem, ściągnają konie, klękają na drodze, aż przejdziemy. Dlatego czuję, że to źle dla moich rodaków umierać bez sakramentu, i to umierać źle dla duszy, mnie smutno, za jego rodzinę.

Słuchaliśmy z wielką uwagą. Jego szczera, mężna wiara budziła podziw.

- Miło mi spotkać młodego człowieka, który myśli poważnie o takich sprawach - rzekł na to dziadek - i nie zaprzeczę, że Bóg czuwał nad tobą, kiedy chodziłeś pośród żołnierzy.

Po obiedzie postanowiono, że młody Jelinek zaprzęgnie do naszej zgarniarki dwa silne kare konie i utoruje drogę do Szimerdów, tak aby mógł przejechać wóz w razie potrzeby, Fuchs, jedyny stolarz w okolicy, zabrał się do robienia trumny,

Jelinek nałożył na siebie kapotę ze skóry wilka, a kiedy wyraziliśmy swój zachwyt, powiedział nam, że sam ustrzelił kojoty i ściągnął z nich skóry, a pewien młody

człowiek z jego "paczki", Jan Bauska, który był kuśnierzem w Wiedniu, zrobił mu to palto. Z wiatraka przyglądałem się, jak Jelinek wyprowadza ze stajni kare konie i toruje sobie drogę na wzgórze w stronę pola kukurydzy. Chwilami zupełnie krył się w zaspach śniegu, które wyrastały wokół niego, a potem wyłaniał się z końmi, których czerń aż lśniła.

Trzeba było wziąć ciężką drewnianą ławę ze stajni i zanieść do kuchni. Fuchs wybrał deski ze stosu drzewa, które dziadek przywiózł jesienią z miasta, żeby zrobić nową podłogę w pomieszczeniu na owies. Kiedy wreszcie zgromadzono drzewo i narzędzia i zamknięto drzwi, żeby nie wpadały zimne podmuchy, dziadek odjechał do Szimerdów, bo chciał się spotkać z koronerem, a Fuchs zdjął palto i zabrał się do roboty. Siedziałem na jego roboczym stole i przyglądałem się, jak pracuje. Z początku nie brał do ręki narzędzi, ale szkicował coś na kawałku papieru, odmierzał deski i robił na nich znaki. Przy pracy pogwizdywał sobie pod nosem albo zabawnie pociągał się za ucho. Babcia krzątała się cichutko, żeby mu nie przeszkadzać. Wkrótce złożył miarękę i zwrócił ku nam uradowaną twarz.

-Najtrudniejsza praca zrobiona - oznajmił. - To część od strony głowy, zawsze przychodzi mi to trudno, tym bardziej że wyszedłem z wprawy. Ostatnio robiłem - mówił dalej dobierając różne dłuta - dla faceta w kopalni Czarny Tygrys, koło Silverton, Colorado. Ujście tej kopalni wychodzi prosto na klif i zwykle wsadzali nas do wagoniku i przewozili nad nim, a potem spuszczała do szybu. Wagonik jechał przez kanion głęboki na trzysta stóp i w jednej trzeciej wypełniony wodą. Kiedyś dwóch Szwedów wyleciało z wagonika i wpadło do wody. Uwierzy pani? Przyszli do pracy nazajutrz. Szwed jest niezłomny. Ale innym razem wpadł mały Włoch i z nim już było gorzej. Zasypało nas wtedy śniegiem jak dzisiaj, a tylko ja jeden z całego obozu potrafiłem zrobić dla niego trumnę. To wygoda, zwłaszcza kiedy się tak wędruje po świecie, jak ja.

- Gdybyś ty nie potrafił, Otto, nie wiem, co byśmy teraz zrobili - rzekła babcia.

- No tak, proszę pani - przyznał Fuchs trochę z siebie dumny. - Mało kto dzisiaj umie zrobić szczelną skrzynię, żeby nie dostawała się woda. Czasem myślę, co będzie ze mną, kto dla mnie zrobi. Co prawda, nie jest to dla mnie takie znów ważne.

Przez całe popołudnie w domu, gdziekolwiek się poszło, słychać było skrzypienie piły albo przyjemny pomruk hebla.

Były to radosne odgłosy, jakby zapowiadały coś nowego dla ludzi żyjących. Szkoda, że te świeżo wyheblowane sosnowe deski trzeba wkrótce włożyć w ziemię. Drzewo nie było łatwe do obróbki, bo zmarznięte, a z desek roznosił się słodki zapach sosny, kiedy wokół rósł coraz wyższy stos wiórów. Zastanawiałem się, dlaczego Fuchs nie wytrwał w stolarce, robił to z taką łatwością i zadowoleniem. Trzymał w ręku narzędzia w taki sposób, jakby ich dotyk sprawiał mu przyjemność, a kiedy heblował, ręce jego wędrowały po deskach z ożywieniem i łagodnością, jakby je błogosławił. Co jakiś czas nucił sobie po niemiecku, wydawało się że ta praca przywodziła mu na pamięć dawne czasy.

O czwartej wstąpili do nas pan Bushy, poczmistrz, i jeszcze jeden sąsiad, który mieszkał na wschód od nas, żeby się trochę ogrzać. Jechali od Szimerdów. Wieść o tym, co się stało, rozniosła się po całej okolicy zasypanej śniegiem. Babcia poczęstowała gości kawą i ciastkami. Jeszcze nim wyszli, zjawił się na koniu brat wdowy Steavens, który mieszkał przy drodze do Black Hawk, a potem ojciec niemieckiej rodziny, naszych najbliższych sąsiadów od południa. Rozsiodłali konie i przyłączyli się do nas w jadalnym pokoju. Chcieli się dowiedzieć jak najwięcej o tym samobójstwie i ogromnie niepokoił się, gdzie pan Szimerda zostanie pochowany. Najbliższy cmentarz katolicki był w Black Hawk i wóz pewnie by tam dotarł dopiero po paru tygodniach. Poza tym pan Bushy i babcia byli przekonani, że człowiek, który popełnił samobójstwo, nie może być pochowany na katolickim cmentarzu. Na zachód od rzeki Squaw był norweski cmentarz, może Norwegowie przyjmą pana Szimerdę.

Kiedy nasi goście odjechali, jeden za drugim przez wzgórze, wróciliśmy do kuchni. Babcia robiła lukier do czekoladowego ciasta, a Otto znowu wypełnił dom pieśnią hebla, pasjonującą i pełną nadziei. Przyjemne było to, że w tym czasie wszyscy mówili o wiele więcej niż zwykle. Nigdy jeszcze, aż do tego popołudnia, nie słyszałem, aby poczmistrz powiedział coś więcej poza: "Dzisiaj tylko gazety" albo "Mam dla pana

pełną torbę korespondencji". Babcia, poczciwa kobieta, zawsze mówiła dużo - do siebie albo do Boga, jeżeli nie było pod ręką słuchacza, ale dziadek był z natury milczący, zaś Jake i Otto bywali często po kolacji tak zmęczeni, że nieraz odnosiłem wrażenie, jakby mnie otaczała ściana milczenia. Teraz wszyscy byli skłonni do rozmowy. Tego popołudnia Fuchs opowiadał mi jedną historię po drugiej. O kopalni Czarny Tygrys, o różnych nagłych przypadkach śmierci i równie przypadkowych pogrzebach, i dziwnych opowieściach umierających ludzi. - Naprawdę poznawało się ludzi dopiero wtedy, gdy umierali - powiedział. - Większość z nich była bardzo dzielna, umierali bez żalu.

Poczmistrz w drodze powrotnej wstąpił, by nas zawiadomić, że dziadek przywiezie ze sobą na noc koronera. Przedstawiciele Kościoła Norweskiego, oznajmił nam, po naradzie orzekli, że norweski cmentarz nie udzieli gościny panu Szimerdzie.

Babcia była oburzona: - Jeżeli ci cudzoziemcy trzymają się w takim klanie, panie Bushy, musimy mieć amerykański cmentarz, który będzie działał na bardziej liberalnych zasadach. Rozpocznę starania wiosną. Gdyby ze mną miało się coś stać, nie chcę, aby Norwegowie prowadzili narady, czy zasługuję na to, aby wśród nich spocząć.

Wkrótce wrócił dziadek z Antonym Jelinkiem i tą ważną osobą, koronerem. Był to człowiek łagodny, ogromnie przejęty, weteran Wojny Domowej, z jednym rękawem zwisającym luźno u boku. Uważał, że to przypadek bardzo podejrzany, i gdyby nie wzgląd na dziadka, wydałby nakaz aresztowania Krajieka. - Całe jego zachowanie, no i siekiera, która tak bardzo pasuje do rany... to wystarczające, aby w każdym wzbudzić wątpliwości.

Choć było oczywiste, że pan Szimerda popełnił samobójstwo, Jake i koroner uważali, że należałoby coś zrobić z Krajiekiem, bo zachowuje się jak winowajca. Był oczywiście przerażony, a poza tym dręczyły go zapewne wyrzuty sumienia, że tak obojętnie patrzył na biedę i osamotnienie pana Szimerdy.

Kolację pałaszowali wszyscy jak wikingowie, zaś czekoladowe ciasto zniknęło już za drugim okrażeniem. A ja się łudziłem, że okrojone, co prawda, zostanie jeszcze na jutro. Rozmawiali z wielkim przejęciem o tym, gdzie się powinno pochować pana Szimerdę; zrozumiałem, że wszyscy sąsiadzi są ogromnie zaniepokojeni z jakiegoś powodu. Okazało się, że pani Szimerda i Ambrosz chcą go pochować na krańcu ich własnej ziemi; dokładnie pod słupem, który oznaczał ich granicę. Dziadek tłumaczył Ambroszowi, że któregoś dnia ta kraina będzie ogrodzona, drogi mają ją podzielić na mniejsze okręgi, a dokładnie w tym właśnie miejscu będą się krzyżować dwie drogi. Ambrosz powiedział tylko: - To nic nie szkodzi.

Dziadek spytał Jelinka, czy w jego starym kraju istnieje taki przesąd, że samobójców należy chować na skrzyżowaniu dróg.

Jelinek odparł, że nie wie, co prawda przypomina sobie, że kiedyś słyszał o takim zwyczaju w Czechach. - Pani Szimerda już postanowiła - dodał. - Chciałem ją przekonać, że to nie spodoba się sąsiadom, ale ona tylko, że tak być musi. "Tam go pochowam, sama wykopię grób" - powiada. Musiałem jej obiecać, że jutro pomogę Ambroszowi kopać.

Dziadek pogładził brodę i spojrzał z wyrazem zrozumienia na twarzy. - No cóż, jej życzenie musi rozstrzygnąć sprawę, ale jeżeli sobie wyobraża, że dożyje czasu, kiedy ludzie w tym kraju będą przejeżdżać nad głową tego poczciwego człowieka, to się bardzo myli.

XVI

Pan Szimerda leżał w stajni przez cztery dni, a piątego został pochowany. Przez cały piątek Jelinek i Ambrosz kopali grób rąbiąc zmarzniętą ziemię starymi siekierami. W

sobotę zjedliśmy śniadanie jeszcze przed świtem i wsiedliśmy na wóz razem z trumną. Jake i Jelinek pojechali pierwsi na koniu, żeby wydobyć ciało z zamrożonej kałuży krwi.

Kiedy wszedłem z babcią do chaty Szimerdów, były tam

same kobiety; Ambrosz i Marek poszli do stajni. Pani Szimerda siedziała skulona przy piecu, Antonia zmywała naczynia. Wybiegła natychmiast z ciemnego kąta i rzuciła mi się na szyję. - Och, Jimmy - łkała - co ty myślisz o moim biednym papa! - Kiedy przytuliła się do mnie, wydawało mi się, że czuję, jak pęka jej serce.

Pani Szimerda, siedząc na pieńku przy piecu, patrzyła przez ramię w stronę drzwi, przy których zatrzymywali się sąsiedzi. Wszyscy przyjechali na koniach, tylko poczmistrz przywiózł swoją rodzinę wozem jedyną przejezdną drogą, Wdowa Steavens przyjechała ze swojej farmy osiem mil drogą od strony Black Hawk. Ziąb zapędził wszystkie kobiety do chaty i wkrótce zrobiło się tłoczno. Zaczął padać mokry śnieg i wszyscy obawiali się ponownej zawiei, toteż radzi by byli, aby się pogrzeb odbył jak najszybciej.

Wkrótce wszedł dziadek z Jelinkiem, aby powiadomić panią Szimerdę, że już pora zaczynać. Antonia opatulila matkę w ubranie, jakie przynieśli sąsiedzi, a sama okryła się starą peleryną od nas i nałożyła czapkę z królika, którą uszył jej ojciec. Czterech mężczyzn wniosło trumnę na zbocze wzgórza, Krajek włókł się za nimi. Trumna była za szeroka, nie mieściła się w drzwi, wobec tego postawiono ją na zewnątrz. Wymknąłem się z chaty, żeby popatrzeć na pana Szimerdę. Leżał na boku z podkurczonymi kolanami. Był zawinięty w czarny szal, a głowę miał zabandażowaną białym muślinem jak mumia, jedna ręka, długa i kształtna, leżała na szalu, tylko tyle można było zobaczyć.

Wyszła pani Szimerda i położyła na zmarłym otwarty modlitewnik, robiąc jednocześnie palcami znak krzyża na zabandażowanej głowie. Przyklęknął Ambrosz i wykonał ten sam gest, po nim Antonia i Marek. Julka ociągała się. Matka wypchnęła ją do przodu i coś jej nakazywała szeptem. Julka uklękła, zamknęła oczy i wyciągnęła rękę, ale cofnęła ją i zaczęła gorzko szlochać. Bała się dotknąć bandażu. Pani Szimerda chwyciła ją za ramię i popchnęła w kierunku trumny, ale wtrąciła się babcia: - Nie, pani Szimerda - powiedziała stanowczym głosem - nie mogę tu stać i patrzeć na to przerażone dziecko, jak szlocha. Jest za mała, aby mogła zrozumieć, czego pani od niej chce. Niech ją pani zostawi w spokoju.

Na znak dziadka Fuchs i Jelinek przykryli trumnę wiekiem i zaczęli zabijać gwoździami. Bałem się patrzeć na Antonię. Objęła Julkę i mocno do siebie przytuliła.

Trumnę ułożono na wozie. Odjechaliśmy powoli, prosto w lodowaty śnieg, który ciął w twarz jak ostry piasek. Kiedy dotarliśmy do grobu, wydał nam się dziwne mały na tym ogromnym, śnieżnym pustkowiu. Mężczyźni postawili trumnę na brzegu dołu i spuścili ją na linach. Przyglądaliśmy się stojąc w pobliżu; puszysty śnieg okrywał czapki i ramiona mężczyzn, i szale kobiet, wcale się nie rozpuszczał. Jelinek powiedział coś do pani Szimerdy tonem perswazji, po czym zwrócił się do dziadka:

- Ona mówi, panie Burden, że będzie rada, jeśli pan pomodli się za niego po angielsku, żeby sąsiedzi rozumieli.

Babcia spojrzała z niepokojem na dziadka. Zdjął najpierw kapelusz, za nim zrobili to samo pozostali mężczyźni. Modlitwa dziadka wydała mi się bardzo niezwykła. Do dziś ją pamiętam. Zaczął: - O wielki i sprawiedliwy Boże, nikt spośród nas nie wie tego, co wie ten śpiący tutaj człowiek, nie do nas należy osądzać to, co jest pomiędzy nim i Tobą, Boże. - Następnie wyraził w modlitwie nadzieję, że jeżeli ktokolwiek spośród zgromadzonych zaniedbał się w stosunku do przybysza z dalekiego kraju, to niechaj mu Bóg wybaczy i zmiękczy jego serce. Następnie przypomniał, że nie wolno zapominać o wdowie i dzieciach, i prosił Boga, aby wygładzał przed wdową i jej dziećmi drogę życia i "skłaniał serca ludzi, aby sprawiedliwie ją traktowali". Zakończył

tym, że zostawiamy pana Szimerdę "Twemu, Boże, sądowi, który jest pełen łaskowości".

Przez cały czas tej modlitwy babcia patrzyła na dziadka przesłoniwszy oczy palcami w czarnych rękawiczkach, a kiedy powiedział "Amen", wydawało mi się, że jest z niego zadowolona. Zwróciła się do Otto Fuchsa i szepnęła: - Nie mógłbyś zaśpiewać hymnu? Mniej pogański będzie ten pogrzeb.

Fuchs rozejrzał się, aby sprawdzić, czy ta propozycja spotka się z ogólną aprobatą, i zaczął: "Boże, miłości mej

WtULACAIWM

du*zy", a wtedy wizycy przyłączyli mc do śpiewu, Ilekroć potem słyszałem ten hymn, zawsze Uawała mi przed oczami biała pustynia, a na mej maleńka grupka ludzi; i powietrze prawie niebieskie, pełne czystego, wirującego śniegu, który przypominał falujące długie welony,

Kiedy toczą się wody w pobliżu,

Kiedy burza w powietrzu,,,

Po latach, gdy skończyły się czasy otwartych pastwisk, a czerwoną trawę dopóty orano, aż prawie całkowicie zniknęła z prerii, gdy ogrodzono wszystkie pola, a drogi biegly wytyczonym szlakiem, nie dziko, grób pana Szimerdy wciąż tam się znajdował, otoczony obwisłym kolczastym drutem, wraz z krzyżem z niemalowanego drzewa. Jak dziadek przepowiedział, pani Szimerda nie doczekała się, aby nad głową jej męża przebiegała kiedykolwiek droga, Od północy droga skręcała w tym miejscu odrobinę na wschód, droga z zachodu odchyłała się lekko na południe, a grób porośnięty wysoka czerwoną trawą, nigdy nie koszoną, był niczym mała wysepka; o zmierzchu, przy nowiu księżyca aJbo kwiecących jasno wieczornych gwiaz- dach, piaszczyste drogi wyglądały jak płynące powoli gładkie, szare rzeki. Zawsze w tym miejscu ogarniało mnie wzruszenie i było to najdroższe mi miejsce w całej tej krainie.

Kochałem tajemniczy przesąd, pokutniczą intencję umieszczenia grobu w tym miejscu; a jeszcze bardziej kochałem ducha, który nie mógł wypełnić kary - z powodu odchylenia w dokonanych pomiarach i łaskawości gładkich piaszczystych dróg, po których turkotały powracające do domu wozy o zachodzie słońca. Jestem pewien, że żaden przejeżdżający tędy zmęczony wędrowiec nie minął drewnianego krzyża, aby nie posłał swych dobrych życzeń śpiącemu w tym grobie,

XVII

Kiedy po lej ciężkiej zimie nastala sriosna, wszyscy flfc rrKrgfr się nacieszyć rześkim powietrzem. Co rano budziłem

Wrth kwum* 77

się z nową iwiadomokaą, że zima już rmntfa Sie wyputryw tern ładnych symptomów wiosny, jak na przykład w Wirami - świeżych pędów w lasach czy kwitnących ogrodów. ftyla t/> po prostu.,, wiosna; samo jej pulsowanie, lekki niepokój, żywotne jej tchnienie wszędzie dokoła: na niebie, pośród szybko mknących chmur, w Madym stofoi, ciepłych porywach wiatru - budzących sie nagle i równie naffc zanikaj cych, impulsywnych i swawolnych jak psiak, który najpierw zaczepia łapą, a potem kładzie we, żeby fft głaifcać. Gdyby mi nawet zawiązano oczy i po///%ta wiór**/ fómepn na tej czerwonej prerii, i tak bym wiedział, że jest wiosna.

Zewsząd unosił sie swąd płonącej t/a wy. Naw tąsiedzj wypalali swoje pastwiska przed wyrośnięciem świeżej trawy, żęby nie mieszała się z obumarły nu źdźbłami z ubtegggo roku. Ten blask, te rm&rthwc pU/mieme obiegające ziemie zdawały się być nieodłączną częścią całego rozplomienionego powietrza,

.Szimerdowie mieszkali już w nowym domu z dres manycfe pali. Sąsiedzi pomogli go im zbudować w marcu. Stał tuż przed ich starą lepianka, która służyła im teraz za pmrncę. byli nieźle wyposażeni do rozpoczęcia walki / ziemią, Mieli cztery wygodne izby, nowy wiatrak - fcttpfony na kredyt - kurnik, a w nim drób, Pani Szimerda zapłaciła dziadkowi dziesięć dolarów za mleczna krowę, a piętnaście mała dopłacić po zbiorach,

Kiedy któregoś jasnego, wietrznego popołudnia podjechałem do Szimerdów, na moje spotkanie wybiegła Julka To ja uczyłem teraz czytać Antonia miała inne za/ęcia. Przywiązałem kucyka i wszedłem d/> kmfonh gdzie pani ■Szimerda piekła chleb żując przez cały czas ziarnka maku Nauczyła się już na tyle angielskiego, że mogła mi

zadawać pytanie na temat pracy w polu, Uważała, zdaje się. że moi dziadkowie niechętnie udzielają pomocnych rad i że ode mnie sydobędzie cenne tajemnice, Tym razem zadała mi fachowe pytania, kiedy dziadek zamierza rozpocząć tiamę zboża PffWted/jalem tej, dodając przy tym, że dziadek uważa, iż będzie sucha wiosna i ziarno nie będzie nawilgocone ciepłym des/czem, jak w ubiegłym roku

Wil i A CAT HSR

Obrzuciła mnie przenikliwym spojrzeniem. - On nie Jezu* - powiedziała wyzywająco - nic wic, co deszcz i sucho.

Nic na to nie powiedziałem, bo jakież miałyby to *ens? Czekałem godzinę na powrót z pola Ambrosza i Antonii obserwując przez cały czas panią Szimerdę przy pracy. Wyjęła z pieca kawowe ciasto, które miało być ciepłe na kolację, i zawinęła je w poduszkę z pierza. Kiedyś nawet widziałem, jak włożyła w nią pieczoną gęś dla utrzymania depta, Sąsiedzi, którzy pomagali budować dom, także to widzieli i rozeszła się wieść, że pani Szimerda przechowuje jedzenie w pościeli.

Słońce było już nisko na niebie, gdy pojawiła się Antonia wraz ze swym zaprzęgiem. Jak urosła w ciągu tych ośmiu miesięcy! Przyjechała do nas jako dziecko, a teraz była wysoką, silną dziewczyną, choć zaledwie skończyła piętnaście lat. Wybiegłem do niej i spotkaliśmy się przy wiatraku, gdzie przyprowadziła konie, żeby je napić. Miała na nogach buty, które jej ojciec lak troskliwie zdjął, nim się zastrzelił, a także jego starą futrzaną czapkę. Kretonowa sukienka, z której wyrosła, powiewała wokół jej łydek ponad cholewkami butów. Rękawy nosiła podwinięte przez cały dzień, a ręce miała opalone jak marynarz, Szyja jej była mocno osadzona na ramionach, niczym pień w ziemi. Widuje się takie szyje konia pociągowego wśród wieśniaczek we wszystkich starych krajach.

Powitała mnie radośnie i natychmiast zaczęła mi opowiadać, ile to zaorała tego dnia, Ambrosz, powiedziała, jeil na polu, orze wołami,

- Jim, spytaj Jake'a, ile dzisiaj zaorał. Nie chcę, żeby mnie prześcignął. Chcę, żeby my mieli dużo zboża tej jesieni.

Kiedy konie zanurzyły głowy w wodzie, potarły się nosami i zaczęły pić, Antonia usiadła na progu wiatraka i podparła głowę rękami,

- Widziałeś wielki ogień na prerii wczoraj w twoich stronach? Mam nadzieję, że dziadek nie stracił stogów?

- Nie, nie straciliśmy. Przyszedłem, żeby cię o coś spytać. Antonio, Babcia chciałaby wiedzieć, czy nie poszłabył kwartalnej szkoły, która zaczyna się pod koniec przyszłego

tygodnia w szkolnej ziemiance, Mówi, że jest dobry nauczyciel i możesz się dużo nauczyć,

Antonia wstała podnosząc i opuszczając ramiona, jakby jej zeszywniały, ~ Nie mam czasu na naukę. Mogę teraz pracować jak mężczyźni, Moja mama nic może więcej mówić, że Ambrosz wszystko robi i nikt nie pomaga, Mogę pracować jak on. Szkoła jest dobra dla małych chłopców, Ja pomagam zrobić z tej ziemi dobrą farmę,

Przywołała konie i ruszyła w stronę stajni, Szedłem obok niej bardzo poruszony. Czy będzie tak *amo chępliwa jak jej matka? - zastanawiałem Kię, Zanim dotarliśmy do stajni, wyczułem jakieś napięcie w jej milczeniu, a »pojr/aw»zy na nią zobaczyłem, że płacze. Odwróciła twarz ode mnie i patrzyła na czerwony strumień gasnącego światła na mrocznej prerii. Wskoczyłem na poddasze utajni i zrzuciłem jej trochę siana, gdy wyprzęgała konie. Wolnym krokiem wracaliśmy do domu, Ambrosz powrócił już z pola i poił woły w korycie,

Antonia wzięła mnie za rękę. - Czasami opowiesz mi te wszystkie miłe rzeczy, jakich nauczysz się w szkole, dobr/e, Jimmy? - poprosiła z nagłym przypiływem uczucia w głosie, - Mój ojciec, on chodził dużo do szkół. On wiedział wiele jak robić ładną tkaninę, wy takiej tu nie macie. Grał na rogu i skrzypcach i czytał tyle książek, że księża w Czechach przychodzili, żeby z nim rozmawiać. Nie zapomnisz mego ojca, Jimmy? - Nie ~ przyrzekłem - nigdy nic zapomnę, Pani Szimerda zaprosiła mnie na kolację, Ambrosz i Antonia umyli ręce i twarz w miednicy stojącej przy drzwiach w

kuchni, po czym zasiedliśmy do stołu nakrytego ceratą. Pani Szimerda nałożyła chochlą kaszy z żelaznego sagana, a następnie wlała mleka. Po kaszy dostaliśmy świeży chleb z melasą z sorgo oraz kawę z ciastem ogrzewanym w pierzynie. Antonia i Ambrosz rozmawiali po czesku; spierali się, kto z nich więcej tego dnia zorał. Matka podjudzała ich chichocząc, a jednocześnie pełnymi haustami pochłaniała jedzenie. W końcu Ambrosz rzekł ponurym głosem po angielsku;

- Ty weź woły jutro i próbuj trawę orać. Nie będziesz taka mądra.

Siostra roześmiała się: - Nie gniewaj się. Wiem, że to okropnie ciężko orać trawę. Jutro wydoję za ciebie krowę, jeśli chcesz.

Nagle pani Szimerda zwróciła się do mnie: - Ta krowa nie dawać tyle mleka, co dziadek mówi. Jak będzie chcieć piętnaście dolarów, ja pošlę z powrotem krowę.

- Nic nie mówi o piętnastu dolarach! - wykrzyknąłem z oburzeniem. - Nikogo nie obwinia.

- Mówi, że ja złamałem piłę przy budowie, a wcale nie ja - mruknął Ambrosz.

Dobrze wiedziałem, że złamał, a potem ukrył ją i kłamał. Żałowałem, że zostałem u nich na kolacji. Wszystko mnie raziło. Antonia jadła głośno jak chłop, często ziewała i wyciągała nad głową ręce, jakby ją bolały. Babcia nieraz mówiła: "Ciężka praca w polu zniszczy tę dziewczynę. Straci wszystko, co w niej miłe, zostanie prostaczką". Już, niestety, tak się stało.

Po kolacji odjechałem do domu, był cichy, łagodny, wiosenny zmierzch. Po zimie rzadko widywałem się z Antonią. Pracowała w polu od świtu do zmroku. Jeżeli pojechałem do niej na pole, zatrzymywała się na krótką chwilę, żeby zamienić parę słów, po czym znowu brała pług i cmoknąwszy na konie szła dalej brudą, pozostawiając mnie w przekonaniu, że jest już teraz dorosła i nie ma dla mnie czasu. W niedziele pomagała matce w ogrodzie albo siała przez cały dzień. Dziadkowi podobała się Antonia. Kiedy my wyrzekaliśmy na nią, on tylko się uśmiechał, a pewnego razu powiedział: - Kiedyś jakiś mężczyzna daleko przy niej zajdzie.

Teraz Antonia potrafiła tylko mówić o cenach, a także ile potrafi udźwignąć i wytrzymać. Zanadto pyszniła się swoją siłą. Wiedziałem także, że Ambrosz zatrudnił ją przy robotach, których dziewczyna nie powinna wykonywać, i że okoliczni parobkowie kpili z niej w nieprzyjemny sposób. Ilekroć patrzyłem na nią, jak idzie brudą poganiając konie, z szyją pokrytą grubą warstwą kurzu, przypominał mi się pan Szimerda, który tak niewiele potrafił powiedzieć po angielsku, a jednak tyle mógł wyrazić w słowach: "Moja Antonia!".

XVIII

Zacząłem chodzić do wiejskiej szkoły, rzadziej więc widywałem się z czeską rodziną. Było nas szesnaścioro, wszyscy przyjeżdżaliśmy na koniach i przywoziliśmy ze sobą obiad. Moi szkolni koledzy nie byli specjalnie interesujący, ale czułem, że sprzymierzając się z nimi, odpłacam Antonii za jej obojętność. Po śmierci ojca głową rodziny został Ambrosz i zdawał się kierować zarówno uczuciami, jak i przyszłością swoich kobiet. Antonia często powoływała się na jego zdanie i dawała mi do zrozumienia, że go podziwia, a mnie traktuje tylko jak małego chłopca. Jeszcze przed końcem wiosny ochłodyły stosunki pomiędzy nami i rodziną Szimerdów. A stało się to tak.

Którejś niedzieli pojechałem do nich z JakieMem, aby odebrać chomąto, które Ambrosz pożyczył od niego i nie zwrócił. Był piękny, pogodny ranek. Wzdłuż drogi rozkwitły obficie różowe i fioletowe groszki, a skowronki, siedząc na zeszłorocznych, uschłych łądogach słoneczników, śpiewały prosto w słońce zadzierając do góry łebki i błyskając żółtymi brzuskami. Ciepłe podmuchy wiatru niosły ze sobą przyjemne zapachy. Jechaliśmy powoli w miłym poczuciu niedzielnego próżniactwa.

Szimerdowie pracowali jak w każdy inny dzień. Marek sprzątał w stajni, Antonia i jej matka zakładały ogród po drugiej stronie sadzawki. Ambrosz na wieży wiatraka oliwił koło, ale zszedł witając nas niezbyt serdecznie. Kiedy Jake spytał o chomąto, coś mruknął i podrapał się w głowę. Było to oczywiście chomąto dziadka i Jake, poczuwając się do odpowiedzialności, wybuchnął gniewem.

- Słuchaj, Ambrosz, nie mów, że nie masz, bo wiem, że masz, i jak sam nie znajdziesz, to ja poszukam. Ambrosz wzruszył ramionami i powlókł się do stajni.

UldzokoL że jest to jeden z jego niedobrych dni. Po chwiti wiódł niosąc zniszczone chomąto – wymazane biotem i tak pogryziooe przez sączmy, że aż sterczała z niego sierść.

– To chcesz? – spytał gbuiowato.

Jake zeskoczył z konia. Jego zarośnięta twarz poczerwieniała. - Nie takie chomąto ci pożyczyłem. Ambrosz. a jeżeb to jest właśnie to. zniszczyłeś go haniebnie. Nie zamierzam brać czegoś takiego dla pana Bnrdena.

Ambrosz rzucił chomąto na ziemię. – Dobra - rzekł spokojnie i wzięwszy paszkę ze smarem skierował się w stronę wiatraka- Jake chwycił go za pasek od spodni i pociągnął do tífcl Ambrosz błyskawicznie podrzucił nogę i wymarzył prosto w żołądek Jakea. Na szczęście Jake był w takiej pozycji, że zdążył odskoczyć. Takich metod tutaj chłopcy, nawet kiedy dochodziło między nimi do rękoczynów, sae znaM i Jakea ogarnęła wściekłość. Wymierzył Ambroszowi w gionę taki cios, jakby -uderzał siekierą w twardą dynię. Ambrosz. osuszony. przewiódł się.

Ujjsefenn krzyk. Antonia z marką pędziły w naszą sśsose Nk bes;' yirżką ale wprost przez sadzawkę, nse nafrnr 3»eł spódmc. Wrzeszczał* rozpaczfcwse wyss&- daagc rękami .Ambrosz tym czasem odzyskał przytomność i ces bełkotał przez rozkrwawiooy nos.

lake wskoczy? ca siodło. - Jedziemy. Jim! - zawołał.

Pam Szameróa wyciągnęła rece nad głową i mocno rarwaeia jakby cbaaia kiąfnar błyskawicę. - Prawo, prawo! -krzyczała za sami- - Prawo za pobicie Ambrocza!

- Niędy jsz me będę lnbsć Jake a ani Jimmy Bsmksa! -zł2>sza&ł. Antona - Już nie przyjaciele. aigdy nieie^

fatezazz^assi se i odwróci na momem koma. - Wstręss ■KwdzseczBicy, wszyscy co do jednego? – zawołał. - Myste- ze śrceaow oosfcoaaie sse bez was obejdą. Midi z lasi ąflw sasse kłopyc.

Od?ecaafcan tak wzborzeai, że aaea to pttksy poesmk. Ste moptm wytrzuac z siebie asa ;edneao stowa. a fróe&Bf lake byl biały ^ic papier i trząM saę Kz mx. tyłto aeóotine. uk saę zdenerwował.
HOMMICMA 93

- To całkiem iimi Indzie. Jimmy - mówił zmienionym głosem. - O cudzoziemcy to mni ludzie. Nie można im wierzyć. To podłość, żeby kogoś kopać. Słyszałeś, jak wykrzykiwały ... po tym. co zrobiliśmy dla ruch zimą" Nie trzeba im wierzyć. Żebyś saę z rńńń nie zadawał, pamiętaj.

- Jsż nigdy się nie będę z mmi przyjaźnił - oświadczyłem zdecydowanie. –
Wszyscy oni są tacy sami jak Krajiek i Ambrosz.

Dziadek wysłuchał całej opowieści z błyskiem w oko. Kazał Jake owi jechać następnego dnia do miasta, pójść do sędziego pokoju, powiedzieć, że powalił na ziemię młodego Szxmerdę, i zapłacić grzywnę. W ten sposób uprzedzi parną Szimerdę. jeżeb będzie chciała sprawę rozrobić - jej syn b*ł jeszcze niepełnoletni- Jake powiedział na to. że może jednocześnie wziąć wóz i zawieźć na targ świnię, którą utuczył. W poniedziałek, w godzinę po wyjeździe Jake a. ujrzełmy parną Szimerdę i Ambrosza dumnie siedzących na wozie i wpatrzonych prosto przed siebie Kiedy zrakre nam z oczu na drodze do Black Hawk. dziadek roześmiał saę i wyznał, że właśnie tego się spodziewał po pam Szimerdzie.

Jake zapłacił grzywnę dziesaećiodośarowym banknotem, który dał mu w tym ceiu dziadek. Jednakże Szimerdowie dowiedzieb się. że Jake sprzedał tego dnia w maescae śmnaę i przebiegły Ambrosz wymyślił sobie że Jake masał sprzedać świnię, żeby zapłacić grzywnę To oczywiście wieke ich zadowoliło. Potem przez kilka lyg&dnL ilekroć razem z Jakelem spotykaliśmy Aounę. kkdy szia na poczu łibo prowadziła

drogą swój zaprzęg, zawsze Ha^Łafa « ras i ziodniie wykrzykiwała ptskftwym fśoserm
- Jakie, Jakie, sprzedaj świnie i zapłać za pobtae^ Odo twierdził- ze nie dziwi go
zacr^jwanae AaioaL tnod tylko brwi i mówił: - Kac sanie aie zadzrui, gdy chodzi o
Czecha, jestem Auttnałm

Dziadek nigdy nie był czkmkkm naszej weaber. z Szrer- dami. Jak określał to Jake.
Ambrosz i Amoma pozdraw ^: go zawsze z szacunkiem, a on pytał, co n aacfc
słysząc, i udzielał rad jak zwykle. Uważał, że przyszłość ijjap sae

przed nimi pomyślnie. Ambrosz był chłopakiem dalekowzrocznym; wkrótce zorientował się, że woły są zbyt ciężkie do pracy, nadają się właściwie tylko do orania łąki, i udało mu się sprzedać je nowo przybyłemu Niemcowi. Za te pieniądze kupił następne dwa konie, które pomógł mu wybrać dziadek. Marek był silny i Ambrosz wykorzystywał go do ciężkiej pracy. Pamiętam jednak, że nigdy nie zdołał go nauczyć uprawy kukurydzy. Tylko jedna myśl zakorzeniła się w tępej głowie Marka, że wszelki wysiłek jest chwalebny. Naciskał rączki kultywatora tak mocno i wpychał ostrza w ziemię tak głęboko, że konie były całkiem wyczerpane.

W czerwcu Ambrosz najął się do pracy u pana Bushy'ego i zabrał też ze sobą Marka za pełną opłatę. Pani Szimerda więc wzięła do ręki drugi kultywator; obie z Antonią pracowały w polu przez cały dzień, a wszystkie inne prace wykonywały nocą. W tym czasie, gdy gospodarstwo pozostawało wyłącznie na ich opiece, jeden z nowo kupionych koni zachorował na kolkę, czym się ogromnie przeraziły.

Któregoś wieczora Antonia, nim położyła się spać, poszła do stajni, aby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, i zauważyła, że jeden deresz jest spuchnięty i stoi ze spuszczoną głową. Natychmiast wskoczyła na drugiego konia, nawet nie zakładając siodła, i zapukała do naszych drzwi w momencie, gdy właśnie mieliśmy iść spać. Dziadek otworzył drzwi. Nie posłał nikogo ze swoich ludzi, tylko sam z nią pojechał, biorąc ze sobą strzykawkę i kawałek starego dywanu, który trzymał na wypadek nagłego zachorowania któregoś z naszych koni. Pani Szimerda załamując ręce siedziała przy koniu z latarką, pogrążona w rozpacz. Po kilku minutach uszły gazy nagromadzone w brzuchu biednego zwierzęcia i obie kobiety ujrzały, jak zmniejszył się brzuch deresza.

- Jeżeli stracę tego konia, panie Burden - wykrzyknęła Antonia - nie zostanę w tym domu, nie mogę się pokazać Ambroszowi na oczy! Jeszcze dzisiaj w nocy pójdę i utopię się w stawie.

Kiedy Ambrosz wrócił od pana Bushy'ego, dowiedzieliśmy się, że oddał księdzu w Black Hawk cały zarobek Marka na odprawienie mszy za duszę ojca. Babcia uważała, że bardziej potrzebne są buty Antonii niż panu Szimerdzie modlitwy, ale dziadek powiedział tolerancyjnie: - Jeżeli potrafi wyzbyć się sześciu dolarów przy swoim skąpstwie, to tylko dowodzi, że wierzy w to, co wyznaje.

To dziadek pogodził nas z Szimerdami. Któregoś dnia rano powiedział nam, że zboże już tak dojrzewa, iż pierwszego lipca chyba rozpocznie żniwa. Potrzeba mu będzie więcej ludzi do pracy i jeżeli nikt nie ma nic przeciw temu, to przyjąłby Ambrosza do żniw i młócki, bo Szimerdowie nie mają własnego zboża.

- Sądzę też, Gmmaline - mówił dalej - że chyba poprosisz Antonię, żeby ci pomogła w kuchni. Ucieszy się, jeżeli będzie mogła coś zarobić, no i czas zakończyć to nieporozumienie. Mogę się do nich wybrać jeszcze dzisiaj rano i wszystko z nimi omówić. Chcesz ze mną jechać, Jim?

- Z jego tonu wyczułem, że już powziął za mnie postanowienie.

Po śniadaniu wyruszyliśmy. Kiedy zobaczyła nas pani Szimerda, wybiegła z domu i popędziła za stajnię, jakby nie chciała nas widzieć. Dziadek uśmiechnął się tylko, uwiązał konia i poszliśmy w tym samym kierunku. Za stodołą natknęliśmy się na zabawny widok. Krowa najwyraźniej pasła się na trawie. Pani Szimerda pomknęła do krowy, wyciągnęła kołek z powrozem i usiłowała skryć krowę w starej piwnicy. Otwór był wąski i ciemny, krowa opierała się, a kobieta klepała ją po zadzie i pchała chcąc ją tam zapędzić.

Dziadek nie zwracał uwagi na tę dziwną scenę, tylko powitał uprzejmie panią Szimerdę. - Dzień dobry pani. Czy mogłaby mi pani powiedzieć, gdzie znajdę Ambrosza? Na którym polu?

- Jest w kukurydza - wskazała na północ, przez cały czas stojąc przed krową, jakby chciała ją ukryć.
- Kukurydza będzie dobra na paszę zimą - powiedział dziadek zachęcająco. - A gdzie jest Antonia?
- Ona z nim - grzebuła nerwowo bosą nogą w piasku.

- To świetnie. Pojadę tam. Chciałbym, aby mi pomogli ściąć owies i pszenicę w przyszłym miesiącu. Zapłacę im. Do widzenia. A przy okazji, proszę pani - powiedział wchodząc na ścieżkę - myślę, że z nami kwita, jeśli chodzi o krowę.

Drgnęła i mocniej zacisnęła powróż. Widząc, że nie rozumie, dziadek odwrócił się i wyjaśnił. – Nie potrzebuje mi pani dopłacać żadnych pieniędzy, krowa jest pani.

- Nie płacić, mieć krowa? - spytała oszołomiona, a jej wąskie oczka świdrowały nas w słońcu.

- W samej rzeczy. Nie płacić, mieć krowę - przytaknął.

Pani Szimerda rzuciła powróż, podbiegła do nas i klękawszy przed dziadkiem pocałowała go w rękę. Wątpię, czy kiedykolwiek w życiu był tak zakłopotany. Mnie też to trochę zaskoczyło. Ta scena w jakiś sposób ogromnie przybliżyła nam Stary Świat.

Odjechaliśmy ubawieni, a dziadek powiedział: - Była chyba przekonana, że przyjechaliśmy odebrać jej krowę. Zastanawiam się, co by się działo, gdybyśmy tak wzięli za powróż.

Nasi sąsiedzi wydawali się zadowoleni z pokoju, jaki między nami zapanował. Następną niedzielę przyjechała pani Szimerda i przywiozła Jake'owi skarpety, które zrobiła na drutach. Wręczyła mu je wielkodusznie, mówiąc: - Teraz już nie bić Ambrosza więcej.

Jake roześmiał się zakłopotany. - Nie mam ochoty mieć kłopotów z Ambroszem. Niech on mnie zostawi w spokoju, to i ja jego zostawię.

- Jak on uderzy, nie mamy świni zapłacić karę - rzekła znacząco.

Nie zmieszalo to Jake'a. - Do pani należy ostatnie słowo - powiedział rozweselony. - To przywilej kobiet.

XIX

Nadszedł lipiec sprowadzając zapierające dech, wspaniałe ciepło, dzięki któremu równiny Kansas i Nebraski są najlepszą na świecie krainą kukurydzy. Zdawało się, że po nocach słyszeć, jak rośnie kukurydza; pod niebem usianym gwiazdami rozlegał się szelest przesyconych rosą i mocną wonią pól, na których stały kosmate łodygi, soczyste i zielone. Nawet gdyby ogromna równina od Missouri aż po Góry Skaliste była pod szkłem, a jej temperatura regulowana za pomocą termometru, nie byłaby lepsza dla żółtych kitek, które dojrzewały i zapylały jedwabiste włoski dzień po dniu. W owych czasach pola kukurydzy były odległe od siebie, porozdzielane pastwiskami. Tylko bystre, myślące oko dziadka mogło przewidzieć, że się kiedyś rozszerzą i pomnożą, nie jako pola Szimerdów czy pana Bushy'ego, ale jako pola światowe: że zbiory z tych pól będą miały wielkie znaczenie ekonomiczne, podobnie jak zbiory pszenicy w Rosji, stanowiąc podstawę wszelkiej działalności ludzi w okresie pokoju czy wojny.

Upalne słońce w ciągu tych kilku tygodni i sporadyczne deszcze w nocy stwarzały korzystne warunki dla kukurydzy. Kiedy już uformowały się kolby, mogliśmy się nie obawiać suszy. Mężczyźni harowali tak ciężko przy zbiorach pszenicy, że nie odczuwali upału - choć bez przerwy nosiłem im wodę - a babcia z Antonią miały tyle pracy w kuchni, że nie potrafiły powiedzieć, który dzień był bardziej upalny. Rano, gdy rosa jeszcze była na trawie, Antonia szła ze mną do ogrodu po warzywa na obiad. Babcia przykazywała jej, aby nosiła czepek, ale Antonia natychmiast zrzucała go w ogrodzie na trawę, a wiatr rozwiewał jej włosy. Pamiętam, że kiedy pochylaliśmy się nad pnącym grochem, kropelki potu gromadziły jej się nad górną wargą niczym malutkie wąsiki.

- Och, wolę robić na dworze niż w domu! - mówiła radosnym, śpiewnym głosem. - Nie obchodzi mnie, że stoję się podobna do mężczyzny, jak mówi twoja babcia. Chcę

być jak mężczyzna. - Podrzucała głowę i kazała mi sprawdzać, jakie to ma mięśnie na opalonych ramionach.

Radzi byliśmy, że Antonia jest u nas w domu. Była tak wesoła i uczynna, że nikt nie zwracał uwagi na jej ciężki, szybki tupot nóg i głośne pobrzękiwanie garnkami. Babcia

była w doskonałym humorze przez te kilka tygodni, gdy Antonia pracowała u nas.

W czasie żniw wszystkie noce były duszne i upalne. Żniwiarze spali na strychu na sianie, bo tam było chłodniej niż w domu. Ja sypiałem przy otwartym oknie, przez które oglądałem ciche błyskawice igrające powoli na horyzoncie i ponury zarys wiatraka na tle granatowego nocnego nieba. Któregoś wieczora nadciągnęła wspaniała burza, ale deszcz spadł niewielki, nie zniszczył więc skoszonego zboża. Mężczyźni natychmiast po kolacji poszli do stajni, a ja z Antonią, gdy wszystko zostało pozmywane, wdrapaliśmy się na pochyły dach kurnika i stamtąd patrzyliśmy na chmury. Huk piorunów roznosił się głośnym metalicznym echem, jak dudnienie żelaznej blachy, a błyskawice przecinające zygzakami niebo przybliżały i uwydatniały wszystko jeszcze wyraźniej. Połowa nieba była poszatkowana czarnymi burzowymi chmurami, ale cała zachodnia strona lśniła jasno w świetle błyskawic przypominając głęboką niebieską wodę z poświatą księżyca. Natomiast ta część nieba, usiana ciemnymi chmurami, przypominała marmurowy chodnik albo nabrzeże jakiegoś wspaniałego miasta nadmorskiego, skazanego na zagładę. Strumienie ciepłego deszczu oblewały nasze twarze zwrócone ku niebu. Jedna czarna chmurka, wielkości małej łódeczki, przesunęła się niepostrzeżenie na jasną część nieba i kierowała się na zachód. Zewsząd słychać było aksamitne dudnienie kropli deszczu o miękką ziemię na podwórku farmy. Babcia stanęła w drzwiach i powiedziała, że już jest późno i że przemokniemy do suchej nitki.

- Już za chwilę wracamy! I zawołała Antonia. - Lubię twoją babcię i wszystko tutaj - westchnęła. - Szkoda, że moj papa me żyje, że nie widzi tego lata. Chciałabym, aby zima nigdy me wróciła.

Hi~ LatojeSZCZe będzie dłu8 i zapewniłem ją. i Antonio, dlaczego^zawsze nie jesteś taka miła jak teraz?

cia"BJch^k_u^terazrj^akar^jaka Jesteś naprawdę. Dlaczego ciągle chcesz być podobna do Ambrosza?

Podłożyła ręce pod głowę i leżała wpatrując się w niebo - Gdybym mieszkała tutaj, byłoby inaczej. Tobie ZZko ułoży się łatwo. Nam będzie trudno. wszystkimo

Po trzech latach od mego przyjazdu dziadek postanowił przeprowadzić się do Black Hawk. Oboje z babcią starzeli się, praca na farmie była zbyt ciężka, no a ja miałem już trzynaście lat i uznali, że powinienem pójść do szkoły. Wobec tego wydzierżawiliśmy nasze gospodarstwo "owej zacnej kobiecie, wdowie Steavens" i jej bratu, który nie był żonaty, a kupiliśmy dom od Pastora White'a, w północnej części Black Hawk. Był to pierwszy dom, jaki się mijalo wjeżdżając do miasta z farmy, znak szczególny dla ludzi jadących ze wsi, że to już koniec ich długiej podróży.

Mieliśmy przeprowadzić się w marcu i z chwilą, gdy dziadek ustalił termin, powiadomił o swoich zamiarach Otto i Jake'a. Otto oświadczył, że już nie znajdzie sobie miejsca, w którym by mu było tak dobrze, jak tutaj, że jest już zmęczony pracą na farmie i że wobec tego powróci na "dziki Zachód", jak to określał. Jake Marpole, zachęcony pełnymi przygodami opowieściami Otto, postanowił wybrać się z nim razem. Wszelkimi sposobami staraliśmy się go odwieść od tej decyzji. Był niepiśmienny i zbyt ufny, łatwo mógł paść ofiarą oszustów. Babcia prosiła go, by został pośród zacnych chrześcijan, wśród ludzi, którzy go znają; ale żadne tłumaczenie nie pomogło. Chciał zostać poszukiwaczem. Wyobrażał sobie, że czeka na niego w Colorado kopalnia srebra.

Jake i Otto służyli u nas do samego końca. Pomogli nam w przeprowadzce do miasta, rozłożyli dywany w naszym nowym domu, zrobili półki i szafki do kuchni, najwyraźniej ociągali się z odejściem. W końcu bez uprzedzenia zniknęli. Ci dwaj byli nam wierni w słońcu i w burzy, dali nam to, czego nie można kupić na żadnym rynku świata. Dla mnie byli jak starsi bracia; powściągliwi w tym, co mówili, mmmmmm

MOJA ANTONIA 91

i w swoim zachowaniu, z troski o mnie byli to moi wspaniali towarzysze. Któregoś ranka wsiedli w pociąg jadący na zachód, wzięli swoje świąteczne ubrania i ceratowe walizki

- i więcej już ich nie ujrzały moje oczy. Po kilku miesiącach otrzymaliśmy kartę od Otto Fuchsa. Pisał, że Jacke chorował na górską febrę, ale już obaj pracują w kopalni "Jankeska Dziewczyna" i wiedzie im się dobrze. Napisałem do nich, ale mój list wrócił z adnotacją "adresat nieznan". Już nigdy więcej żadna wieść o nich do nas nie dotarła.

Black Hawk - nowy świat, w którym przyszło nam żyć

- to czyste, ładnie położone miasteczko na prerii. Były w nim białe płoty, ładne zielone podwórka wokół domów, szerokie zakurzone ulice, a wzdłuż drewnianych chodników rosły kształtne niskie drzewka. W centrum miasta znajdowały się dwa rzędy nowych budynków z cegły, w których były sklepy, szkoła, także murowana, gmach sądu i cztery białe kościoły. Z naszego domu rozciągał się widok na miasto, a z okien na piętrze na urwisty brzeg wijącej się rzeki, dwie mile na południe od nas. Ta rzeka miała być dla mnie rekompensatą za to, że zostałem pozbawiony swobodnego życia na farmie.

Przybyliśmy do Black Hawk w marcu, a w końcu kwietnia czuliśmy się już jak ludzie miastowi. Dziadek był diakonem w nowym kościele baptystów, babcia miała wypełnione życie różnymi dobroczynnymi akcjami i misyjnymi zebraniem, a ja stałem się zupełnie innym chłopcem albo też tak mi się tylko wydawało. Znalazłszy się nagle wśród chłopców w moim wieku stwierdziłem, że muszę się jeszcze bardzo wiele nauczyć. Przed zakończeniem wiosennego semestru potrafiłem się już bić, grać w

klipy, dokuczać dziewczynkom i używać zakazanych słów równie biegle, jak wszyscy chłopcy w mojej klasie. Od całkowitej brutalności powstrzymywałem się tylko ze względu na panią Harling, naszą najbliższą sąsiadkę, która miała mnie na oku, i jeżeli w swoim zachowaniu przekroczyłem granice przyzwoitości, nie pozwalała mi wchodzić do niej na podwórko i bawić się z jej miłymi dziećmi. Częściej tutaj widywaliśmy się z naszymi sąsiadami ze

wsi niż wtedy, gdy mieszkaliśmy na farmie. Nasz dom był dla nich wygodnym miejscem do odpoczynku. Mieliśmy ogromną stajnię, w której farmerzy zostawiali konie, a ich żony częściej im teraz towarzyszyły wiedząc, że mogą się u nas zatrzymać, zjeść z nami obiad, odpocząć i poprawić czepek przed wyruszeniem po zakupy. Jm bardziej nasz dom przypominał hotel wiejski, tym bardziej go lubiłem. Bardzo się cieszyłem, jeżeli wracając ze szkoły zobaczyłem na podwórku za domem wóz, i z największą przyjemnością biegłem do miasta po befszytk albo chleb do piekarza dla niespodziewanych gości. Przez całą wiosnę i lato żyłem nadzieją, że Ambrosz przywiezie kiedyś ze sobą Antonię i Julkę, żeby zobaczyły nasz nowy dom. Chciałem im pokazać nasze meble wybijane czerwonym pluszem i cheru- binki grające na trąbce, którymi wytapetował nam sufit w salonie pewien Niemiec.

Jednakże Ambrosz przyjeżdżał do miasta sam i choć przechowywał konie w naszej stajni, nigdy nie zostawał na obiedzie ani nie opowiadał o matce czy siostrach. Jeżeli ktoś z nas wybiegł i zaczął go wypytywać, gdy przemykał się przez podwórko, zwykle wzruszał tylko ramionami i mówił: - Chyba dobrze.

Pani Steavens, która mieszkała teraz na naszej farmie, polubiła Antonię tak samo jak my i to ona dostarczała nam zawsze wiadomości. W okresie zbiorów pszenicy, opowiadała, Ambrosz wynajmował siostrę jak mężczyznę, chodziła od farmy do farmy wiązać snopki lub pracowała razem z kosiarzami. Farmerzy lubili ją i byli dla niej serdeczni; mówili, że wolą nawet ją do pracy niż Am brosza. Jesienią łuskała kukurydzę u wszystkich sąsiadów aż do Bożego Narodzenia, podobnie jak w ubiegłym roku. Wyzwoliła ją od tego babcia, znalazła jej bowiem pracę u naszych sąsiadów, Harlingów.

II

Babcia często powiadała, że skoro przyszło jej żyć w mieście, to dzięki Bogu, że ma obok siebie Harlingów.

Byli niegdyś farmerami, podobnie jak my, a ich dom przypominał małą farmę. Mieli dużą stodołę, ogród warzywny i kwiatowy, a także łąki - i nawet wiatrak. Harlingowie byli Norwegami, a pani Harling mieszkała w Chrystiana do dziesiątego roku życia. Mąż jej urodził się w Minnesota. Był kupcem zbożowym, handlował też bydłem i uchodził za najbardziej przedsiębiorczego człowieka w naszej okolicy. Kontrolował elewatory zbożowe w małych miasteczkach wzdłuż linii kolejowej prowadzącej na zachód i dużo przebywał poza domem. Podczas jego nieobecności żona była głową domu.

Pani Harling, krępa, niska kobieta, wyglądała solidnie jak jej dom. Tryskała energią - wyczuwało się to, ledwie zdążyła wejść do pokoju. Twarz miała zaróżowioną i pulchną, oczy jasne i błyszczące, mały, stanowczy podbródek. Szybko się denerwowała, równie szybko śmiała, była wesoła z głębi duszy. Doskonale pamiętam jej śmiech, a w nim to natychmiastowe rozpoznanie, pojawiające się też i w jej oczach, był lawiną humoru, krótkiego, ale pełnego mądrości. Od jej szybkich kroków trzęsła się podłoga w domu i gdziekolwiek się pojawiła, zniknęło znużenie i obojętność. Nie potrafiła być bierna ani powierzchowna w stosunku do niczego. Jej entuzjazm i nagle upodobania lub niechęć przejawiały się we wszystkich codziennych zajęciach. Pranie u Harlingów było dniem ciekawym, a nie ponurym. Okres robienia przetworów był długim świętem, a sprzątanie rewolucją. Kiedy pani Harling pracowała w ogrodzie tej wiosny, czuliśmy to, choć rozdzielał nas wierzbowy żywopłot.

Trójka dzieci Harlingów była mniej więcej w moim wieku. Charley, ich jedyny syn - starszy im zmarł - miał szesnaście lat; Julia, która znana była z uzdolnień muzycznych, miała tak jak ja czternaście lat, a Sally, krótkowłosa trzpiotka, była o rok młodsza. Była tuk samo silna jak ja i niezwykle zręczna we wszystkich chłopięcych

sportach. Sally była szaloną dziewczyną, miała spłowiałe od słońca jasne włosy, które szczytywała za uszy, cerę brązową, ponieważ nigdy nie nosiła kapelusza. Jeździła po całym

mieście na jednej wrotce, często oszukiwała grając w klipy, a robiła to tak sprytnie, że nie sposób jej było na tym, przyłapać.

Dorośla córka, Frances, spełniała ogromnie ważną rolę w naszym dziecięcym świecie. Była prawą ręką ojca, a właściwie kierowała biurem w Black Hawk w czasie jego częstych wyjazdów. Z powodu jej niezwyklej sprawności w prowadzeniu interesów ojciec traktował ją surowo i był wobec niej wymagający. Płacił jej dobrą pensję, ale miała niewiele świąt i nigdy nie uchylała się od swoich obowiązków. Nawet w niedziele chodziła do biura, żeby przejrzeć korespondencję i ceny rynkowe. W stosunku do Charleya, którego zupełnie nie obchodziły interesy, a który już przygotowywał się do college'u w Annapolis, pan Harling był bardzo pobłażliwy; kupował mu strzelby, narzędzia, elektryczne baterie i nigdy nie pytał, co z tym robi.

Frances była ciemnowłosa jak ojciec i prawie tak samo wysoka. Zimą nosiła czapkę i futro fokowe, a wieczorami wracała do domu pieszo z ojcem. Przez całą drogę rozmawiali jak dwaj mężczyźni na temat zboża i bydła. Czasami po kolacji odwiedzała dziadka, a jej wizyty ogromnie mu pochlebiały. Nieraz głowili się wspólnie, jak by uchronić któregoś biednego farmera od szponów Wicka Cuttera, lichwiarza z Black Hawk. Dziadek powiadał, że Frances Harling równie dobrze potrafi osądzić, komu można zaufać, jak każdy bankier w okręgu. Kilku mężczyzn usiłowało ją oszukiwać przy zawieraniu transakcji, ale zyskali sobie tylko rozgłos z poniesionej klęski. Znała wszystkich farmerów w całej okolicy; wiedziała, ile kto ziemi uprawia, ile bydła karmi, jakie jest jego zadłużenie. Interesowała się tymi ludźmi nie tylko z punktu widzenia interesu. O wszystkich pamiętała i myślała, jakby to były postacie z jakiejś książki albo sztuki.

Wybierając się na wieś w interesach potrafiła zboczyć z drogi parę mil, żeby odwiedzić jakichś starych ludzi albo kobiety, które rzadko przyjeżdżały do miasta. Świetnie rozumiała babcie, które nie mówiły po angielsku, przy czym nawet te najbardziej powściągliwe i nieufne zaczynały jej bezwiednie opowiadać o swoim życiu. Chodziła na wiejskie pogrzeby i śluby bez względu na pogodę. Córka farmera, która miała wyjść za mąż, mogła liczyć na prezent ślubny od Frances Harling.

W sierpniu musiała odejść od Harlingów kucharka. Babcia zwróciła się do nich z prośbą, żeby wypróbowali Antonię. Kiedy Ambrosz przyjechał do miasta, babcia przycisnęła go do muru i zaczęła przekonywać, że wszystkie kontakty z Christianem Harlingiem mogą być tylko dla niego korzystne i wzmocnią jego kredyt zaufania. Którejś niedzieli pani Harling wybrała się z Frances w długą podróż do Szimerdów. Powiedziała, że chce zobaczyć, skąd dziewczyna pochodzi, i wszystko jasno omówić z jej matką. Byłem akurat na naszym podwórku, kiedy wróciły do domu tuż przed zachodem słońca. Przejeżdżając śmiały się i machały do mnie, widziałem, że są w świetnym humorze. Po kolacji dziadek poszedł do kościoła, a ja i babcia wybraliśmy się do Harlingów na skrót, przez wierzbowy żywopłot, żeby usłyszeć, jak przebiegła ich wizyta u Szimerdów.

Zastaliśmy panią Harling z Charleyem i Sally na frontowym ganku, wypoczywała po uciążliwej drodze. Julia leżała w hamaku - lubiła wypoczywać - a Frances grała na pianinie bez większego zapału, jednocześnie rozmawiając z matką przez otwarte okno.

Pani Harling roześmiała się na nasz widok. - Zdaje mi się, że nie posprzątała pani dzisiaj po kolacji, pani Burden! - zawołała. Frances zamknęła pianino i wyszła do nas.

Polubiły Antonię od pierwszego wejrzenia; były przekonane, że dobrze się na niej poznały. Natomiast pani Szimerda wydała im się bardzo zabawna. Pani Harling

zaśmiewała się, gdy o niej mówiła. - Chyba jednak lepiej się znam na tego rodzaju ludziach niż pani, pani Burden. Ambrosz i ta stara kobieta to dobrana para.

Toczyli długi spór o kieszonkowe Antonii na ubranie i drobne wydatki. Ambrosz chciał, żeby całą jej pensję, co do centa, przekazywać jemu, a on już zajmie się ubraniami, jakie jej będzie potrzebne. Kiedy pani Harling oświadczyła

mu stanowczo, że zatrzyma pięćdziesiąt dolarów rocznie na własne potrzeby Antonii, Ambrosz powiedział, że chce zabrać jego siostrę do miasta po to, aby ją wystroić i tylko ośmieszyć. Pani Harling żywo odmalowała zachowanie Ambrosza podczas ich wizyty; podskakiwał, wciskał na głowę czapkę, jakby już skończył z całą tą sprawą, a matka ciągnęła go za połę surduta i coś mu doradzała po czesku. Pani Harling zgodziła się w końcu płacić trzy dolary tygodniowo za pracę Antonii - a był to dobry zarobek w owych czasach - i kupować jej buty. Rozgorzał zaciekle spór o buty, aż wreszcie pani Szimerda oświadczyła, że dla wyrównania będzie przysyłała trzy tłuste gęsi w ciągu roku. Ambrosz miał przywieźć siostrę do miasta w przyszłą sobotę.

- Z początku będzie na pewno nieokrzesana i niezdarna - powiedziała babcia z pewnym niepokojem - ale jeżeli nie zniszczyło jej całkiem to twarde życie, jakie wiodła, będzie naprawdę pomocna, bo taka już jest z natury.

Pani Harling roześmiała się, szybko i zdecydowanie jak zawsze.

- Och, wcale się o to nie martwię. Potrafię coś wykrzesać z tej dziewczyny. Ma zaledwie siedemnaście lat, może się jeszcze nauczyć nowych zwyczajów. 1 do tego jest całkiem ładna! - dodała ciepłym tonem.

Frances zwróciła się do babci: - O tak, a pani nam o tym nie powiedziała! Kiedy zajechaliśmy, robiła coś w ogrodzie, bosa i w podartej sukience. Ma pięknie opalone nogi i ręce i wspaniałe rumieńce na policzkach, które przypominają duże, ciemnoczerwone śliwki.

Z przyjemnością słuchaliśmy tych pochwał. Babcia powiedziała ze wzruszeniem: - A kiedy przyjechała do tego kraju i czuwał nad nią jej szlachetny ojciec, była tak śliczną dziewczyną, że drugiej takiej nie widziałam. Ale moje drogie, co za życie miała, w polu przy ciężkiej młócce. Gdyby żył ojciec biednej Antonii, nu pewno wszystko by się inaczej ułożyło.

Harlingowie prosili, abyśmy opowiedzieli o śmierci paiui Szimerdy i zawiei śnieżnej, jaka wtedy szalała. Nim ujrzelśmy

dziadka wracającego z kościoła, zdążyliśmy już im dużo opowiedzieć o Szimerdach.

-Dobrze u nas będzie Antonii i z czasem zapomni o tych przeżyciach - powiedziała pani Harling z głębokim przekonaniem, gdy się podnieśliśmy, zmierzając do wyjścia. ni

W sobotę Ambrosz podjechał do tylnej bramy, z wozu zeskoczyła Antonia i tak jak bywało dawniej, przybiegła wprost do naszej kuchni. Miała na nogach buty i pończochy, była podniecona i prawie bez tchu. Potrząsnęła mnie wesoło za ramiona. - Nie zapomniałeś o mnie chyba, Jim?

Babcia ją ucałowała. - Niech cię Bóg błogosławi, moje dziecko! Przyjechałaś, a więc staraj się postępować jak należy i nie zawieź naszego zaufania.

Z ożywieniem rozglądała się po całym domu i patrzyła na wszystko z podziwem.

-A może ja będę taką dziewczyną, że mnie pani jeszcze lepiej polubi, teraz jak przyjechałam do miasta - powiedziała z nadzieją w głosie.

Jak dobrze było mieć Antonię blisko, widywać się z nią codziennie i prawie każdego wieczoru! Antonia często przerywała pracę i wybiegała pobawić się z dziećmi, a była to jej największa wada, jak stwierdzała pani Harling. Biegała z nami po ogrodzie, brała udział w naszych walkach na sianie w stodole, przy czym, zawsze stała po czyjejs stronie, albo też była starym niedźwiedziem, który przywędrował z gór i porwał ze sobą Ninę. Nauczyła się angielskiego tak szybko, że nim rozpoczęła się szkoła, mówiła równie dobrze jak my.

Zazdrość budził we mnie podziw Antonii dla Charleya Harlinga. Był zawsze pierwszym uczniem w klasie, potrafił naprawić krany i dzwonek u drzwi, a także rozebrać zegar na części, dlatego uważała go pewnie za księcia. Spełniała wszystkie

życzenia Charleya, nie sprawiało jej to żadnego kłopotu. Uwielbiała przygotowywać mu kanapki, gdy się

wybierał na polowanie, reperować jego rękawiczki, przyszywać guziki do myśliwskiego płaszcza, piec orzechowe ciasto, które lubił, karmić jego setera, gdy wyjeżdżał z ojcem. Antonia uszyła sobie kapcie do pracy ze starych płaszczy pana Harlinga i człapiąc w nich krążyła za Charleyem wypatrując z upragnieniem, czym by mu mogła dogodzić.

Po Charleyu najbardziej chyba kochała Ninę, która miała zaledwie sześć lat i była o wiele bardziej skomplikowanym dzieckiem niż wszystkie pozostałe. Miała kaprysy, wszelkie nieokreślone przywileje i bardzo łatwo ją było obrazić. Przy najdrobniejszym rozczarowaniu albo przykrości jej aksamitne brązowe oczy napełniały się łzami, podnosiła głowę i odchodziła w milczeniu. Nawet jak pobiegliśmy za nią próbując ją ugłaskać, nie odnosiło to żadnego skutku. Była niepokieszona. Wydawało mi się wtedy, że żadne oczy na świecie nie robią się tak ogromne i nie zbiera się w nich tyle łez co w oczach Niny. Pani Harling i Antonia niezmiennie trzymały jej stronę. Nigdy nie dawały nam szansy, aby cokolwiek wyjaśnić. Oskarżenie było proste: - Przez was Nina płacze. Jimmy może iść do domu, a Sally musi zabrać się do arytmetyki. - Ja też lubiłem Ninę, była taka inna niż wszyscy i miała cudowne oczy, ale często ogarniała mnie ochota, żeby nią trochę potrząsnąć.

Wesoło spędzaliśmy wieczory u Harlingów podczas nieobecności ich ojca. Jeżeli był w domu, dzieci musiały wcześniej chodzić spać albo też zabawa odbywała się u mnie. Pan Harling wymagał nie tylko spokoju w domu, ale chciał też, aby żona poświęcała mu się bez reszty. Zabierał ją do pokoju w zachodnim skrzydle domu i przez cały wieczór omawiał z nią interesy. Nie zdawaliśmy sobie wtedy sprawy, że pani Harling była naszą widownią i zawsze spoglądaliśmy w jej stronę oczekując propozycji i uwag. Nic nam bardziej nie schlebiało jak jej śmiech.

Pan Harling miał biurko w swojej sypialni i fotel bujany przy oknie, na którym nikt poza nim nie siadał. W te wieczory, kiedy był w domu, widziałem cień jego sylwetki na zasłonach, i wydawał mi się pełen wyniosłości. Pani Harling nie dostrzegała wtedy nikogo. Przed pójściem do łóżka podawała mu zawsze przekąskę z wędzonego łososia albo sardelę z piwem. W jego pokoju stała lampa spirytusowa i francuska maszynka do kawy, a żona przyrządzała mu kawę o każdej godzinie w nocy, ilekroć miał na nią ochotę.

Większość ojców w Black Hawk nie miała żadnych osobistych przyzwyczajień poza zwyczajami domowymi; płacili rachunki, po wyjściu z biura wyjeżdżali wózkami z dziećmi na spacer, podlewali trawniki przesuając rozpryskiwacz, w niedzielę zabierali rodzinę na przejażdżkę. Pan Harling wydawał mi się więc autokratą o władczym sposobie bycia. Chodził, rozmawiał, wkładał rękawiczki, witał się ściskając dłoń jak ktoś, kto jest świadom swojej mocy. Nie był wysoki, ale głowę nosił z taką wyniosłością, że nadawało mu to władczy wygląd, no i jego oczy patrzyły ze śmiałym wyzwaniem. Wyobrażałem sobie wtedy, że "szlachta", o której tyle opowiadała Antonia, musiała tak właśnie wyglądać jak Christian Harling, też zapewne nosiła peleryny jak on

1 lśniący brylant na małym palcu.

Dom Harlingów nigdy nie był spokojny, jedynie tylko w te dni, gdy ojciec był w domu. Pani Harling, Nina i Antonia tyle robiły hałasu, jakby dom był pełen dzieci, a do tego jeszcze ktoś zwykle grał na pianinie. Tylko Julia trzymała się ustalonych godzin, wszyscy pozostali grali, kiedy popadło. Frances wracała w południe i grała aż do obiadu. Sally, natychmiast po szkole, jeszcze w kapeluszu i płaszczu, siadała i bębniła popularne na plantacjach melodie, które trupy murzyńskich śpiewaków przywoziły do miasta. Nawet Nina wygrywała szwedzki marsz weselny.

Pani Harling uczyła się grać na fortepianie u dobrego nauczyciela i starała się ćwiczyć w miarę możliwości codziennie. Nauczyłem się, że ilekroć wysłano mnie do niej z jakimś poleceniem, a siedziała właśnie przy pianinie, należało usiąść i spokojnie czekać, aż sama się odwróci.

Widzę ją jeszcze w tej chwili: niska, krępa, siedzi mocno na stołku, jej małe pulchne ręce poruszają się szybko i sprawnie po klawiaturze, oczy wpatrują się w nuty z rozważnym skupieniem.

IV

■

Nie chcę waszej stoczonej wołkiem pszenicy, nie chcę waszego jęczmienia, wezmę tylko miarkę dobrej białej mąki, upiekę ciasto dla Charleya.

Takie rymy śpiewaliśmy, żeby podokuczać Antonii, kiedy ubijała w wielkiej misie ulubione ciasto Charleya.

Jesienny wieczór był rześki, ale zimny, chętnie więc przestaliśmy się bawić w berka na podwórku i schroniliśmy się w kuchni. Zaczęliśmy właśnie obtaczać kukurydziane kulki w syropie, gdy usłyszeliśmy pukanie do tylnych drzwi. Antonia odłożyła łyżkę i poszła otworzyć.

W drzwiach stała dziewczyna o jasnej cerze. Wyglądała poważnie i ładnie, jak wdzięczny obrazek; była w niebieskiej kaszmirowej sukience, na głowie miała mały niebieski kapelusz, na ramionach szal ze szkockiej kraty, który ją starannie okrywał, w ręku zniszczony notes.

- Jak się masz, Antonio! Nie poznajesz? - spytała aksamitnym, niskim głosem, spoglądając na nas figlarnie.

Antonia wstrzymała oddech i cofnęła się do tyłu.

- Och, to przecież Lena! Pewnie, że cię nie poznałam, tak ubrana!

Lena Lingard roześmiała się, jakby jej to sprawiło przyjemność. Ja też jej w pierwszej chwili nie mogłem rozpoznać. Nigdy dotychczas nie widziałem jej w kapeluszu... ani w pantoflach i pończochach. A tutaj oto stała, schludna i świeża, ubrana jak miejska dziewczyna, uśmiechając się do nas z jakimś głębokim spokojem.

- Witaj, Jim - rzekła swobodnie, wchodząc i rozglądając się po kuchni, f Ja też przyjechałam do miasta pracować, Antonio.

- Naprawdę? To zabawne! - Antonia stała skrępowana nie wiedząc, co począć z gościem.

Drzwi do jadalni były otwarte, a tam siedziała pani Harling robiąc szydełkiem.

Frances coś czytała, ale zaprosiła Lenę do jadalni.

- Jesteś Leną Lingard, prawda? Odwiedziłam twoją matkę, ale akurat tego dnia paśła krowy. Mamo, to najstarsza córka Chrisa Lingarda.

Pani Harling opuściła robótkę i objęła gościa szybkim, bystrym spojrzeniem. Lena w ogóle nie czuła się skrępowana. Usiadła na krześle wskazanym przez Frances i starannie zaczęła układać na kolanach notatnik i szare bawełniane rękawiczki. My zabraliśmy się do kukurydzy, ale Antonia wycofała się, powiedziała, że musi wsadzić ciasto do pieca.

- A więc przyjechałaś do miasta - odezwała się pani Harling wpatrując się w Lenę. - Gdzie pracujesz?

- U pani Thomas, krawcovej. Nauczy mnie szyć. Mówi, że mam dryg. Skończyłam z farmą, tam nie ma końca z robotą, i wciąż tyle kłopotów. Chcę być krawcową.

- No cóż, krawcowe są potrzebne. To dobry zawód. Ale na twoim miejscu nie opuszczałabym farmy - powiedziała raczej surowym głosem pani Harling. - Jak się miewa twoja matka?

- Och, mama to nigdy się dobrze nie miewa, za dużo ma pracy. Gdyby mogła, też by się stamtąd wyniosła. Chciała, żebym wyjechała. Jak się nauczę szyć, będę zarabiać i pomogę mamie.

- Żebyś tylko nie zapomniała - skomentowała to sceptycznie pani Harling, zabierając się znowu do robótki i żwawo manipulując szydełkiem zręcznymi palcami.

- O nie, proszę pani, na pewno nie zapomnę! - odparła grzecznie. Wzięła kilka ziarenek kukurydzy, które jej podsunęliśmy, i jadła delikatnie, żeby nie ubrudzić palców.

Frances przysunęła się bliżej do gościa. - Wydawało mi się, że miałaś zamiar wyjść za mąż, Leno - powiedziała żartobliwym tonem. - Czyżbym się przesłyszała, że Nick Svendsen mocno o ciebie zabiegał? Lena popatrzyła na nią z tajemniczym i niewinnym

uśmiechem. - Chodził ze mną dość długo, ale jego ojciec zrobił szum, powiedział, że nie da Nickowi ani kawałka ziemi, jeżeli się ze mną ożeni. Wobec tego Nick żeni się z Annie Iverson. Nie chciałabym być na jej miejscu. Nick jest okropnie zły, na pewno się na niej odegra. Od czasu, jak się z nią zaręczył, nie odezwał się jeszcze do ojca ani razu.

Frances roześmiała się. - No, a co ty na to wszystko?

- Nie chcę wychodzić za Nicka, za nikogo - oznajmiła Lena półgłosem. - Napatrzyłam się na różne małżeństwa i wcale mi na tym nie zależy. Chcę żyć tak, abym mogła pomóc mamie i rodzeństwu w domu i nie pytać nikogo o zgodę.

- Słusznie - rzekła Frances. - I pani Thomas uważa, że możesz się nauczyć szycia?

- Tak, proszę pani. Zawsze chciałam szyć, tylko że nigdy nie miałam możliwości. Pani Thomas robi piękne rzeczy dla wszystkich pań w mieście. Wiedzą panie, że pani Gardener szyje sobie suknię ze szkarłatnego aksamitu? Aksamit został przywieziony z Omaha. Och, jaki cudowny! - Lena cicho westchnęła i poprawiła fałdy swojej kaszmirowej sukni. - Antonia wie, że nigdy nie lubiłam pracy w polu.

Pani Harling zerknęła na nią. - Myślę, Leno, że nauczysz się dobrze szyć, jeżeli nie będziesz sobie zaprzętać głowy tańcami i zaniedbywać pracy, jak niektóre dziewczęta ze wsi.

- Tak, proszę pani. Tiny Soderball także przyjeżdża do miasta. Będzie pracować w hotelu "Boy's Home", no
1widywać dużo gości - dodała Lena w zadumie.

- Chyba nawet za dużo - orzekła pani Harling. - Nie wydaje mi się, żeby hotel był odpowiednim miejscem dla dziewczyny, chociaż pani Gardener raczej dobrze pilnuje swoich kelnerek.

Szare oczy Leny, których spojrzenie spod długich rzęs wydawało się trochę senne, wędrowały po wesołych pokojach z pełnym naiwności podziwem. Nałożyła bawełniane | rękawiczki. - Chyba już muszę iść - powiedziała niezbyt zdecydowanie.

Frances zaprosiła ją, aby przychodziła zawsze, ilekroć będzie się czuła osamotniona albo potrzebowała jakiejś rady. Lena odparła na to, że nie wyobraża sobie, aby mogła się kiedykolwiek czuć osamotniona w Black Hawk.

Podeszła do kuchennych drzwi i zwróciła się do Antonii z prośbą, aby odwiedzała ją jak najczęściej. - Mam u pani Thomas samodzielny pokój, i to z dywanem.

Antonia przestępowała z nogi na nogę w swoich płóciennych kapciach. - Przyjdę kiedyś, ale pani Harling nie lubi, żebym za dużo wychodziła - powiedziała wymijająco.

- Przecież jak wychodzisz, to możesz robić, co ci się podoba? - spytała Lena szeptem. - Nie zachwycasz się miastem, Antonio? Ja nie dbam o to, co kto mówi. Mam dość wsi! - Obejrzała się przez ramię w stronę jadalni, gdzie siedziała pani Harling.

Po odejściu Leny Frances spytała Antonię, dlaczego nie była dla niej trochę serdeczniejsza.

- Nie wiedziałam, czy pani mama życzyłaby sobie, żeby tutaj przychodziła - odparła Antonia lekko zakłopotana. - To dziewczyna, o której się na wsi różnie mówiło.

- Tak, wiem. Ale mama nie będzie miała nic przeciwko niej, jeżeli tutaj będzie się odpowiednio zachowywać. Nie potrzebujesz mówić o tym dzieciom. Myślę, że Jim słyszał te plotki?

Kiedy przytaknąłem, pociągnęła mnie za włosy i powiedziała, że za dużo wiem. Byliśmy przyjaciółmi, Frances i ja.

Popędziłem do domu, żeby opowiedzieć babci o przyjeździe Leny do miasta. Ucieszyliśmy się oboje, bo ciężkie miała życie na wsi.

Lena mieszkała w osiedlu norweskim na zachód od Squaw Creek i zazwyczaj pasła bydło swego ojca na otwartych łąkach między ich gospodarstwem a gospodarstwem Szimerdów. Zawsze, kiedy tamtędy przejeżdżaliśmy, widzieliśmy ją wśród krów z gołą głową i bosą, biednie ubraną w jakieś łachmany. Ciągle coś robiła na drutach pilnując bydła. Nim poznałem Lenę, wydawała mi się jakąś dziką, żyjącą na prerii istotą, bo nigdy nie widziałem jej pod dachem. Jej jasne włosy pod wpływem słońca wyglądały jak ruda strzecha; ale ręce i nogi, dziwna rzecz, mimo że ciągle

104 WILIA CATHER

wystawione na działanie słońca, były niezwykle białe, przez co wydawała się ubrana w suknie bardziej wycięte niż wiele innych dziewcząt, które w rzeczywistości skąpiej były ubrane. Kiedy po raz pierwszy zatrzymałem się przy niej, zdumiony byłem jej subtelnym głosem i swobodnym, miłym zachowaniem. Przeważnie dziewczęta pasące bydło stawały się ordynarne i zachowywały się jak chłopaki. Lena poprosiła, żebym zsiadł z konia i Jake także, żebyśmy z nią pobyli, a zachowywała się, jakby przyzwyczajona była do gości i przyjmowała nas w domu. Wcale nie krępowała się postrzępionym ubraniem i traktowała nas jak starych przyjaciół. Już wtedy zauważyłem niezwykle kolor jej oczu - ciemnofioletowy - i ich łagodny wyraz, pełen ufności.

Chris Lingard nie był gospodarzem zaradnym, a miał dużą rodzinę. Lena zawsze robiła na drutach pończochy dla młodszych braci i siostr i nawet norweskie kobiety, które miały jej wiele do zarzucenia, przyznawały, że jest dobrą córką dla matki. Jak powiedziała Antonia, różnie się o niej mówiło. Oskarżano ją, że dla niej Ole Benson stracił głowę, a była wtedy jeszcze podlotkiem.

Ole mieszkał w nędznej ziemiance na skraju osiedla. Był tłusty, leniwy i odrażający, ciągle prześladował go zły los. Przydarzały mu się wszelkie nieszczęścia, a do tego jeszcze żona, "Szalona Mary", usiłowała podpalić stodołę sąsiada
1 wysłano ją do zakładu w Lincoln. Trzymano ją tam kilka miesięcy, ale uciekła i piechotą wróciła do domu, prawie dwieście mil, wędrowała tylko nocą kryjąc się w stodołach i stogach siana. Kiedy dotarła do osiedla norweskiego, podeszwy miała twarde jak podkowy. Obiecała, że będzie dobra, pozwolono jej więc zostać w domu, choć wszyscy wiedzieli, że jest tak samo szalona jak dawniej; nadal biegała boso po śniegu i opowiadała sąsiadom o swoich kłopotach domowych.

Niedługo po powrocie Mary z zakładu słyszałem, jak młody Duńczyk, który pomagał nam w młócce, opowiadał Jake'owi i Otto, że Ole Benson stracił głowę dla najstarszej córki Chrisa Lingarda i wcale teraz nie jest mądrzejszy od swojej żony. Tego lata, gdy pracował przy żniwach, z byle

MOJA ANTONIA 105

powodu rzucał robotę, zostawiał uwiązany zaprzęg i szedł na pastwisko Leny. Siadał gdzieś z boku i pomagał jej pilnować bydło. Całe osiedle tylko o tym mówiło. Żona norweskiego pastora przyszła do Leny i powiedziała jej, że nie powinna na to pozwalać; prosiła też, aby Lena przychodziła w niedziele do kościoła. Lena odparła na to, że poza łachmanami, jakie ma na sobie, nia ma żadnej sukienki. Wobec tego żona pastora przerzuciła stare kufry i znalazła jakieś rzeczy, które nosiła jeszcze przed ślubem.

W następną niedzielę Lena zjawiła się w kościele, trochę spóźniona, z włosami starannie upiętymi jak młoda kobieta, w pantoflach, pończochach i nowej sukience, którą przerobiła i świetnie dopasowała do swojej figury. Wszyscy parafianie utkwili w niej spojrzenie. Aż do tego ranka nikt - poza Ole - nie zdawał sobie sprawy, jak ładna jest Lena i że dorasta. Jej zaokrąglone kształty ginęły w luźnych łachmanach, jakie nosiła na polu. Kiedy po odśpiewaniu hymnu parafianie zaczęli się rozchodzić, Ole pomknął do koniowiązu i podsadził Lenę na konia. Było to szokujące; nie do pomyślenia, aby żonaty człowiek robił takie rzeczy. Było to jednak niczym w porównaniu z tym, co nastąpiło potem. Szalona Mary wyskoczyła z tłumu kobiet stojących w drzwiach kościelnych i popędziła za Leną syjąc najokropniejszymi groźbami.

- Uważaj, Leno Lingard, uważaj! Przyjdę kiedyś z sierpem i tak cię okroję, że przestaniesz się tak miękko kołysać i łytać okiem na chłopów!...

Norweskie kobiety nie wiedziały, co robić. Były porządnymi żonami, większość z nich surowo przestrzegała dobrych obyczajów. Lena Lingard tylko śmiała się na swój leniwy, dobrotliwy sposób i jechała spoglądając przez ramię na rozwścieczoną żonę 01e'a.

Z czasem jednak Lena przestała się śmiać. Szalona Mary nie raz ścigała ją przez prerię i pola Szimerdów. Lena nie poskarżyła się ojcu; pewnie się wstydziła; pewnie bardziej lękała się gniewu ojca niż sierpa. Któregoś popołudnia byłem u Szimerdów, kiedy Lena z szybkością, z jaką tylko niosły ją nogi, przemknęła przez czerwoną trawę, wpadła

do domu Szimerdów i skryła się w pierzynie Antonii. Tuż za nią biegła Mary; stanęła w drzwiach i kazała nam sprawdzić, jak ostry jest jej sierp, pokazując jednocześnie obrazowo, co zamierza zrobić z Leną. Pani Szimerda, wyglądająca przez okno, dobrze się tą sceną bawiła i żałowała, że Antonia odesłała Mary ułagodźszy ją pełnym fartuchem pomidorów w butelkach. Wtedy z izdebki Antonii za kuchnią wyszła Lena, czerwona, bo pierze mocno ją wygrzało, ale zupełnie spokojna. Prosiła Antonię i mnie, żebyśmy z nią wyszli i pomogli zagnać bydło, bo się rozproszyło i pewnie podjada gdzieś w cudzej kukurydzy.

- Jak ci zginie wół, to może przestaniesz wywracać oczami do żonatych chłopów - orzekła pani Szimerda chcąc ją nastraszyć.

Ale Lena tylko się uśmiechnęła sennie. - Nigdy go nie uwodziłam. Co mogę na to poradzić, że się włóczy za mną, przecież nie mogę mu rozkazać, żeby sobie poszedł. To nie moja preria.

V

Po przyjeździe Leny do Black Hawk często potem spotykałem ją w mieście, jak dobierała jedwabne nici do szycia albo kupowała jakieś części do maszyny pani Thomas. Jeśli zdarzyło się, że szedłem z nią razem do domu, opowiadała o sukniach, które pomagała szyć, albo o tym, co widziała i słyszała spędzając u Tiny Soderball sobotnie wieczory w hotelu.

"Boy's Home" był najlepszym hotelem w okręgu Burlington i wszyscy kupcy podróżujący po tej okolicy starali się zatrzymać na niedzielę w Black Hawk. W sobotnie wieczory po kolacji wszyscy zazwyczaj gromadzili się w salonie. Pracownik Marshalla Fielda, Anson Kirkpatrick, grał na fortepianie i śpiewał najnowsze sentymentalne piosenki. Tiny najpierw pomagała kucharce w zmywaniu naczyń, a potem obie z Leną siadały po drugiej stronie podwójnych drzwi między salonem i jadalnią i tam słuchały i śmiały się z dowcipów i opowieści. Lena często wyrażała nadzieję, że jak dorosnę, zostanę podróżnikiem. Wspaniałe życie; nic się nie robi, tylko całymi dniami jeździ pociągiem, a zatrzymując się w dużych miastach chodzi się do teatru. Za hotelem był stary magazyn, w którym sprzedawcy otwierali wielkie kufry i rozkładali swoje towary. Kupcy z Black Hawk oglądali wszystko i potem zamawiali, a pani Thomas, choć była "kupcem detalicznym", mogła wszystko oglądać i "czerpać pomysły". Szczodrzy byli ci podróżnicy; Tiny Soderball dostawała od nich chusteczki do nosa, rękawiczki, wstążki, prążkowane pończochy i tyle perfum i pachnącego mydła, że obdarowywała nimi także i Lenę.

Po południu w przedświątecznym tygodniu przed Bożym Narodzeniem spotkałem się z Leną i jej zabawnym braciszkiem o kwadratowej głowie, Chrisem. Stali przed drugstorem przyglądając się woskowemu lalkom, klokom i całej Arce Noego przez zamarznięte okno wystawowe. Chłopiec przyjechał do miasta z sąsiadem po świąteczne zakupy, bo w tym roku posiadał własne pieniądze. Miał dwanaście lat, ale został zatrudniony na całą zimę w norweskim kościele: zamiatał i rozpałał w piecu w każdą niedzielę rano. Pewnie dobrze się namarzył przy tej pracy!

Weszliśmy do sklepu z pasmanterią Duckforda, w którym Chris odwinął wszystkie prezenty i pokazał nam - miał coś dla każdego z sześciorga młodszego rodzeństwa, nawet gumową świnkę dla niemowlęcia. Lena dała mu dla matki flakon perfum, który dostała od Tiny Soderball, uznał więc, że dobrze do tego będzie pasowało kilka chustek do nosa. Były tanie, a zostało mu już niewiele pieniędzy. Na jednym ze stolików leżało pełno chustek. Chris chciał kupić te, które miały w rogu wyhaftowane inicjały, bo takich jeszcze nigdy nie widział. Przyglądał się im z zainteresowaniem, gdy Lena spojrzała mu przez ramię i powiedziała, że czerwone litery zachowają kolor

najdłużej. Wydawał się tak zbulwersowany, że byłem przekonany, iż ma za mało pieniędzy. Wreszcie oznajmił z powagą:

- Siostró, wiesz, że mamie na imię Berta. Zastanawiam się, co powinienem wybrać, czy B dla Berty, czy M dla mamy.

WILLA CATHER

Lena pogładziła go po szczeciniastej głowie. - Wybrałabym B, Chrissy. Będzie jej miło, że pamiętasz, jak ma na imię. Nikt się już teraz do niej tak nie zwraca.

To go zadowoliło. Rozpogodził się i wybrał trzy chustki z czerwonym inicjałem i trzy z niebieskim. Kiedy zjawił się sąsiad i oznajmił, że czas już wyruszać, Lena owinęła szalikiem szyję Chrisa i postawiła mu kołnierz u kurtki - nie miał płaszcza - po czym wskoczył na wóz i wyruszył w długą, mroźną drogę. Szedłem z Leną ulicą, po której hulał wiatr, i nagle zobaczyłem, że ociera oczy wełnianą rękawiczką. - A jednak bardzo za nimi tęsknię - szepnęła cicho, jakby odpowiadając na jakąś tkwiącą w pamięci wymówkę.

VI

Zima wszechwładnie ogarnia małe miasteczko na prerii. Wiatr wiejący z otwartych przestrzeni zrywa zasłony z listowia, które oddzielają latem jedno podwórko od drugiego, a wszystkie domy zaczynają się jakby do siebie przybliżać. Dachy, które wydają się tak odległe pośród zielonych wierzchołków drzew, teraz zagładają prosto w twarz, a pozbawione winorośli i krzewów otulających je na brzegach, wyglądają o wiele brzydziej.

Rankiem, gdy szedłem do szkoły staczając walkę z wiatrem, nie widziałem nic tylko drogę przed sobą, zaś późnym popołudniem, kiedy wracałem, roztaczało się przede mną ponure i opustoszałe miasto. Błady, lodowaty blask zachodzącego słońca w zimie nie przydawał piękna - było to jakby samo światło prawdy. Kiedy szare chmury zwisały nisko na zachodzie, a za nimi kryło się czerwone słońce, rozlewając różowy blask na ośnieżonych dachach i niebieskawych zaspach, wtedy na nowo podrywał się wichur, zawodzący pełną goryczy pieśń, której słowa tak brzmieć się zdawały: "Oto jest rzeczywistość, czy ci się to podoba, czy nie! Wszelka frywolność lata, światło i cień, żywa drżąca maska zieleni - to kłamstwo, bo głębiej jest właśnie to wszystko. Tylko to jest prawdą". Wydawało się, że spotyka nas kara za to, że kochamy piękno lata.

Jeśli zdarzyło się, że zbałamuciłem trochę czasu na boisku szkolnym albo wstąpiłem na pocztę odebrać korespondencję czy też zatrzymałem się na chwilę przy kiosku z papierosami, żeby posłuchać plotek, wtedy docierałem do domu o zmroku. Słońca nie było już ani śladu, rozciągały się przede mną spowite mrozem ulice, długie i niebieskie, w oknach kuchennych migotało blade światło, dolatywały też zapachy przygotowywanej kolacji. Niewiele ludzi było poza domem, każdy się spieszył do ciepłego kominka. Rozgrzane piece w domach przyciągały jak magnes. Jeśli zdarzyło się minąć jakiegoś starszego człowieka, nie sposób było dostrzec jego twarzy, widziało się tylko czerwony nos sterczący między oszroniałą brodą i wielką pluszową czapą. Młodzi przemykali ulicą z rękami w kieszeniach, od czasu do czasu ślizgając się po oblodzonym chodniku. Dzieci, w kolorowych kapturkach i szalikach, nigdy nie szły wolnym krokiem, już od drzwi pędziły przed siebie, klepiąc się rękawiczkami po bokach. Kościół Metodystów był akurat w połowie mojej drogi do domu. Pamiętam, jak bardzo się cieszyłem, jeżeli akurat paliły się światła w kościele i przez kolorowe szyby w oknach padał blask na ludzi idących mroźną ulicą. W zimowej monotonii pragniemy barw, tak jak Lapończyk pragnie tłuszczu i cukru. Nieświadomie zwalnialiśmy kroku przy kościele, w którym z powodu prób chóru albo modlitw zapalano lampy o wcześniejszej porze, i trzęsąc się z zimna gawędziliśmy, póki nam całkiem nie zlodowaciały nogi. Surowa czerwień, zieleń i błękit tych barwnych okien niemal nas przykuwały.

W zimowe wieczory światła okien Harlingów wabiły mnie jak światła kolorowych okien w kościele. I wewnątrz tego ciepłego domu było kolorowo. Po kolacji wciskałem

czapkę na głowę, wsuwałem ręce do kieszeni i pędem zanurzałem się w wierzbowy żywopłot, jakby goniły mnie czarownice. Jeżeli pan Harling był w domu, jeżeli na zasłonach zachodniego pokoju rysował się jego cień, to oczywiście nie wchodziłem, wracałem wtedy dłuższą drogą

do domu, ulicą, zastanawiając się, jaką książkę wziąć do czytania, gdy będę siedział z dwójgim starych ludzi.

Takie rozczarowania przydawały tylko więcej uroku wieczorom, w czasie których rozwiązywaliśmy szarady albo organizowaliśmy kostiumowy bal w saloniku na tyłach domu, przy czym Sally zawsze przebierała się za chłopaka. Tej zimy Frances uczyła nas tańczyć i powiedziała już na pierwszej lekcji, że Antonia będzie najlepszą spośród nas tancerką. W sobotnie wieczory pani Harling grała nam różne stare opery, jak "Marta", "Norma", "Rigoletto" -jednocześnie opowiadając ich treść. Każdy sobotni wieczór był jak wielkie przyjęcie. Salon, a także salonik w tylnej części domu i jadalnia była ogrzana i jasno oświetlone, stały w nich fotele i sofy, na ścianach wisiały wesołe obrazy. Dobrze się tutaj wypoczywało. Antonia przynosiła szycie i siedziała razem z nami - zaczynała już szyc dla siebie ładne sukienki. Po długich zimowych wieczorach na prerii, ponurym milczeniu Ambrosza i ciągłych narzekaniach matki dom Harlingów wydawał jej się, jak sama mówiła, "niebem". Nigdy nie była zmęczona, zawsze gotowa robić toffi albo czekoladowe ciasteczka. Wystarczyło, że Sally szepnęła jej coś do ucha albo Charley trzy razy mrugnął okiem, a Antonia biegła do kuchni i rozniecała ogień, choć tego dnia gotowała już trzykrotnie.

Kiedy siedzieliśmy w kuchni czekając, aż się upieką ciastka albo ostygną toffi, Nina przymilnie prosiła Antonię, aby coś opowiedziała - o cielaku, który złamał nogę, albo jak dzięki Julce nie utopiły się w potoku małe indyki, albo o Bożym Narodzeniu i weselach w Czechach. Nina zabawnie interpretowała opowieść o żłobku i mimo naszych drwin, żywiła przekonanie, że Jezus narodził się w Czechach tuż przed wyjazdem Szimerdów z ich kraju. Wszyscy lubiliśmy słuchać opowieści Antonii. Jej głos miał bardzo miłe brzmienie, był głęboki, lekko ochrypli i zawsze słyszało się wtedy jej wibrujący oddech. Wydawało się, że wszystko, co mówi, płynie prosto z jej serca.

Któregoś wieczoru łuskaliśmy orzechy na toffi, gdy Antonia opowiedziała nam całkiem nową historijkę.

- Pani Harling, czy słyszała pani, co się zdarzyło latem w norweskim osiedlu, gdy byłam tam przy młócce? Pracowaliśmy u Iversonów, ja wozłam ziarno.

Pani Harling usiadła między nami. - Sama potrafiłaś wrzucać pszenicę do worka, Antonio? - Wiedziała, że jest to bardzo ciężka praca.

- Tak, proszę pani. Ładowałam wcale nie wolniej niż gruby chłopak Andersa, który jeździł drugim wozem. Któregoś dnia był straszny upał. Wróciliśmy po obiedzie na pole, ale nikt nie miał zapału do pracy. Mężczyźni zaprzęgli konie i puścili w ruch maszyny, a Ole Iverson usiadł na pomoście i przycinał słomę na powrozy. Ja usiadłam przy stogu, żeby się choć trochę skryć w cieniu. Mój wóz jeszcze czekał, a było mi jakoś okropnie gorąco. Słońce tak piekło, jakby za chwilę miało spalić cały świat. Wkrótce widzę, że przez ściernisko idzie jakiś mężczyzna, a kiedy się zbliża, widzę, że to włóczęga. Palce wystają mu z butów, dawno się nie golił, a oczy ma czerwone i dzikie, jakby był chory. Od razu podchodzi do mnie i zaczyna rozmawiać, jakby mnie już dobrze znał. Mówi: "Stawy w tym kraju mają tak mało wody, że człowiek nie może się w nich utopić".

Odparłam na to, że nikt tutaj nie chce się topić, ale jeżeli deszcz nie spadnie, będziemy musieli pompować wodę dla bydła.

"Och, bydło - mówi - wy wszyscy dbacie o to swoje bydło! Może macie tu trochę piwa?". Powiedziałam mu, że po piwo musi jechać do Czechów, Norwegowie nie piją piwa w czasie młócki. "O Boże - powiada - więc to Norwegowie? Myślałem, że to Amerykańcy".

Potem idzie do maszyny i błaga Ole'a Iversona: "Słuchaj, człeku, puść mnie tam na górę. Mogę ciąc powrozy, już się zmęczyłem włóczęgą. Nigdzie dalej nie pójdę". Dawałam znaki Ole'owi, bo ten człowiek wydawał mi się szalony i mógłby zepsuć maszynę, ale Ole ucieszył się, że zejdzie ze słońca, a sieczka nie będzie mu wpadać za koszulę i przylepiać się do ciała w taki upał. Więc Ole zeskoczył i wczołgał się pod jakiś wóz, żeby się schować od

112 WILLA CATHER

słońca, a włóczęga usiadł na maszynie. Przez parę minut ciął powrozy całkiem dobrze, a potem... pani Harling, pomachał mi ręką i skoczył głową w dół, prosto w młóć- karkę, razem z pszenicą.

Zaczęłam krzyczeć, mężczyźni popędzili zatrzymać konie, ale pas już go wciągnął, był potłuczony i pocięty na kawałki. Tak go zaklinowało, że z trudem zdołaliśmy go wydostać, a maszyna już nigdy potem dobrze nie działała.

- Czy go całkiem zabiło, Antonio? - wykrzyknęliśmy wszyscy na raz.
- Czy go zabiło? No, chyba tak. Och, Nina się strasznie przejęła. Już nie mówmy o tym. Nie płacz, Nino. Żaden stary włóczęga do ciebie nie przyjdzie, kiedy jest przy tobie Antonia.

Pani Harling powiedziała surowo: - Przestań płakać, Nino, albo za każdym razem, jak Antonia będzie opowiadać o wsi, będziemy cię wysyłać na górę. Czy udało im się dowiedzieć, skąd przybył, Antonio?

- Nie, proszę pani. Widziano go tylko w małym miasteczku, które się nazywa Conway. Próbował tam kupić piwo, ale nie było żadnego zajazdu. Może przyjechał pociągiem towarowym, ale brekowy go nie widział. Nie znaleziono przy nim żadnego listu ani niczego poza starym scyzorykiem w kieszeni, talizmanem w postaci kości obojczykowej kurczęcia owiniętej w kawałek papieru i jakimiś wierszami.

- Wiesz? - wykrzyknęliśmy.
- Pamiętam - odezwała się Frances. - Był to wiersz pod tytułem "Stary dębowy cebrzyk", wycięty z gazety i prawie całkiem zniszczony. Ole Iverson przyniósł mi ten wycinek do biura.
- Bardzo dziwne, panno Frances, prawda? - spytała zamyślona Antonia. - I po co odbierać sobie życie w lecie? W porze młócki! Tak wtedy wszędzie ładnie!
- Tak, Antonio - powiedziała z całą serdecznością pani Harling. - Może w przyszłym roku latem pojedę z tobą do domu i pomogę ci w młócce. Chyba toffi już gotowe? Czuję zapach od dłuższego czasu.

MOJA ANTONIA

113

Między Antonią i jej panią istniała prawdziwa harmonia. Obie były z natury mocne i niezależne. Wiedziały, co lubią, i nie zawsze chciały naśladować innych ludzi. Kochały dzieci, zwierzęta i muzykę, proste zabawy i pracę w ziemi. Lubiły przygotowywać obfite, smaczne posiłki i patrzeć, jak inni jedzą; słać miękkie, lśniące bielą łóżka i patrzeć, jak śpią w nich dzieci. Wyśmiewały próżnych, a spieszyły z pomocą nieszczęśliwym. Gdzieś w głębi każdej z nich drzemała serdeczna jowialność, smak życia, nie przedelikacony, lecz orzeźwiający. Nigdy nawet nie próbowałem tego definiować, ale wyraźnie byłem tego świadom. Nie potrafiłbym sobie wyobrazić Antonii w żadnym innym domu w Black Hawk poza domem Harlingów.

VII

Zima nazbyt długo trwa w prowincjonalnych miastach; zwleka z odejściem, aż staje się zwietrzała i obskurna, stara i posepna. Na farmie pogoda zawsze była sprawą wielkiej wagi, wszystkie ludzkie sprawy toczyły się jej podskórnym nurtem, tak jak strumień płynie pod lodem. W Black Hawk całe życie ludzkie zacieśniało się i ubożało, skute lodem aż do najmniejszego żdźbła.

W styczniu i lutym chodziłem z Harlingami nad rzekę w pogodne wieczory i na łyżwach dojeżdżaliśmy do sporej wysepki, gdzie na zamrzniętym piachu rozpalaliśmy ognisko. Jednakże w marcu lód był już chropawy i kruchy, a śnieg na urwistym brzegu szary i żalony. Czuję się już zmęczony szkołą, zimowym ubraniem, ulicami, na których zostały wyżłobione koleiny, brudnymi zaspami śniegu i

stosem popiołu zalegającego na podwórkach. Tylko jedno urozmaicało ponurą monotonię tego miesiąca; przyjazd murzyńskiego pianisty, niewidomego d'Arnault. W poniedziałkowy wieczór dawał koncert w Opera House, a sobotę i niedzielę spędzał wraz ze swym menedżerem w naszym wygodnym hotelu. Pani Harling znała d'Arnault od lat.

JDoradziła Antonii, aby odwiedziła w sobotę wieczorem Tiny, bo z pewnością będzie wtedy muzyka w "Boy's Home".

Po kolacji popędziłem do hotelu i wśliznąłem się cicho do salonu. Krzesła i kanapy były już zajęte, w powietrzu unosił się przyjemny zapach cygar. Salon niegdyś składał się z dwóch pokoi i podłoga była lekko wklęsła w miejscu, z którego usunięto działową ścianę. Wiatr przenikający z zewnątrz unosił leżący na podłodze długi dywan. Węglowe piece żarzyły się w każdym rogu pokoju, a pośrodku stał otwarty fortepian.

Tego wieczoru panowała tu atmosfera niezwyklej swobody, bo pani Gardener wyjechała na tydzień do Omaha. Johnnie wypił z gośćmi sporo alkoholu, trochę mu zaszumiło w głowie. To pani Gardener prowadziła ten interes i nad wszystkim czuwała. Mąż jej stał przy biurku i witał przybywających podróżnych. Cieszył się popularnością, ale nie zarządzał.

Pani Gardener była niewątpliwie najlepiej ubraną kobietą w Black Hawk, miała elegancką dwukólkę i nieduże, biało-żółte sanie. Zdawała się nie przywiązywać wagi do swej majętności; ani w połowie tak o nią nie zabiegała, jak jej przyjaciele. Była wysoka, ciemnowłosa i poważna, twarz jej

0 rysach surowych i nieruchomych przypominała twarz Indianki. Miała chłodny sposób bycia i niewiele mówiła. Goście uważali, że nie oni jej, lecz ona im wyświadcza łaskę, że zezwala na pobyt w swoim domu. Nawet najwytworniejsi podróżni czuli się zaszczyceni, jeżeli pani Gardener zatrzymywała się, aby zamienić z nimi parę słów. Stali bywalcy hotelu dzielili się na dwie grupy: tych, którzy widzieli diamenty pani Gardener, i tych, którzy nie widzieli.

Kiedy wkradałem się do salonu, Anson Kirkpatrick, pracownik od Marshalla Fielda, siedział przy fortepianie

1 grał melodie z komedii muzycznej wystawianej w Chicago. Był to wytwornie ubrany mały Irlandczyk, próżny, brzydki jak małpa, miał wszędzie przyjaciół i ukochaną w każdym porcie jak marynarz. Nie znałem wszystkich mężczyzn siedzących wokół niego, ale rozpoznałem sprzedawcę mebli z Kansas City, subiekta z drogerii i Willy O'Reilly'a, który

odbywał podróże reprezentując sklep jubilerski i sprzedając instrumenty muzyczne. Rozmawiali o dobrych i złych hotelach, o aktorach, aktorkach i o talentach muzycznych. Dowiedziałem się, że pani Gardener pojechała do Omaha, aby zobaczyć Bootha i Barretta, którzy mieli występować w przyszłym tygodniu, oraz że Mary Anderson odnosi wielkie sukcesy w "Zimowej opowieści" w Londynie.

Otworzyły się drzwi od biura i wkroczył Johnnie Gardener, a za nim niewidomy d'Arnault - za nic by się nie zgodził, aby go ktokolwiek prowadził. Był to przysadzisty, silnie zbudowany Mulat o krótkich nogach, a szedł postukując w podłogę laską o złotej główce, którą trzymał przed sobą. Jego twarz o żółtej cerze uniesiona była ku światłu, jego białe zęby odsłonięte w uśmiechu lśniły z daleka, a pomarszczone jak papier powieki spoczywały nieruchomo na niewidomych oczach.

- Dobry wieczór, panowie. Nie ma tu pań? Dobry wieczór, panowie. No cóż, trochę muzyki, prawda? A może panowie zagrają dla mnie dzisiaj? - Był to miły, przyjacielski murzyński głos, jaki pozostał mi jeszcze w pamięci z wczesnego dzieciństwa, z nutą uległej służalczości. Miał także murzyńską głowę; właściwie to prawie nie miał głowy; oprócz uszu widziało się tylko pofałdowaną szyję pod krótko przystrzyżonym runem. Byłby odpychający, gdyby na jego twarzy nie malowało się tyle dobroci i szczęścia. To najszcześniejsza twarz, jaką mi się zdarzyło zobaczyć od wyjazdu z Wirginii.

Skierował swe kroki wprost do fortepianu. W momencie gdy usiadł, natychmiast spostrzegłem ten nerwowy odruch, o którym wspominała pani Harling. Kiedy siedział lub stał, nieustannie kołysał się to w przód, to w tył, jak mechaniczna zabawka. Przy

fortepianie kołysał się w takt muzyki, a i potem jeszcze się kołysał, gdy przestał już grać, niczym koło młyńskie wciąż obracające się w opustoszałym młynie. Znalazł pedały, sprawdził je, kilka razy przebiegł ciemnymi palcami po klawiaturze tam i z powrotem, wygrywając gamy, po czym odwrócił się do zgromadzonych gości. - Chyba w porządku, panowie. Nic się nie popsuło od

mojego ostatniego pobytu. Pani Gardener zawsze stroi fortepian, jak mam przyjechać. A teraz, dżentelmeni, myślę, że wszyscy mają wspaniałe głosy. Chyba sobie dzisiaj pośpiewamy stare piosenki z plantacji.

Wszyscy skupili się wokół niego, gdy zaczął grać "Mój stary dom w Kentucky". I śpiewali tak jedną murzyńską pieśń po drugiej, a Mulat kołysał się, z głową odrzuconą do tyłu i żółtą twarzą uniesioną do góry; jego pomarszczone powieki ani razu nawet nie drgnęły.

Urodził się na dalekim Południu, na plantacji d'Amault, gdzie, jeżeli faktycznie nie istniało niewolnictwo, to na pewno panował duch niewolnictwa. Miał trzy tygodnie, gdy skutkiem choroby stracił wzrok. Kiedy zaczął siedzieć i raczkować, dołączyła się następna dolegliwość, nerwowe drgawki ciała. Matka, hoża czarna dziewczyna, która była praczką u d'Arnaultów, stwierdziła, że jej niewidome dziecko jest też "słabe" na umyśle, i bardzo się tego wstydziła. Kochała go z całym oddaniem, ale był tak brzydki, miał lak zapadnięte oczy i nieskoordynowane ruchy, że kryła go przed ludźmi. Wszystkie smakolki, jakie przynosiła z Wielkiego Domu, były dla niewidomego dziecka, biła i łajała pozostałe dzieci, ilekroć zauważyła, że się z nim drażnią albo chcą mu odebrać kość kurczaka. Wcześniej zaczął mówić, doskonale zapamiętywał wszystko, cokolwiek usłyszał, w końcu jego mammy orzekła, że "nie jest z nim tak źle". Nazwała go Samsonem, bo nie widział, ale na plantacji znany był jako "głupkowane dziecko Marty". Był pojętny i greczny, ale gdy miał sześć lat, zaczął uciekać z domu, zawsze w tym samym kierunku. Wymacał drogę pośród krzaków bzu i bukszpanowego żywopłotu w stronę zachodniego skrzydła Wielkiego Domu, gdzie Nellie d'Arnault co rano grała na fortepianie. To właśnie najbardziej drażniło matkę: tak się wstydziła jego brzydoty, że wprost nie mogła znieść myśli, aby biali mogli go zobaczyć. Ilekroć przyłapała go na tym, jak wymyka się z chaty, bezlitośnie go biła i opowiadała, jakie to okropności spotkają go od pana d'Arnault, jeżeli zobaczy go koło swego domu. Jednakże Samson w dalszym ciągu wymykał się, gdy tylko nadarzyła mu się okazja. Kiedy panna d'Arnault przerywała na chwilę grę i podchodziła do okna, widziała paskudne małe Murzyniátko, odziane w stary worek, które stało pomiędzy dwoma rzędami malw i kołysało się bezwiednie, a także jego niewidomą twarz uniesioną ku słońcu z wyrazem głupkowatego zachwyty. Nieraz miała ochotę powiedzieć Marcie, że powinna trzymać to dziecko w domu, ale wspomnienie jego głupkowatej, szczęśliwej twarzy powstrzymywało ją od tego. Pamiętała, że słuch jest wszystkim, co posiada to dziecko - ale nie przyszło jej do głowy, że może mieć o wiele lepszy słuch niż wszystkie inne dzieci.

Któregoś dnia Samson stał tam właśnie, gdy panna Nellie odbywała lekcję ze swoim nauczycielem muzyki. Okna były szeroko otwarte. Usłyszał, że wstali od fortepianu, rozmawiali chwilę, a potem wyszli z pokoju. Podczołgał się do frontowych okien i wsunął głowę do pokoju; nie było nikogo. Zawsze wyczuwał czyjąś obecność w mieszkaniu. Przełożył jedną nogę przez parapet i usiadł okrakiem.

Matka ciągle mu powtarzała, że pan rzuci go na pożarcie wielkiemu psu, jeżeli będzie wścibiał nos tam, gdzie nie trzeba. Samson kiedyś zbyt blisko podszedł do budy psa, poczuł nawet jego straszny oddech na twarzy. Przypomniawszy sobie o tym teraz, ale mimo to przełożył do środka drugą nogę.

Odnalazł w ciemności tę Rzecz, jej usta. Dotknął delikatnie i otrzymał delikatną, miłą odpowiedź. Zadrżał i stanął jak wryty. Po chwili jednak zaczął tę Rzecz poznawać, przesunął palcami po śliskich bokach, objął wygięte nogi, chciał uzmysłwić sobie jej kształt i wielkość, przestrzeń, jaką zajmowała w wiecznej nocy. Była zimna i twarda, niepodobna do niczego z jego czarnego wszechświata. Wrócił do ust i zaczął od końca klawiatury, i przesunął się w dół, aż zaczęły rozbrzmiewać

aksamitne, gromkie tony. Wiedział, że trzeba to robić palcami, nie pięścią ani nogą. Zabierał się do tego przedziwnego instrumentu kierując się instynktem, łączył się z nim, jakby zdawał sobie sprawę, że stanowi on jego uzupełnienie, że dzięki temu instrumentowi stanie się

pełną istotą. Po wypróbowaniu wszystkich dźwięków, zaczął wygrywać pasażę z utworów, które grała panna Nellie, a które już stały się jego pasażami, tkwiły pod sklepieniem jego biednej stożkowej czaszki, wyraźne jak zwierzęce pragnienia.

Otworzyły się drzwi, stanęła w nich panna Nellie i jej nauczyciel, ale niewidomy Samson, tak wrażliwy na czyjąś obecność, nawet nie zauważył. Dopełniał wzór, który leżał gotowy na dużych i małych klawiszach. Zatrzymał się na chwilę, bo dźwięk zabrzmiał fałszywie, i chciał zagrać prawidłowy, ale wtedy cicho przemówiła Nellie. Odwrócił się przerażony, skoczył w ciemność i uderzył głową w otwarte okno, po czym z krzykiem, ociekając krwią upadł na podłogę. Dostał "ataku", jak określała to jego matka. Przyszedł doktor i dał mu trochę opium.

Kiedy się poczuł lepiej, panna Nellie podprowadziła go do fortepianu. Kilku nauczycieli sprawdzało jego możliwości. Wszyscy stwierdzili, że ma absolutny słuch i niezwykłą pamięć muzyczną. Będąc małym dzieckiem mógł powtórzyć bezbłędnie każdy utwór, jaki mu zagrano. Bez względu na to, ile razy się pomylił, nigdy nie tracił wątku, grał wbrew wszelkim regułom, ale w sposób zadziwiający. Doprowadzał do zupełnego wyczerpania nauczycieli. Nie potrafił się nauczyć tak jak wszyscy, nigdy nie był w stanie niczego "wypolerować". Był zawsze cudownym Murzynem, który gra barbarzyńsko, ale wspaniale. Może gra budziła zastrzeżenia, ale jako muzyka było to czymś prawdziwym, ożywionym przez poczucie rytmu, które zaznaczało się u niego o wiele silniej niż wszelkie inne zmysły - które nie tylko wypełniało cały jego mroczny umysł, ale też i nieustannie trapiło całe jego ciało. Kiedy się go słuchało i patrzyło na niego, widać było, że się cieszy i to tak, jak tylko może cieszyć się Murzyn. Wydawało się, że wszelkie uczucia, do jakich zdolne są istoty z krwi i kości, skupiły się na biało-czarnych klawiszach, a on unosił się nad nimi i przemykał po nich swymi żółtymi palcami.

W połowie głośnego walca d'Araault nagle zaczął grać cichutko, a odwróciwszy się w stronę mężczyzny, który stał tuż za nim, szepnął: - Ktoś tańczy. - Podrzucił swą okrągłą głowę w stronę jadalni. - Słyszę małe stopki, chyba dziewczęta.

Anson Kirkpatrick wszedł na krzesło i zerknął przez szybę w górnej części drzwi. Zeskoczył, gwałtownie otworzył drzwi i wpadł do jadalni. Tiny i Lena, Antonia i Mary Dusak tańczyły walca pośrodku pokoju. Natychmiast się rozpierzchły i umknęły chichocząc do kuchni.

Kirkpatrick chwycił Tiny za łokcie. - Co się z wami dzieje, dziewczęta? Same tutaj tańczycie, gdy drugi pokój pełen jest samotnych mężczyzn?! Przedstaw mnie swoim przyjaciółkom, Tiny.

Dziewczęta, wciąż roześmiane, próbowały umknąć. Tiny była przerażona. - Pani Gardener byłaby niezadowolona - protestowała. - Byłaby strasznie zła, gdyby pan tu przyszedł i tańczył z nami.

- Pani Gardener jest w Omaha. Ty chyba nazywasz się Lena, prawda? A ty Antonia i ty Mary. Dobrze rozpoznaję?

O'Reilly i wszyscy pozostali zaczęli zajmować krzesła przy stołach. Z biura wypadł Johnnie Gardener.

- Spokój, chłopcy, spokój! Zbudzicie kucharkę, a wtedy będę miał cholerny kłopot. Nie usłyszysz muzyki, ale przyleci, gdy usłyszysz najgłośniejszy hałas w jadalni.

- Och, nie kłopot się tym, Johnnie. Wyrzuć kucharkę i zawiadom Molly, żeby przywiozła drugą. Nie przejmuj się, nikt jej nie doniesie.

Johnnie potrząsnął głową. - Słuchajcie, chłopcy - zwierzył się. - Wystarczy, że wypiję kielicha w Black Hawk, a Molly wie o tym w Omaha.

Goście roześmiali się i pokleпали go po ramieniu. - Och, jakoś sobie poradzimy z Molly. Głowa do góry, Johnnie.

Molly to było oczywiście imię pani Gardener. Na lśniąco białych bokach hotelowego pojazdu wymalowany był wielkimi niebieskimi literami napis "Molly Bawn", jej imię było wygrawerowane wewnątrz pierścienia Johnniego i na kopercie zegarka, a także niewątpliwie w jego sercu. Był to mężczyzna drobnej budowy, łagodny, uważał, że ma

WILLA CATHER

cudowną żonę; zdawał sobie sprawę, że bez niej mógłby być zaledwie urzędnikiem w czymś hotelu.

D'Amault, słysząc słowa Kirkpatricka, rozsiadł się wygodnie przy fortepianie i tak zaczął wygrywać skoczne melodie taneczne, że aż krople potu zalśniły mu na krótkich wełnistych włosach i uniesionej w górę twarzy. Przypominał błyszczącego afrykańskiego boga przyjemności, w którego żyłach płynie gorąca, dzika krew. Gdy tylko tancerze przystawali na chwilę, żeby zmienić partnerki albo złapać oddech, rozlegał się jego aksamitny gruby głos: - Któż to nie dotrzymuje obietnicy? Pewnie któryś z tych dżentelmenów z miasta! Dziewczęta, chyba nie pozwolicie na to, żeby podłoga zziębła?

Antonia wydawała się z początku przerażona, spoglądała pytającym wzrokiem na Lenę i Tyny ponad ramieniem Willy O'Reilly'a. Tyny Soderball była elegancka i smukła, miała małe stopy i ładne nogi, a przy tym ubierała się krótko. Mówiła szybciej, poruszała się i reagowała na wszystko szybciej niż pozostałe dziewczęta. Mary Dusak miała twarz szeroką i smagłą, lekko poznaczoną śladami po ospie, ale była to przystojna dziewczyna. Miała piękne kasztanowate włosy, lekko falujące, czoło niskie i gładkie, a jej władcze ciemne oczy patrzyły na świat obojętnie i bez lęku. Sprawiała wrażenie dziewczyny śmiałej, zaradnej i pozbawionej skrupułów, i taka właśnie była. Ładne to były dziewczyny, każda jakby zabarwiona kolorytem własnego kraju, a ich oczy były pełne blasku, który często określa się - bynajmniej nie jako metafora, o nie! - jako "promyk młodości".

D'Arnault grał, dopóki menedżer nie zamknął fortepianu. Przed wyjściem pokazał nam złoty zegarek wybijający godziny, a także pierścień z topazem podarowany mu przez pewnego rosyjskiego arystokratę, który zachwycił się murzyńskimi pieśniami d'Arnault w Nowym Orleanie. W końcu, skłoniwszy się wszystkim, odszedł z wyrazem łagodności i szczęścia na twarzy, postukując laską na schodach. Wracałem do domu z Antonią. Byliśmy tak podnieceni, że ani myśleć nie mogliśmy o spaniu. Przez

MOJA ANTONIA 121

długi czas jeszcze snuliśmy się pod bramą Harlingów rozmawiając szeptem, dopóki nocny chłód nie ostudził naszego zapału.

VIII

Zarówno dzieci Harlingów, jak i ja chyba jeszcze nigdy nie byliśmy tak szczęśliwi, nie czuliśmy się tak zadowoleni i bezpieczni, jak w pierwszych tygodniach wiosny, która złamała wreszcie tę nieskończenie długą zimę. Całe dni spędzaliśmy na dworze, choć słońce jeszcze słabo grzało, i pomagaliśmy pani Harling i Antonii kopać i sadzić w ogrodzie, spulchniać ziemię wokół drzew owocowych, podwiązywać winorośl i przycinać żywopłot. Co rano, jeszcze w łóżku, słyszałem śpiew Antonii w ogrodzie. A gdy zakwitły jabłonie i czereśnie, biegaliśmy pod ich konarami wypatrując nowych gniazd ptasich, obrzucając się pecynami ziemi i bawiąc się z Niną w chowanego. Jednakże lato, które niosło ze sobą nieuniknione zmiany, przybliżało się z każdym dniem. Chłopcy i dziewczęta rosną, a życie też nie stoi w miejscu, nawet w najspokojniejszych prowincjonalnych miastach; rosną bez względu na to, czy tego chcą, czy nie chcą. O tym starsi na ogół zapominają.

Był to zapewne czerwiec, bo pani Harling i Antonia robiły przetwory z czereśni. Wstąpiłem do nich pewnego ranka, aby im powiedzieć, że przybył do miasta pawilon taneczny. Widziałem, jak transportowano z dworca na dwóch wozach plandeki i malowane słupy.

Tego popołudnia przechadzało się po Black Hawk trzech wesołych Włochów, którzy przyglądali się wszystkiemu, a z nimi czarna, tęga kobieta ze złotym łańcuchem

owiniętym wokół szyi i czarną parasolką z koronki. Wydawało się, że najbardziej interesują się dziećmi i pustymi placami. Kiedy ich mijałem, zatrzymałem się na chwilę i okazało się, że są całkiem przyjemni i skorzy do rozmowy. Powiedzieli mi, że zimą pracują w Kansas City, a latem objeżdżają z namiotem

małe miasteczka i uczą tańców. Kiedy nie mają już chętnych w jednym miejscu, przenoszą się do drugiego.

Pawilon taneczny rozstawiono obok pralni Duńczyka, na pustym placu, wokół którego rosły wysokie, pochylone topole. Podobny był do namiotu karuzeli, boki miał nieosłonięte, a podpierające drążki przystrojone kolo- rowymi chorągiewkami. Nie upłynął tydzień, a już wszystkie co ambitniejsze matki posyłały swoje dzieci na popołudniowe lekcje tańca. O trzeciej po południu widywało się na ulicach dziewczynki w białych sukienkach i chłopców w koszulach z małymi okrągłymi kołnierzykami - takie były wtedy modne - spieszących w stronę namiotu. Przy wejściu witała ich pani Vanni, zawsze ubrana w lawendową suknię przystrojoną obficie czarną koronką, z nieodłącznym łańcuchem na piersiach. Włosy upinała na czubku głowy na kształt czarnej wieży i przyozdabiała czerwonymi grzebykami. Kiedy się uśmiechała, pokazywała dwa rzędy mocnych, wypukłych i pożółkłych zębów. Małe dzieci uczyła ona sama, starsze - jej mąż, harfista.

Często matki brały ze sobą robótki i podczas lekcji siedziały sobie na zewnątrz w cieniu namiotu. Pod wysoką topolę przy wejściu przyjeżdżał ze swoim szklanym wózkiem sprzedawca prażonej kukurydzy i wygrzewał się w słońcu, pewien dobrego utargu po skończonych lekcjach. Duńczyk, pan Jenisen, właściciel pralni, brał krzesło z ganku i siadał na trawniku. Chłopcy w nędznych łachmanach, sprzedający na dworcu kukurydzę i mrożoną lemoniadę, teraz siedzieli w rogu pod białym parasolem i stroili miny do wyelegantowanych dzieci. Ten pusty plac wkrótce stał się najweselszym miejscem w mieście. Nawet w najbardziej upalne popołudnia topole słały szeleszczący cień, a w powietrzu pachniało prażoną kukurydzą, topionym masłem i wędnącą w słońcu mydlnicą. Jej gęste kwiaty leciały tu z ogrodu pralni i trawa pośrodku placu aż się od nich różowiła.

Vanniowie utrzymywali wyjątkowy porządek, a kończyli zajęcia co wieczór o godzinie ustalonej przez radę miejską.

Kiedy pani Vanni dawała sygnał, a harfa rozbrzmiewała melodią "Dom, mój słodki dom", całe Black Hawk wiedziało, że jest godzina dziesiąta. Można było z równym zaufaniem nastawić zegarek wedle tej melodii, jak wedle gwizdu parowozu.

Wreszcie było co robić w te długie puste letnie wieczory, kiedy to małżeństwa siadywały sztywno niczym posągi na gankach, a chłopcy i dziewczęta dreptali po drewnianych chodnikach - w kierunku północnym aż na skraj rozległej prerii, w południowym do samego dworca i z powrotem w stronę poczty, sklepu z lodami i sklepu rzeźniczego. A teraz było wreszcie miejsce, w którym dziewczęta mogły pokazywać swoje nowe sukienki, gdzie można się było głośno śmiać i nie zapadała pełna nagany cisza. Cisza zdawała się emanować z ziemi, wisieć pośród listowia czarnych morwowych drzew wraz z nietoperzami i mrokiem. Teraz zakłócały ją radosne odgłosy. Najpierw płynął srebrzystą falą głęboki pomruk harfy pana Vanni, potem włączało się kilka skrzypiec - przy czym jedno brzmiało zupełnie jak flet. Przywoływały tak figlarnie i ponętnie, że same nogi nas tam niosły. Dlaczego nigdy dotąd nie mieliśmy takiego pawilonu?

Tańce stały się teraz ogromnie popularne, tak jak ubiegłego lata popularna była jazda na wrotkach. Postępowy Klub "Euchre" załatwił z Vannimi, żeby we wtorkowe i piątkowe wieczory pawilon był przeznaczony wyłącznie dla jego członków. W pozostałe dni mógł tańczyć każdy, kto zapłacił i zachowywał się, jak należy: kolejarze, maszyniści parowozów, listonosze, sprzedawcy lodów, farmerzy mieszkający na tyle blisko, aby mogli po całodziennej pracy przyjechać do miasta.

Nigdy nie opuszczałem sobotnich wieczorów tanecznych, trwających aż do północy. Chłopcy z farm przemierzali po osiem albo dziesięć mil, przychodziły też

wszystkie dziewczęta przybyły ze wsi - Antonia i Lena, i Tiny, i dziewczęta z duńskiej pralni wraz ze swymi przyjaciółkami. Nie byłem jedynym chłopcem, któremu te tańce wydawały się weselsze od innych. Młodzi mężczyźni należący do Postępowego

Klubu "Euchre" toż zwykle wpadali późniejszą porą narażając się na nagunę i wymówki swych ukochanych za walca przetańczonego z "najemnymi dziewczętami".
IX

W Black Hawk panowała dziwna sytuacja towarzyska, Wszystkim młodym mężczyznom podobały się ładne, hoże dziewczyny wiejskie, które przyjechały do miasta, żeby zarobić na życie, a jednocześnie pomóc ojcom w spłacie długu albo umożliwić młodszemu rodzeństwu naukę w szkole.

Wyrosły w ciężkich warunkach i niewiele uczyły się w szkołach. Ale ich młodszy bracia i siostry, dla których się poświęcały i którzy zaznali już lepszego życia, wydają mi się teraz, gdy ich spotykam, wydają mi się o wiele mniej ciekawi, nie dorównują też swym siostrą zdobytą wiedzą. Nauczycielem tych dziewcząt, które pomagały orać dziką ziemię, było samo życie, bieda, a także dola ich matek i dziadków; wszystkie one, podobnie jak Antonia, dorastały wcześniej, a przyjechawszy w dzieciństwie ze sturego kraju do nowego, były bacznyimi obserwoworkami.

Pamiętam wiele z tych wiejskich dziewcząt, które były na służbie w Black Hawk w ciągu pięciu lat, jakie tam spędziłem, i każda z nich wryła mi się w pamięć czymś niezwykłym i miłym. Fizycznie były jakby zupełnie inną rasą, a praca w polu dodała im wigoru, który po początkowym onieśmieleniu przy pierwszym zetknięciu z miastem rozwinął się w pozytywne cechy, takie jak odwaga i swobodny sposób poruszania się, czym wyróżniły się spośród wszystkich kobiet w Black Hawk.

Tak było, zanim w szkole średniej wprowadzono gimnastykę. Dziewczęta, które musiały chod/ić do szkoły dalej niż pół mili, budziły współczucie. Nie było kortów tenisowych w mieście; ćwiczenia fizyczne dla dziewcząt z dobrego domu uważano za coś nieeleganckiego. Niektóre dziewczęta ze szkoły średniej były nawet wesołe i ładne, ale zimą

siedziały w domu z powodu mrozu, a latem z powodu słońca. Kiedy się z nimi tańczyło, ich ciała prawie się nie poruszały pod suknią; mięśnie zdawały się prosić tylko

0 jedno - żeby duć im spokój. Pamiętam te dziewczęta w klasie tylko z t warzy, wesołe i zaróżowione albo apatyczne

1 nudno, przecięte poniżej rumion jak cherubiny wysokimi pulpitemi ławek wymazanych atramentem, przy których tylko garbiły się plecy i zapadała klatka piersiowa.

Córki kupców z Black Hawk były niezbitnie przekonane, że są "wytworne", a wiejskie dziewczęta, które "najmowały" się do pracy, nic mogły się zaliczać do tej kategorii. Amerykańscy farmerzy byli w równie trudnej sytuacji, jak ich sąsiedzi przybyli z innych krajów. Przyjechali do Nebraska tak samo z niewielkim zasobem kapitału i niewielkim zasobem wiedzy w zakresie ujur/.miania ziemi. Pruwie wszyscy zupozyczali się na kupno gruntu. Jednakże bez względu na to, w jakich tarapatach znalazł się Pensylwańczyk czy Wirgińczyk, za nic by się nie zgodził, aby jego córka poszła na służbę. Jeżeli takie dziewczęta nie mogły dostać posady nauczycielki w miejscowej szkole, siedziały w domu i cierpiały ubóstwo.

Czeskie i skandynawskie dziewczęta nie mogły zostać nauczycielkami, nic miały bowiem możliwości nauczania się języka. Zdecydowane pomóc w spłaceniu długów, nic miały innego wyboru jak iść na służbę. Niektóre spośród nich nawet po dłuższym pobycie w mieście pozostawały tak samo poważne i skromne jak wtedy, gdy orały ziemię albo pasły bydło. Inne, jak te trzy czcisk Marie, usiłowały nadrobić stracone luto młodości. Ale wszystkie robiły to, co sobie wytyczyły, i posyłyły do domu ciężko /urobione pieniądze. Te dziewczęta, które znałem, zawsze pomagały finansowo w kupnie pługów, żniwiurck, przy odchowie świń i wołów.

Jednym z rezultatów tej rodzinnej solidarności w naszych stronach był fakt, że ci farmerzy, którzy przybyli z dalekich krajów, najszybciej się wzbogacali. Kiedy ojcowie pospłacali długi, córki wychodziły za mąż za sąsiadów - zwykle tej samej narodowości - a dziewczęta, które pracowały jako

kucharki w Black Hawk, prowadzą dzisiaj ogromne farmy i mają własne, bardzo przyjemne rodziny; ich dzieciom powodzi się lepiej niż dzieciom owych kobiet w mieście, u których były na służbie.

Stosunek mieszkańców miasta do tych dziewcząt wydawał mi się bardzo głupi. Jeżeli mówiłem moim kolegom w szkole, że dziadek Leny Lingard był duchownym, i to wielce szanowanym w Norwegii, patrzyli na mnie pustym wzrokiem. Bo i jakie to miało znaczenie? Wszyscy cudzoziemcy, którzy nie znali angielskiego, zaliczali się do absolutnych ignorantów. W całym Black Hawk nie było mężczyzny, który byłby równie inteligentny i kulturalny, nie mówiąc już o godności osobistej, jak ojciec Antonii. A jednak ludzie nie dostrzegali różnicy między Antonią i trzema Mariami, wszystkie były Czeszkami i wszystkie "najmowały się do pracy".

Zawsze wierzyłem, że dożyję chwili, gdy zobaczę moje wiejskie dziewczęta na swoim, i tak się też stało. Dzisiaj niespokojny kupiec z Black Hawk robi najpewniejszy interes sprzedając żywność, maszyny rolnicze i pojazdy bogatym farmom, których właścicielkami są właśnie owe dzielne czeskie i skandynawskie dziewczyny.

Chłopcy z Black Hawk dążyli do poślubienia dziewcząt z Black Hawk i zamieszkania w nowiułkim małym domku z najlepszymi krzesłami, na których nie należało siadać, i ręcznie malowaną porcelaną, na której nie należało jadać. Jednakże nie raz zdarzało się, że ten i ów unosił głowę znad rejestru albo też przez okratowane okna banku swego ojca wodził wzrokiem za przechodzącą właśnie wolnym, kołyszącym krokiem Leną Lingard albo Tiny Soderball, drepczącą w krótkiej spódniczce i prążkowanych pończochach.

Powszechnie uważano, że dziewczęta ze wsi stanowią zagrożenie porządku społecznego. Ich uroda zbyt śmiało kontrastowała z konwencjonalną rzeczywistością. Ale zaniepokojone matki niepotrzebnie się martwiły. Źle oceniały swych synów. Respekt dla powszechnego szacunku był u tych młodych ludzi o wiele silniejszy niż jakiegokolwiek pragnienia.

Młodzieniec "z pozycją" był niby syn z królewskiego domu; chłopak, który zamiatał biuro albo rozwoził towary, mógł sobie pożartować z wesołymi dziewczętami ze wsi, zaś młodzieniec "z pozycją" musiał przesiadywać całymi wieczorami w salonie wybitym pluszem, wiodąc nudną i ciągnącą się w żółwym tempie rozmowę, aż bywało, że przychodził w sukurs ojciec i z pomocą nieudolnych wysiłków wprowadzał choć trochę ożywienia. Wracając do domu z nudnej wizyty spotykał zapewne po drodze Antonię i Lenę, które właśnie szły szepcząc coś do siebie, albo trzy czeskie Marie w długich pluszowych płaszczach i czapkach, które nosiły się z taką godnością, że opowieści o ich bujnym życiu nabierały tylko pikanterii. Jeśli wybrał się do hotelu w interesach do komiwojażera, spotykał tam Tiny przeciągającą się figlarnie jak kotka. Idąc do pralni po kołnierzyki napotykał cztery Dunki o białych szyjach i rumianych policzkach uśmiechające się do niego znad desek do prasowania.

Trzy Marie były bohaterkami całego cyklu skandalicznych opowieści, które starsi mężczyźni z zadowoleniem snuli paląc cygara w drugstörze. Maria Dusak była gospodynią u samotnego farmera z Bostonu i po kilku latach służby u niego musiała na pewien czas ukryć się przed światem. Potem wróciła do miasta, aby zająć miejsce Marii Svobody, która popadła w takie same kłopoty. Powszechnie uważano, że trzy Marie są równie niebezpieczne jak silne środki wybuchowe, tak wspaniale jednak gotowały i tak wspaniale potrafiły prowadzić dom, że nie potrzebowały długo szukać pracy.

Namiot państwa Vanni był neutralnym gruntem, na którym spotykali się chłopcy z miasta i wiejskie dziewczęta. Sylwester Lovett, który był kasjerem w banku swego ojca, zawsze znalazł drogę do namiotu w sobotni wieczór. Tańczył z Leną Lingard

wszystkie tańce, jakie mu ofiarowała, i nawet miał odwagę odprowadzać ją do domu. Jeżeli tak się złożyło, że w te "popularne wieczory" wśród widzów były jego siostry albo ktoś z ich przyjaciół, Sylwester stał w cieniu topoli z papierosem w ręku i obserwował Lenę

z niepokojem na twarzy. Kilka razy w takiej sytuacji natknąłem się na niego po ciemku i było mi go wtedy żal. Przypominał mi Ole Bensona, który siadywał w bruździe i przyglądał się, jak Lena pasie krowy. Pod koniec lata, gdy Lena wybrała się na tydzień do domu, żeby odwiedzić matkę, młody Lovett - tak opowiadała mi Antonia - pojechał ją odwiedzić i nawet woził ją powozem. W swojej naiwności miałem nadzieję, że Sylwester ożeni się z Leną i w ten sposób stworzy lepszą pozycję wszystkim wiejskim dziewczętom w mieście.

Sylwester tak sobie zaprzętnął głowę Leną, że zaczął popełniać błędy w pracy; potem musiał siedzieć do późnego wieczora w banku, żeby doprowadzić do porządku księgi. Szalał za nią, wszyscy to widzieli. Żeby uniknąć kłopotliwej sytuacji, wyjechał z wdową o sześć lat od niego starszą, właścicielką kilku domów. To lekarstwo, oczywiście, podziałało. Już nigdy więcej nie spojrzął na Lenę, nie podnosił na nią oczu nawet wtedy, gdy spotkawszy ją na ulicy ceremonialnie uchylał kapelusza.

Tacy już byli ci urzędnicy i księgowi o białych rękach, ubrani w koszule z wysokim kołnierzykiem. Spoglądałem na tego młodego Lovetta z daleka i żałowałem, że nie mam możliwości okazania mu mojej pogardy.

X

Właśnie w namiocie państwa Vanni Antonia została dostrzeżona. Dotychczas wszyscy ją traktowali bardziej jako opiekunkę Harlingów niż jedną z "najemnych dziewcząt". Żyła w ich domu, podwórku, ogrodzie; jej myśli nigdy nie wybiegały poza to maleńkie królestwo. Jednakże gdy rozbito w mieście namiot, Antonia zaczęła pokazywać się z Tiny, Leną i ich przyjaciółkami. Vanniowie często mówili, że Antonia tańczy najlepiej ze wszystkich. Czasami słyszałem, jak szeptało w tłumie przed pawilonem, że pani Harling będzie miała niemało kłopotu z tą dziewczyną. Młodzi mężczyźni zaczęli sobie dowcipkować na temat "Antonii od Harlingów" tak samo, jak żartowali z "Tiny od Gardenerów".

Antonia o niczym innym nie mówiła i nie myślała tylko o namiocie. Całymi dniami nuciła melodie taneczne. Jeżeli kolacja była późno, w pośpiechu roznosiła talerze, co chwila coś upuszczając i tłukąc. Z chwilą gdy rozbrzmiały pierwsze tony muzyki, Antonia traciła poczucie odpowiedzialności. Jeżeli nie miała czasu się przebrać, zrzucała fartuch i wybiegała z kuchni. Czasami szedłem z nią razem; z chwilą gdy przed naszymi oczami pojawiał się oświetlony namiot, puszczała się naprzód pędem jak chłopak. Tam już często oczekiwali na nią jej partnerzy; nim jeszcze zdołała odetchnąć, już zaczynała wirować w tańcu.

Sukces Antonii w namiocie miał swoje konsekwencje. Rozwoziciel lodu zbyt długo teraz kręcił się po krytym ganku napełniając lodówkę. Chłopcy, dostarczający artykuły spożywcze, marudzili w kuchni. Młodzi farmerzy przyjeżdżający do miasta na sobotę przemierzali ciężkim krokiem podwórko, aby przez drzwi kuchenne zamówić tańce u Antonii albo zaprosić ją na jakieś przyjęcie czy piknik. Lena i Anna, Norweżka, wpadały, aby jej pomóc w pracy, żeby mogły wyruszyć razem jak najwcześniej. Chłopcy, którzy odprowadzali ją do domu po skończonych tańcach, śmiali się głośno przy tylnej furtce budząc pana Harlinga z pierwszego snu. Kryzys był nieunikniony.

Którejś soboty wieczorem pan Harling zszedł do piwnicy po piwo. Wchodził właśnie po ciemnych schodach, gdy usłyszał jakieś szamotanie na ganku, a następnie odgłos energicznego uderzenia. Wyjrzał przez boczne drzwi i zobaczył długie nogi nad płotem z żerde. Antonia stała zdenerwowana i wzburzona. Młody Harry Paine, który w poniedziałek miał poślubić córkę swego pracodawcy, przyszedł do namiotu z gromadką przyjaciół i tańczył przez cały sobotni wieczór. Potem prosił Antonię, aby mu pozwoliła odprowadzić się do domu. Antonii wydawało się, że skoro należy do grona przyjaciół panny Frances, to musi być porządnym człowiekiem i nie miała nic

przeciw temu. Na ganku próbował ją pocałować, a kiedy zaprotes

towała - bo w poniedziałek miał się odbyć jego ślub
- złapał ją i dopóty całował, dopóki nie wyswobodziła ręki i nie wymierzyła mu policzka.

Pan Harling postawił butelki z piwem na stole. - Tego się właśnie obawiałem, Antonio. Zadajesz się z dziewczętami, które nie cieszą się dobrą reputacją, a teraz i ty taką samą sobie zdobyłaś. Nie mam ochoty, aby jacyś faceci włóczyli się ciągle po moim podwórku. Koniec z tym wszystkim, i to już od dzisiaj. Wystarczy. Albo rzucisz tańce, albo poszukasz sobie innego miejsca. Przemyśl to wszystko.

Nazajutrz rano pani Harling i Frances chciały przetłumaczyć Antonii, ale był nieugięta, choć podenerwowana.

- Mam nie chodzić do namiotu? - rzuciła pytanie jednym tchem. - Nawet mój własny ojciec by mnie od tego nie powstrzymał. Pan Harling nie jest moim panem poza pracą. Nie rzucę moich przyjaciół. Chłopcy, z którymi chodzę, są porządni. Sądziłam, że pan Paine też jest na miejscu, skoro do nas przychodzi. Będzie chyba miał czerwony policzek do ślubu, bardzo dobrze! - powiedziała z błyskiem oburzenia.

- Musisz dokonać wyboru, Antonio - oznajmiła pani Harling zdecydowanym głosem. - Nie mogę cofnąć tego, co pan Harling postanowił. To jego dom.

- Wobec tego odejdę. Lena już od dawna nakłania mnie, abym się gdzieś bliżej niej przeniosła. Mary Svoboda odchodzi od Cutterów, będzie pracować w hotelu, mogę pójść na jej miejsce.

Pani Harling zerwała się z krzesła. - Antonio, jeżeli pójdziesz do Cutterów, już nigdy nie będziesz mogła do nas powrócić. Wiesz, co to za człowiek ten Cutter. On cię zniszczy.

Antonia chwyciła czajnik i zaczęła napełniać szklanki śmiejąc się nerwowo. - Och, poradzę sobie. Jestem silniejsza niż Cutter. Płacą cztery dolary i nie ma dzieci. To żadna praca, mogę mieć dla siebie każdy wieczór, a także po południu niemało wolnego czasu.

- Sądziłam, że lubisz dzieci, Antonio. Co się z tobą dzieje?

- Sama nie wiem, ale coś się dzieje. - Antonia podrzuciła głowę i zacisnęła usta. - Taka dziewczyna jak ja musi korzystać z każdej chwili, jaka jej się w życiu nadarza. W przyszłym roku już może nie być namiotu. Chyba po prostu chcę się wyszumieć, jak każda dziewczyna.

Pani Harling parsknęła krótkim, ostrym śmiechem. - Jeżeli pójdziesz do Cutterów, to tak się wyszumisz, że ci już wystarczy na całe życie.

Frances opisując tę scenę babci i mnie powiedziała, że kiedy matka jej opuszczała kuchnię, aż zatrzęsły się na półkach patelnie, talerze i filiżanki. Oświadczyła też z goryczą, że byłoby lepiej, gdyby się nigdy nie przywiązała do Antonii.

XI

Wiek Cutter był właśnie owym lichwiarzem, który tak wykorzystał biednego Piotra Rosjanina. Farmer, który raz popadł w zwyczaj odwiedzania Cuttera, to tak jakby zaczął uprawiać jakiś hazard albo grać w loterię; w momencie niepowodzenia zawsze tam wracał.

Cutter miał na imię Wycliffe i lubił chwalić się pobożnym wychowaniem. Regularnie wspierał protestanckie kościoły "z czystego sentymentu", jak mówił gestykulując ręką. Pochodził z jakiegoś miasta w lowie, gdzie mieszkało dużo Szwedów, i potrafił nawet trochę mówić po szwedzku, co mu dawało ogromną przewagę nad wczesnymi skandynawskimi osiedleńcami.

W każdym pogranicznym osiedlu są ludzie, którzy przybyli tam, chcąc uniknąć więzienia. Cutter był jednym z "mocno osadzonych" biznesmenów w Black Hawk. Nałogowo grał w karty, chociaż ciągle przegrywał. Kiedy paliło się światło w jego

biurze późnym wieczorem, wszyscy wiedzieli, że odbywa się tam gra w pokera. Cutter chwalił się, że nigdy nie pije nic mocniejszego jak sherry, i powiadał, że wystartował w życiu oszczędzając pieniądze, które inni wydawali na cygara. Zawsze wygłaszał wobec chłopców różne maksymy moralne. Przychodząc do naszego domu w interesach, cytował mi "Poor Richard's Almanack"

WILLA CATHER

i mówił, że w zachwyty wprawia go chłopak z miasta, który potrafi wydoić krowę. Specjalną uprzejmością obdarzał babcię, a ilekroć się spotykali, natychmaist zaczynał mówić

0 "dawnych dobrych czasach" i sielskim życiu. Nie cierpiałem jego różowej łysiny i jasnych bokobrodów, które zawsze były miękkie i lśniące. Powiadano, że czesze je co wieczór jak kobieta włosy. Jego białe zęby wyglądały, jakby je zrobiono w fabryce. Skórę miał czerwoną i chropawą, jakby ciągle przebywał na słońcu; często wyjeżdżał do ciepłych źródeł, gdzie brał błotne kąpiele. Wśród kobiet zyskał sobie miano notorycznego rozpustnika. Najbardziej doświadczyły jego rozpusty dwie szwedzkie dziewczyny. Jedną z nich wywiózł do Omaha, gdzie umieścił ją w interesie, do którego ją przyuczył. Wciąż jeszcze tam ją odwiedzał.

Był w nieustannym stanie wojny z żoną, a jednak oboje ani myśleli o rozłące. Mieszkali w domu przeładowanym ozdobami, pomalowanym na biało i osłoniętym gęstą, wiecznie zieloną roślinnością; tak samo ozdobne było białe ogrodzenie i stajnia. Cutter uważał się za znawcę koni

1 zazwyczaj miał młodego, którego przysposabiał do toru wyścigowego. W niedzielne ranki można go było spotkać, jak kłusował swoim powozem w żółtych rękawiczkach, w czapce w czarno-białą szachownicę, z bokobrodami rozwianymi na wietrze po wielkim placu, na którym odbywały się jarmarki. Jeśli tylko gdzieś w pobliżu byli jacyś chłopcy, Cutter obiecywał ćwierćdolarówkę za potrzymanie stopera, a potem odjeżdżał mówiąc, że nie ma drobnych i "załatwi to następnym razem". Nikt nie mógł go zadowolić przy ścinaniu trawnika i myciu jego powozu. Wykazywał tyle przebiegłości i pedanterii w stosunku do swego domostwa, że niemało musiałby się natrudzić chłopak, który chciałby mu wrzucić na podwórko zdechłego kota albo rozsypać worek z blaszanymi puszkami po jego alei. Cutter łączył w sobie cechy starego kawalera i rozpustnika i to właśnie stanowiło o jego nikczemności.

Poślubiając panią Cutter dobrał sobie niewątpliwie odpowiednią partnerkę.

Wyglądała przerażająco: była to niemalże olbrzymka, koścista, o stalowoszarych włosach,

twarzą zawsze czerwonej i histerycznych oczach widocznych z daleka. Kiedy chciała okazać się wesoła i przyjemna, nieustannie kiwała głową i jednocześnie co chwila opuszczała powieki. Zęby miała długie i zakrzywione jak koń; powiadano, że dzieci wybuchały płaczem, gdy próbowała się do nich uśmiechnąć. Jej twarz fascynowała mnie; miała kolor i kształt złości. W jej wylupiastych, surowych oczach zaznaczało się coś, co było bliskie szaleństwa. W całym swoim zachowaniu była ogromnie sztywna, a wizyty składała w szeleszczących, stalowoszarych brokatakach i wysokim czepku ze sterczącą egretą.

Pani Cutter malowała porcelanę tak pieczołowicie, że nawet miski do mycia i dzbanki do wody, a także męzowska miseczka do golenia pokryte były fiołkami i liliami. Pewnego razu Cutter, pokazując jakiemuś gościowi porcelanę żony, upuścił jedną sztukę na ziemię. Pani Cutter przycisnęła chusteczkę do ust, jakby za chwilę miała zemdleć, i rzekła dostojnie: - Panie Cutter, złamałeś wszystkie Boskie przykazania, więc oszczędź chociaż te miseczki!

Kłótnia rozpoczynała się z chwilą, gdy Cutter przekraczał próg domu, i trwała do późnej nocy, a dziewczęta będące u nich na służbie rozповідаły wszystko po całym mieście. Pani Cutter kilkakrotnie wycinała z gazet urywki o niewiernych mężach i wysyłała do Cuttera pocztą adresując podrobionym pismem. Cutter wracał do domu w południe, odnajdywał pogniecioną gazetę w stojaku na czasopisma i z tryumfem dopasowywał wycinek do miejsca, z którego został wycięty. Potrafili się kłócić cały

ranek o to, czy powinien włożyć ciepłą, czy lekką bieliznę, a wieczorem, czy się zaziębił, czy też nie zaziębił.

Cutterowie mieli poważne i błahe powody do sporów. Najistotniejsza jednak była kwestia dziedziczenia. Pani Cutter twierdziła, że to z jego winy nie mają dzieci. On zaś mówił, że to ona celowo pozostaje bezdzietna, bo chce go przeżyć i podzielić się majątkiem ze swoją rodziną, której on nie cierpi. Ona z kolei dodawała, że z pewnością go przeżyje, jeżeli nie zmieni swego trybu życia. Po wysłuchaniu insynuacji na temat jego fizycznego stanu zdrowia, Cutter

przez miesiąc ćwiczył z hantlami albo też wstawał codziennie w porze, kiedy żonie jego najlepiej się spało, ubierał się głośno i wyjeżdżał na pole wyścigowe swoim kłusakiem.

Pewnego razu, po kłótni na temat wydatków domowych, pani Cutter włożyła brokaty i wyruszyła do przyjaciół z prośbą, aby składali u niej zamówienia na ręcznie malowaną porcelanę, gdyż pan Cutter zmuszają, aby "żyła z tego, co sama zarobi". Cutter wcale nie był z tego powodu zażenowany, jak się tego spodziewała, był zachwycony.

Cutter często się odgrażał, że zetnie cedry, które zasłaniały pół domu. Jego żona oświadczyła, że natychmiast go opuści, jeśli pozbawi ją "zacisza", jakiego dostarczają jej te drzewa. Nadarzała się więc dobra sposobność, ale nigdy nie ściał tych drzew. Wyglądało na to, że Cutterowie uważali swój wzajemny do siebie stosunek za interesujący i ożywczy, a my wszyscy też się ku temu skłanialiśmy. Takiego łotra jak Cutter już potem nigdy w życiu nie spotkałem, ale właśnie takich pań Cutter spotkałem na świecie niemało; czasami tworzyły nowe religie, czasami były nawet mocno podtuczone - zawsze łatwo rozpoznawalne, choćby nawet pozornie obłaskawione.

XII

Antonia przeniosła się do Cutterów i wydawało się, że na niczym jej w życiu nie zależy, tylko na piknikach, przyjęciach i rozrywkach. Jeżeli nie poszła na zabawę, to szła coś do północy. Jej nowe stroje stały się przedmiotem złośliwych uwag. Pod kierunkiem Leny uszyła sobie wieczorową suknię identyczną jak pani Gardener, a kostium wyjściowy z taniego materiału tak wspaniale imitował strój pani Smith, że obie te panie były wielce oburzone, pani Cutter natomiast, która była o nie zazdrosna, cieszyła się w skrytości ducha.

Antonia nosiła teraz rękawiczki, pantofle na wysokich obcasach, czepki przystrojone piórami i niemal codziennie wybierała się po południu do miasta z Tiny, Leną i Anną, Norweżką od Marshallów. My, gimnazjaliści, przeciągaliśmy zwykle swój popołudniowy pobyt na boisku szkolnym, żeby móc popatrzeć, jak te dziewczęta drobnym kroczkiem podążają drewnianym chodnikiem w dwóch parach. Z dnia na dzień stawały się coraz piękniejsze, ale kiedy nas mijały, myślałem z dumą, że Antonia niczym Królowna Śnieżka jest spośród nich najładniejsza.

Byłem już w starszej klasie, wychodziłem więc ze szkoły wcześniej. Czasami doganiałem je w mieście i zwabiałem do sklepu cukierniczego na lody, gdzie gwarząc i śmiejąc się opowiadały mi najnowsze wieści ze wsi.

Pamiętam, że któregoś dnia ogromnie mnie zdenerwowała Tiny Soderball. Oświadczyła, że dowiedziała się od mojej babci, że mam zostać księdzem-baptystą. - Chyba będziesz musiał przestać chodzić na zabawy i zacząć nosić biały krawat. Zabawnie będzie wyglądał, prawda?

Lena się roześmiała. - Pospiesz się, Jim. Skoro masz zostać księdzem, chciałabym, żebyś mi udzielił ślubu. Obiecuj, że udzielisz nam wszystkim, a potem ochrzczisz nasze dzieci. Anna, zawsze poważna, spojrzała na nią z wyrzutem.

- Baptyści nie uznają chrztu, prawda, Jim? Odparłem, że nie wiem, co uznają, a czego nie uznają, i wcale mnie to nie interesuje, a poza tym nie mam najmniejszego zamiaru być księdzem.

- To bardzo niedobrze - sztychła Tiny. Była w żartobliwym nastroju. - Byłbyś wspaniałym księdzem. Tak się pilnie uczysz. A może chcesz być profesorem? Niedyś uczyłeś Antonię, o ile wiem.

-Załóżę się, że Jim będzie lekarzem - wtrąciła się Antonia. - Będziesz dobry dla chorych, Jim. Babcia wspaniale cię wychowała. Mój papa zawsze mówił, że jesteś bardzo mądrym chłopcem.

Powiedziałem na to, że sam zdecyduję, czym zostanę. - Panno Tiny, czy bardzo się pani zdziwi, jeżeli będę po prostu nicponiem?

Śmiały się do rozpuku, dopiero pod wpływem spojrzenia Anny usatkwowały się; właśnie wszedł dyrektor mojego

WILLA CATHER

gimnazjum do frontowej części sklepu, żeby kupić chleba na kolację. Anna wiedziała, że krążą o mnie plotki, że jestem niezły urwis. Powiadano także, że coś dziwnego musi być z chłopcem, jeżeli nie interesują go dziewczęta w jego wieku, a ożywia się w towarzystwie Antonii, Leny albo trzech Marii.

Entuzjazm do tańców, jaki rozbudzili Vanniowie, nie wygasł szybko. Po ich wyjeździe Klub "Euchre" zmienił nazwę na "Sowi Klub" i tam raz w tygodniu w Sali Masońskiej urządzano zabawy. Mnie też zapraszano, ale odmawiałem. Tej zimy nie miałem dobrego nastroju, byłem jakiś niespokojny i zmęczony ludźmi, których widywałem codziennie. Charley Harling wyjechał już do Annapolis, a ja nadal tkwiłem w Black Hawk, odpowiadając co rano przy wyczytywaniu mego nazwiska z listy obecności, podnosząc się z ławki na dźwięk szkolnego dzwonka i maszerując jak dzieci w szkole podstawowej. Pani Harling była w stosunku do mnie trochę oziębła, bo w dalszym ciągu utrzymywałem kontakt z Antonią. Ale co miałem robić po kolacji? Nim wyszedłem ze szkoły, odrobiłem już zwykle lekcje na następny dzień, a trudno siedzieć spokojnie i tylko ciągle czytać.

Wieczorami włóczyłem się polując na jakąś rozrywkę. Wokół ciągnęły się znajome ulice, obsypane śniegiem albo też pokryte grząskim błotem. Prowadziły do domów dobrych ludzi, którzy układali dzieci do snu albo po prostu siedzieli przy kominku w salonie spożywając kolację. Black Hawk miało dwa bary. Jeden cieszył się opinią porządnego baru, nawet wśród ludzi związanych z kościołem. Właścicielem był przystojny Anton Jelinek, który wydzierżawił swoje gospodarstwo i przybył do miasta. W jego barze znajdowały się długie stoły, przy których czescy i niemieccy farmerzy zjadali lunch przyniesiony z domu i popijali piwem. Jelinek miał zawsze pod ręką żytni chleb, wędzoną rybę i rozmaite importowane sery, aby dogodzić cudzoziemskim podniebieniom. Bardzo lubiłem wpaść czasem do jego baru i przysłuchiwać się rozmowom. Pewnego dnia jednak wyszedł ze mną na ulicę i klepnął mnie po ramieniu.

- Jim - powiedział - jestem twoim przyjacielem i zawsze chętnie cię widzę. Ale ty wiesz, co religijni ludzie myślą o barach. Twój dziadek zawsze się do mnie dobrze odnosi, więc ja nie chcę, żebyś tutaj przychodził, bo wiem, że jemu się to nie podoba, czuję się wobec niego nie w porządku.

Tak więc zostałem pozbawiony i tej przyjemności.

Można było pójść do drugstore'u i słuchać, jak starzy ludzie, siedząc tam co wieczór, rozmawiają o polityce

1 opowiadają sprośne historyjki. Można też było pójść do wytwórni papierosów i pogwarzyć sobie ze starym Niemcem, który hodował na sprzedaż kanarki, i popatrzeć na wypchane ptaki. Jednakże ilekroć chciało się z nim rozmawiać na jakiś temat, i tak zawsze powracał do swoich wypchanych ptaków. Pozostawał jeszcze dworzec kolejowy; często się tam wybierałem, żeby popatrzeć na przyjeżdżające wieczorem pociągi, a potem siedziałem z niepokieszonym telegrafistą, który ciągle czekał, że go przeniosą do Omaha albo Denver, "gdzie jest trochę życia". Chciał wywieźć też swoje obrazki z aktorkami i tancerkami. Zbierał je z paczek papierosów, więc palił bez wytchnienia, byle tylko nazbierać jak najwięcej tych upragnionych kształtów. Dla odmiany można też było porozmawiać z naczelnikiem stacji, ale był to następny malkontent, cały wolny czas spędzał na pisaniu listów do swoich zwierzchników prosząc o przeniesienie. Chciał wrócić do Wyoming, żeby móc w niedzielę łowić pstrągi. Ciągłe powtarzał, że od czasu jak stracił bliźnięta, nic dla niego nie istnieje poza górskimi potokami.

Oto rozrywki, które miałem do wyboru. Wieczorem po godzinie dziewiątej nie paliły się już w mieście żadne lampy. W gwieździste wieczory przechadzałem się po długich, zimnych ulicach patrząc znudzonym wzrokiem na małe, senne domki stojące po obu stronach chodnika, z podwójnymi oknami i osłoniętymi gankami z tyłu domu. Były obskurne, sklecone z byle jakiego drzewa, z cienkimi palikami przy gankach, ociosanymi niezdarnie. A jednak mimo owej kruchości, ile zła, nieszczęścia i zawiści się tam kryło! Życie, które się wewnątrz nich toczyło, było pełne uników i negacji; wybiegów, aby zaoszczędzić na jedzeniu, praniu

i sprzątaniu, pomysłów dla zjednania sobie ostrego języka plotkarzy. Ta pełna ostrożności egzystencja przypominała życie w tyranii. Rozmowa, głos, spojrzenia były potajemne i powściągliwe. Wszelkie upodobania i naturalne żądze hamowano ostrożnością. Ludzie śpiący w tych domach, myślałem, usiłują żyć jak myszy w swych norach; żeby nie robić hałasu, nie pozostawiać po sobie śladu, prześlizgiwać się cichaczem w ciemności. Rosnące stosy popiołu i spalonych węgla na tyłach domów były jedynym świadectwem toczącego się w nich bezużytecznego, zmarnowanego życia. W soboty "Sowi Klub" tańczył; wtedy było trochę życia na ulicach, tu i ówdzie widziało się światło w oknach aż do północy. Ale już następnego wieczoru z nowu wszystko okrywała ciemność.

Odmówiłem przyłączenia się do "Sów", jak ich nazywano, ale podjąłem śmiało postanowienie, aby chodzić na sobotnie zabawy do Remizy Strażackiej. Zdawałem sobie sprawę, że nie ma sensu mówić o tym dziadkom. Dziadek absolutnie nie tolerował tańców; powiadał jedynie, że jeżeli już koniecznie chcę tańczyć, to mogę chodzić do Sali Masońskiej, pomiędzy "znanych nam ludzi". A ja właśnie miałem dość znanych mi ludzi.

Moja sypialnia znajdowała się na parterze, a ponieważ tu się też uczyłem, była ogrzewana piecem. W sobotnie wieczory wcześniej udawałem się do mego pokoju, zmieniałem koszulę i kołnierzyk i wkładałem świąteczną marynarkę. Czekałem, aż zapanuje całkowita cisza i moi staruszkowie pójdą spać, i wtedy podnosiłem okno, wyskakiwałem i cichutko przemykałem się przez podwórko. Kiedy po raz pierwszy oszukałem moich dziadków, czułem się paskudnie, za drugim razem też nie bardzo, a potem przestałem w ogóle o tym myśleć.

Przez cały tydzień żyłem myślą o zabawie w Remizie Strażackiej, gdzie spotykałem tych samych ludzi co w namiocie Vanniów. Zjawiały się tam nieraz Czeszki od Wilbera albo niemieccy chłopcy, którzy przyjeżdżali po południu z Bismarcku towarowym pociągami. Antonia, Lena i Tiny bywały tam zawsze, a także czeskie Marie i duńskie dziewczęta.

Cztery Dunki mieszkały razem z właścicielem pralni i jego żoną na tyłach sklepu. Był tam także ogród, w którym suszyło się pranie. Właściciel pralni był zacnym, mądrym człowiekiem, dobrze wynagradzał swoje dziewczęta, roztaczał nad nimi opiekę, zapewniał im miły dom. Kiedyś zwierzył mi się, że zmarła mu córka, była już w takim wieku, że zaczynała pomagać matce, no i że od tej pory "chce to jakoś wynagrodzić". Latem po południu potrafił godzinami siedzieć przed pralnią, z gazetą na kolanach, i przyglądał się swoim dziewczętom przez ogromne okno, jak prasowały i rozmawiały po duńsku. Ani tumany białego kurzu unoszące się na ulicy, ani podmuchy gorącego wiatru, od którego wędły warzywa w ogrodzie, nie były w stanie zakłócić mu spokoju. Uśmiech na jego twarzy zdawał się mówić, że znalazł sekretne źródło zadowolenia. Rano i wieczorem jeździł swoim wozem na resorach i rozwoził świeżo uprasowane ubrania, a jednocześnie zbierał worki z bielizną, która upominała się o mydło i sznury do suszenia na słońcu. Jego dziewczęta nigdy nie wyglądały tak ładnie w tańcu jak przy desce do prasowania albo nad balią, kiedy odsłaniały nagie białe ramiona i szyje, a policzki ich lśniły jak świeża dzika róża, zaś złociste włosy wilgotne od pary i gorąca zwijały się w małe loczki nad uszami. Nie nauczyły się dobrze mówić po angielsku i nie były tak ambitne jak Antonia czy Lena; były to jednak dobre, proste dziewczyny i zawsze szczęśliwe. Kiedy się z nimi tańczyło, można było upajać się zapachem czystego, świeżo uprasowanego ubrania i liści rozmarynu z ogrodu pana Jensena.

Na tych zabawach nigdy nie było za mało dziewcząt, ale każdy chciał choć raz zatańczyć z Antonią albo Leną.

Lena poruszała się bez wysiłku, nawet można powiedzieć, że bezwolnie, tylko jej ręka delikatnie zaznaczała rytm na ramieniu partnera. Jeśli ktoś do niej coś powiedział, uśmiechała się, ale bardzo rzadko odpowiadała. Muzyka wprowadzała ją w trans, a jej fiołkowe oczy patrzyły na każdego sennie i z ufnością spod długich rzęs. Kiedy wzdychała, unosił się wokół niej mocny zapach pudru

WILLA CATHER

z saszetki. Tańcząc z Leną "Dom, mój słodki dom" miało się wrażenie, jakby się płynęło wraz z przytływem. Każdy jej taniec przypominał walca, i to zawsze tego samego - walca, mówiącego o przybywaniu do domu, o nieuniknionym, naznaczonym piętnem losu powrocie. Po pewnym czasie każdego ogarniał niepokój, tak jak ogarnia człowieka pod wpływem upału w cichy, duszny dzień lata.

Kiedy się ruszało w wir tańca z Antonią, nie powracało się nigdzie. Zawsze wtedy czekała jakaś nowa przygoda. Lubiłem z nią tańczyć skoczny taniec szkocki; miała tyle werwy i pomysłów, ciągle wprowadzała jakiś nowy krok albo nową figurę. Uczyła mnie tańczyć wbrew i w takt surowych tonów muzyki. Gdyby pan Szimerda nie pojechał do samego końca linii kolejowej, a zatrzymał się w Nowym Jorku i zarabiał na życie skrzypcami, jakże inaczej mogłoby się potoczyć życie Antonii!

Najczęściej chodziła na zabawy z Larrym Donovanem, konduktorem pociągów pasażerskich, który był zawodowym pożeraczem serc niewieścich, jak się o nim mówiło. Pamiętam, z jakim zachwytem patrzyli na nią wszyscy chłopcy tego wieczoru, kiedy to po raz pierwszy włożyła suknię z aksamitu zrobioną na wzór czarnej aksamitnej sukni pani Gardener. Cudownie wyglądała z błyszczącymi oczami i ustami zawsze lekko rozchylonymi podczas tańca. Mocny rumieniec na jej policzkach nie zniknął ani na chwilę.

Pewnego wieczoru, kiedy Donovan był na służbie, Antonia przyszła na zabawę z Anną i jej chłopcem, a potem ja wracałem z nią do domu. Na podwórku Cutterów, wśród zieleni, poprosiłem, żeby mnie pocałowała na dobranoc.

- Oczywiście, Jim. - Za chwilę jednak odsunęła twarz

1 szepnęła z oburzeniem: - Słuchaj, Jim! Nie wolno ci całować mnie w taki sposób! Poskarżę twojej babci!

- Lena Lingard pozwala mi się całować - odparłem natychmiast - a nawet w połowie nie jest mi tak bliska jak ty.

- Lena ci pozwala? - aż ją zatkało. - Jeżeli wyprawia z tobą swoje sztuczki, to jej wydrapię oczy. - Wzięła mnie

pod rękę i wyszła ze mną na ulicę. - Żebyś się nie zrobił takim głupcem jak niektórzy chłopcy w tym mieście. Nie wolno ci tutaj siedzieć i robić pudła dla sklepów, no i opowiadać różne historyjki przez całe życie. Masz pojechać- do szkół i starać się być kimś. Jestem z ciebie ogromnie dumna. Nie wsiąkniesz między tych Szwedów, obiecujesz?

- Nikt mnie nie obchodzi oprócz ciebie, Antonio - rzekłem. - Ale ty, zdaje się, zawsze już będziesz mnie traktowała jak małego chłopca.

Roześmiała się i zarzuciła mi ramiona na szyję. - Pewnie już tak będzie, ale ogromnie lubię tego małego chłopca! Możesz mnie lubić, ile tylko chcesz, ale jeżeli zobaczę, że się włóczęsz z Leną, powiem twojej babci. Jest to tak pewne, jak to, że się nazywasz Jim Burden. Lena jest dobra, tylko... tylko... no sam wiesz, pod tym względem jest słaba. To od niej niezależne. Taka już jest.

Jeżeli Antonia była ze mnie dumna, to ja byłem z niej tak dumny, że uniosłem głowę do góry, gdy się wyłoniłem spośród mrocznych cedrów i zamknąłem za sobą cicho furtkę Cutterów. Wspominałem jej uroczą, ciepłą twarz, jej dobre ręce i szczere serce; była, o tak! była wciąż moją Antonią! Patrzyłem z pogardą na pogrążone w mroku ciche domki i myślałem o głupocie młodych mężczyzn, którzy w nich śpią. Ja wiedziałem, gdzie są prawdziwe kobiety, choć byłem jeszcze chłopcem; i nie bałem się ich, bynajmniej!

Powracając z zabawy niechętnie wchodziłem do mego domu spowitego ciszą, długo zwykle nie mogłem potem zasnąć. Nad ranem miewałem przyjemne sny: czasami byłem z Antonią na wsi i zjeżdżaliśmy ze stogu słomy; to znów wspinaliśmy się na żółte wzgórza i zjeżdżaliśmy po śliskich zboczach w stos miękkiej siewki. Często śnił mi się jeden sen, zawsze ten sam. Znajdowałem się podczas żniw na polu i leżałem sobie wsparty o jeden spośród wielu snopków. Poprzez ściernisko nadchodziła bosonoga Lena, z sierpem w ręku, rumiana jak zorza, przeświecona jakimś różowym blaskiem. Siadała obok

142 WILLA CATHBR

mnie i cicho westchnąwszy mówiła: - Wszyscy już poszli, teraz mogę cię całować do woli.

Bardzo pragnąłem, aby w tym przyjemnym śnie pojawiła się choć raz Antonia, ale nigdy się tak nie zdarzyło.

Któregoś popołudnia zauważyłem, że babcia płacze. Poruszała się po domu powłócząc nogami, wstałem więc od stołu, przy którym odrabiałem lekcje, i podszedłem do niej pytając, czy może nie czuje się dobrze i czy nie mógłbym jej w czym pomóc.

- Nie, dziękuję Jim. Jestem zmartwiona, ale czuję się dobrze. Może trochę łamie w kościach, to prawda - dodała z goryczą.

Stałem pełen wahania. - Czym się babciu, trapisz? Może dziadek zgubił pieniądze?

- Nie, to nie chodzi o pieniądze. Tylko że nasłuchiwałam się takich różnych rzeczy. Przecież powinienes być wiedzieć, że kiedyś to do mnie dojdzie. - Opadła na krzesło i zasłoniwszy twarz fartuchem zaczęła płakać. - Jim - powiedziała - zawsze twierdziłam, że dziadkowie nie powinni chować wnuków. Ale tak się stało, wydawało się, że nie ma dla ciebie innego wyjścia.

Objąłem ją, nie mogłem znieść widoku jej łez.

- O co, babciu, chodzi? Czy o zabawy w Remizie Strażackiej.

Przytaknęła głową.

- Przykro mi, że tak cichaczem wymykałem się z domu. Ale w zabawach nie ma nic zdrożnego, ja naprawdę nic złego tam nie robię. Lubię te wiejskie dziewczęta i lubię z nimi tańczyć. I to wszystko.

- A jednak nie powinienes nas, synku, okłamywać, o to nas ludzie obwiniają. Powiadają, że wyrosnie z ciebie niedobry chłopak, a na to nie zasłużyliśmy.

- Nie dbam o to, co o mnie mówią, ale jeżeli sprawia to przykrość tobie, babciu, i dziadkowi, to co innego. Już nigdy więcej nie pójdę do Remizy Strażackiej.

Dotrzymałem obietnicy, ale wiosna wydawała mi się nieznośnie nudna.

Wieczorami przesiadywałem z dziadkami w domu, ucząc się łaciny, której nie było w programie szkolnym. Postanowiłem przerobić w lecie jak najwięcej materiału wymaganego przez college, tak abym mógł rozpocząć jesienią pierwszy rok studiów bez żadnych niedociągnięć. Chciałem się jak najszybciej stąd wyrwać. Stwierdziłem, że zła opinia o mnie sprawiła mi ból

- nawet ze strony ludzi, których nie obdarzałem sympatią. Z nadejściem wiosny moje osamotnienie zaczęło mi coraz bardziej dokuczać, wróciłem więc do telegrafisty oraz producenta papierosów i jego kanarków. Pamiętam, że pełną melancholii przyjemność sprawiało mi tej wiosny dekorowanie majowego koszyczka dla Niny Harling. Kupiłem kwiaty od starej Niemki, która w całym mieście zawsze miała najwięcej kwiatów w oknach, i spędziłem popołudnie dekorując koszyk do robótek ręcznych. Kiedy zapadł zmierzch, a nów księżyca pojawił się na niebie, pomknąłem cichutko do frontowych drzwi Harlingów z moim prezentem i nacisnąwszy dzwonek uciekłem, jak nakazywał zwyczaj. Poprzez żywoplot dochodziły mnie okrzyki zachwytu Niny, co mi sprawiło ogromną przyjemność. W ciepłe, pogodne, wiosenne wieczory często przeciągałem swój pobyt na przedmieściu, żeby wracać do domu z Frances i rozmawiać z nią o moich planach i o tym, co czytam. Któregoś wieczora powiedziała, że pani Harling, jak jej się wydaje, nie jest na mnie zbyt poważnie obrażona.

- Mama jest dobra, jak większość matek. Ale wiesz, że sprawa Antonii bardzo ją zraniła i nie może zrozumieć, dlaczego wolisz Tiny i Lenę od dziewcząt z twojego grona.

- A ty rozumiesz? - spytałem bez ogródek. Frances roześmiała się. - Tak, myślę, że rozumiem.

Znałeś je jeszcze na wsi i lubisz stawać po stronie słabszych. Pod pewnymi względami jesteś starszy od chłopców w twoim wieku. Mama ci wszystko daruje, jak zdasz egzamin do college'u i przekona się, że jesteś poważnym chłopcem.

- Gdybyś była chłopcem - nalegałem - też byś nie należała do "Sowiego Klubu". Byłabyś taka sama jak ja.

Potrząsnęła głową. -1 tak, i nie. Wydaje mi się, że lepiej od ciebie znam te dziewczęta. Zawsze je trochę idealizowałeś. Rzecz w tym, Jim, że jesteś romantykiem. Mama wybiera się na uroczystość wręczenia tobie dyplomu. Pytała mnie, czy nie wiem, na jaki temat wygłosisz przemówienie. Bardzo by chciała, aby ci się udało.

Przemyślałem moje przemówienie głęboko. Poruszyłem w nim z całą żarliwością wiele spraw, które ostatnimi czasy odkryłem. Pani Harling przyszła do gmachu Opery, aby posłuchać naszych przemówień, a ja niemal przez cały czas wygłaszania mojej oracji w nią się wpatrywałem. Jej bystre, inteligentne oczy bez przerwy utkwione były w mojej twarzy. Potem przyszła do szatni, gdzie staliśmy z dyplomami w ręku, i zwróciła się do mnie z całą serdecznością: - Wprawiłeś mnie w zdumienie, Jim. Nie sądziłam, że potrafisz to zrobić tak wspaniale. I nie mogłeś przecież tego wziąć z książek! - Wśród prezentów dla mnie był także jedwabny parasol od pani Harling z moim nazwiskiem wyrytym na ręczce.

Wracałem do domu sam z Opery. Mijając Kościół Metodystów zobaczyłem przed sobą trzy białe postacie przechadzające się między morwami tworzącymi łukowate sklepienie, w którym blask księżycy przedzierał się poprzez bujną czerwcową zieleń. Pospieszyły w moją stronę; czekały na mnie - Lena, Antonia i Anna Hansen.

- Och, Jim, to było cudowne! - Antonia z trudem łapała oddech, jak zwykle, kiedy nie mogła wyrazić swoich uczuć słowami. - Żaden adwokat w całym Black Hawk tak by nie potrafił. Zatrzymałam przed chwilą twego dziadka i powiedziałam mu to. Nie powtórzy ci tego, ale nam powiedział, że jest okropnie zdumiony, prawda, dziewczęta?

Lena przysunęła się do mnie i powiedziała żartobliwie: U Dlaczego byłeś taki poważny? Myślałam, że się boisz. Byłam przekonana, że zapomnisz.

Anna odezwała się głosem pełnym zadumy:

- Musisz się czuć bardzo szczęśliwy, Jim, że zawsze masz tyle wspaniałych myśli i że tak to potrafisz wyrazić. Ja też bardzo chciałam chodzić do szkoły.

-Och, a ja siedziałam i ogromnie żałowałam, że mój tata nie słyszy ciebie, Jim - Antonia chwyciła mnie za kłapy marynarki. - Było w twoim przemówieniu coś takiego, że przez cały czas myślałam tylko o tacie.

- Przygotowując moje przemówienie cały czas myślałem o twoim ojcu, Antonio - oparłem. - Jemu to przemówienie dedykowałem.

Zarzuciła mi ramiona na szyję, a twarz jej stała się mokra od łez.

Patrzyłem, jak ich białe sukienki migocą coraz słabiej i słabiej, w miarę jak się oddalały. Żaden sukces w moim życiu nie sprawił mi już potem takiej radości.

XIV

Następnego dnia po uroczystości rozdania dyplomów przeniosłem się z biurkiem i książkami na górę do pustego pokoju, żeby mieć absolutną ciszę, i zabrałem się do intensywnej nauki. Przerobiłem tego lata trygonometrię z całego roku i sam zacząłem studiować Wergilusza. Każdego ranka przemierzałem mój słoneczny mały pokój patrząc na odległe urwiste brzegi rzeki i faliste jasne pastwiska, skandując na głos "Eneidę" i ucząc się na pamięć długich fragmentów. Nieraz wieczorem pani Harling zapraszała mnie do siebie, gdy przechodziłem koło jej bramy, i grała na pianinie. Mówiła, że tęskni za Charleyem i chce mieć w pobliżu siebie jakiegoś chłopca. Ilekroć dziadkowie zaczynali mieć wątpliwości co do tego, czy nie jestem jeszcze za młody, aby wyjeżdżać do college'u, pani Harling wszczyniała energiczną akcję w mojej sprawie. Dziadek ogromnie sobie cenił jej sądy, wiedziałem więc, że się nie sprzeciwi.

Tego lata tylko raz miałem trochę odpoczynku. Zdarzyło się to w lipcu. Spotkałem się z Antonią w sobotę po południu i dowiedziałem się, że wraz z Tiny, Leną i Anną Hansen wybierają się w niedzielę nad rzekę - kwitł właśnie czarny bez i Anna chciała zrobić wino z jagód bzu.

- Anna ma nas zawieźć wozem dostawczym Marshallów, weźmiemy dobry lunch i urządzimy sobie piknik. Tylko my same, nikt więcej. A może też byś się wybrał, Jim? Byłoby jak za dawnych lat.

Zastanowiłem się. - Może bym się wybrał, o ile nie będę przeszkadzał.

W niedzielę rano wstałem wcześniej i gdy opuszczałem Black Hawk, ciężkie krople rosy okrywały jeszcze długie żdźbła trawy na łąkach. Była to pora pełnego rozkwitu wszystkich kwiatów. Różowa rudbekia stała wysoka wzdłuż piaszczystych dróg, a chabry i czerwone malwy rosły wszędzie dokoła. Idąc wzdłuż ogrodzenia z drutu ujrzałem kępę płomiennopomarańczowych mleczy, będących rzadkością w tych stronach. Zszedłem z drogi i znalazłem się na pastwisku, zawsze równiutko przyciętym latem, gdzie co roku wyrastała gajlardia płózac się po ziemi aksamitną czerwienią jak na bucharckich dywanach. Tego niedzielnego ranka cała okolica była pusta i bezludna, tylko skowronki zdawały się wisieć w powietrzu tuż nad moją głową, bardzo blisko.

Rzeka płynęła wartko jak na tę porę lata; poziom wody był wysoki, bo na zachodzie padały ulewne deszcze. Przeszedłem przez most, a potem udałem się w górę rzeki wzdłuż zalesionego brzegu do przyjemnej ubieralni skrytej wśród krzaków dereni, a obrośniętej dzikim winem. Zacząłem się rozbierać do kąpieli. Dziewczęta miały przyjechać później. Po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że będę tęsknił za tą rzeką, gdy wyjadę. Piaszkowe łąchy, a na nich czyste białe plaże z małymi zagajnikami z młodych wierzb i topoli były, w pewnym stopniu, Ziemią Niczyją, stanowiły jakby maleńki, nowostworzony świat, należący do chłopców z Black Hawk. W tych właśnie lasach polowałem z Charleyem Harlingiem, łowiłem w rzece ryby stojąc na zwalonych pniach drzew. Znałem tu każdy skrawek brzegu, bliska mi była każda łącha i płycizna na rzece.

Wykąpałem się, a potem beztrąsko chlapałem się w wodzie, gdy usłyszałem odgłosy kopyt i kół na moście. Zanurzyłem się głęboko i krzyknąłem, kiedy otwarty woz

na resorach pojawił się na środku mostu. Dziewczęta zatrzymały konie, dwie stanęły na wozie wspierając się na ramionach dwóch pozostałych, siedzących na froncie, by mnie mogły lepiej widzieć. Wyglądały czarująco w gromadzie, wpatrzone we mnie niby zaciekawione łanie, które wyszły z głębokiego lasu do wodopaju. Poczulem grunt koło mostu i stanąłem machając im ręką.

- Jak ładnie wyglądacie! - zawołałem.

- Ty też! - krzyknęły jednocześnie i wybuchnęły salwą śmiechu. Anna Hansen pociągnęła za lejce i odjechały, ja natomiast zygzakiem popłynąłem do mojej zatoczki i wygramoliłem się na brzeg, poza zwisający nad wodą wiąz. Osuszyłem się na słońcu i ubrałem powoli, bo żał mi było opuszczać to zielone schronisko, gdzie przez listowie dzikiego wina przeświecało ciepłe słońce, a na przechylonym wiązcie siedział dzięcioł, którego stukanie w drzewo niosło się daleko po rzece. Wracając dróżką na most odkrywałem drobne kawałeczki łuszczącej się kredy z wyschłych potoków i kruszyłem ją w dłoniach.

Kiedy dotarłem do konia Marshallów uwiązane w cieniu, dziewczęta zdążyły już zdjąć koszyki i poszły z nimi drogą, która wiała się przez plaże i zarośla. Słyszałem, jak się co chwila nawoływały. Krzaki czarnego bzu nie rosły w cienistych jarach między urwiskami, ale na ciepłym piasku wzdłuż rzeki, gdzie korzenie miały zawsze wilgoć, a gałęzie słońce. Kwiaty tego lata były niezwykle piękne i okazałe.

Poszedłem przez gęste poszycie ścieżką dla bydła, która poprowadziła mnie na zbocze, gwałtownie opadające ku rzece. Wiosenny przypływ zrobił wyrwę w ogromnej brzegowej skibie, a bruzda została zamaskowana krzewami bzu rosnącymi

tarasowato aż po samą wodę. Nie dotykałem bzu. Spłynęły na mnie zadowolenie i senność, oładnęła mną ciepła cisza roztaczająca się wokoło. Nie słyhać było żadnych odgłosów poza ciekim, śpiewnym bzyczeniem os i pogodnym szemrzeniem płynącej poniżej wody. Zerknąłem w dół wysokiego brzegu i dojrzałem mały strumyk, którego szum było słyhać; płynął idealnie czysty nad piaskiem

WILLA CATHER

i zwirem, odcięty od mulistego głównego nurtu długą łachą piasku. Poniżej, na dolnej półce brzegowej, dostrzegłem Antonię siedzącą pod krzakami czarnego bzu przypominającymi pagodę. Spojrzała w górę usłyszawszy jakieś odgłosy i uśmiechnęła się, ale zauważyłem, że płakała. Zsunąłem się w miękki piasek tuż koło niej i spytałem, dlaczego płacze.

- Te kwiaty i ich zapach, Jimmy, budzą we mnie tęsknotę za moim krajem - powiedziała cichym głosem. - Mieliliśmy tych kwiatów, tam, w starym kraju, bardzo dużo. Rosły zawsze na naszym podwórzu, a mój papa miał pod tymi krzakami zieloną ławkę i stół. Latem, kiedy rozkwiatały, przesiadywał na niej ze swym przyjacielem, który grał na puzonie. Kiedy byłem mała, chodziłam tam do nich i słuchałam, jak rozmawiali - była to piękna rozmowa, nigdy tutaj takiej nie słyszałam.

- O czym mówili? - spytałem.

Westchnęła i potrząsnęła głową. - Och, nie wiem. O muzyce, o drzewach, o Bogu i swojej młodości. - Nagle odwróciła się do mnie i spojrzała mi w oczy. - Jak sądzisz, Jimmy, czy jest to możliwe, aby duch mego ojca wrócił do rodzinnych stron?

Opowiedziałem jej o tym, co czułem wtedy, gdy dziadkowie pojechali oddać ostatnią posługę jej ojcu, a ja zostałem sam w domu. Byłem pewien, że jest już w powrotnej drodze do swego kraju, a nawet i teraz, ilekroć przechodziłem koło jego grobu, zawsze jakoś wydawało mi się, że przebywa pośród tak drogich mu lasów i pól.

Antonia miała najbardziej ufne i czułe oczy na świecie; zdawały się przez nie wyzierać najczystsza miłość i wiara.

- Dlaczego nigdy mi o tym nie mówiłeś? Teraz, gdy to usłyszałam, jestem o niego spokojniejsza. - Po chwili dodała: - Wiesz, Jim, mój ojciec był zupełnie inny niż matka. Wcale nie powinien był się żenić z moją matką, wszyscy jego bracia nie mogli mu tego darować. Słyszałam, jak starzy ludzie szeptali o tym. Mówili, że powinien był jej dać pieniądze i się nie żenić. Ale był starszy i zbyt dobry, aby ją tak potraktować. Mieszkał w domu swej matki, a ona, jako biedna dziewczyna, przyszła tam do pracy. Po

MOJA ANTONIA 149

ich ślubie babcia nie wpuściła jej już więcej do swego domu. Tylko raz była w domu babci, na jej pogrzebie. Nie wydaje ci się to dziwne?

Antonia mówiła, a ja leżałem na rozgrzanym piasku patrząc w niebo poprzez płaskie bukieciki kwiatów czarnego bzu. Wsłuchiwałem się w śpiewne bzyczenie pszczół, które unosiły się w słońcu ponad kwiatami, nie szukając cienia pośród liści. Antonia przypominała mi tego dnia ową małą dziewczynkę, która przychodziła do nas do domu z panem Szimerdą.

- Kiedyś, Antonio, pojedę do twego kraju i do tego małego miasteczka, w którym mieszkałaś. Pamiętasz wszystko, jak tam jest?

- Jim - odparła z zapalem - gdyby mnie tam zostawiono teraz pośród ciemnej nocy, od razu znalazłabym drogę do tego miasteczka, a potem wzdłuż rzeki trafiłabym do następnego, gdzie mieszkała moja babcia. Moje stopy pamiętają wszystkie ścieżynki w lasach, i gdzie sterczą duże korzenie, o które można się potknąć. Nigdy nie zapomnę mojego kraju.

Usłyszeliśmy szelest gałęzi i Lena Lingard spojrzała na nas z góry.

- O leniuchy! - zawołała. - Tyle tu bzu, a wy sobie tylko leżycie! Nie słyszeliście, jak wołamy? - Prawie tak samo zarumieniona, jak w moim śnie, zaczęła burzyć naszą ukwieconą pagodę. Jeszcze chyba nigdy nie widziałem w niej tyle energii; aż sapała z wysiłku, a nad jej dość wydatną górną wargą zebrały się krople potu. Skoczyłem na równe nogi i popędziłem po zboczku na górę.

Było właśnie południe i to tak upalne, że liście derenia i karłowatych dębów zaczęły się odwracać do góry srebrzystym spodem, przy czym cała zieleń jakby przywiedła i zwiotczała. Zniosłem kosz z jedzeniem na szczyt jednego z kredowych urwisk, gdzie nawet w najspokojniejsze dni zawsze było trochę wiatru. Płaskie korony niewielkich dębów rzucały lekki cień na trawę. Poniżej nas wiała się rzeka, dalej, pośród drzew, leżało Black Hawk, a za nim rozciągała się falista ziemia, unosząca się coraz wyżej, aż

ku niebu. Rozpoznawaliśmy znajome farmy i wiatraki. Każda spośród dziewcząt wskazywała kierunek swojej ojcowizny i mówiła, na ilu akrach rośnie pszenica, a na ilu kukurydza.

- Moi starzy - mówiła Tiny Soderball - zasiali dwadzieścia akrów żyta. Zmielą w młynie i będzie z tego pyszny chleb. Wydaje mi się, że od kiedy ojciec posiał żyto na mąkę, matka już trochę mniej tęski za ojczyzną.

- Ciężka to musiała być próba dla naszych matek

- rzekła Lena - wszystko tu przecież zupełnie inne. Moja matka zawsze mieszkała w mieście. Powiada, że za późno zabrała się do pracy na farmie i nigdy już się nie wciągnęła.

- Tak, ten nowy kraj dla starych ludzi to czasem ciężki kawałek chleba - zauważyła Anna głęboko zamyślona.

- Moja babcia jest coraz słabsza, zaczyna jej się mącić w głowie. Nie pamięta tamtego kraju, a stale jej się wydaje, że jest w Norwegii. Ciągle prosi mamę, aby z nią poszła nad morze i na targ rybny. Cały czas tylko pragnie ryb. Zawsze, jak jadę do domu, zawożę jej łososa i makrelę w puszcze.

- Litości, ależ gorąco! - jęknęła Lena. Leżała na wznak pod niewielkim dębem, odpoczywając po pracowitych zbiorach czarnego bzu. Zdjęła pantofle na wysokich obcasach, których nic powinna była w ogóle zakładać, świadczyło to tylko o jej braku rozsądku. - Chodź, Jim. Masz pełno piasku we włosach. - Zaczęła powoli przesuwając palcami po moich włosach.

Antonia ją odsunęła. - W ten sposób nigdy mu piasku nie wysypiesz - powiedziała surowym głosem. Mocno potrząsnęła swoją głową, a potem dała mi jakby lekkiego kuksańca w ucho. - Lena, nie powinnaś nosić tych pantofli. Są na ciebie za małe. Lepiej oddaj mi je dla Julki.

- Dobrze - odparła Lena chowając nogi w białych pończochach pod spódnicę. - Wszystko tylko dla Julki, prawda? Bardzo bym chciała, żeby ojciec nie miał takiego pecha z maszynami na farmie, wtedy mogłabym kupować więcej rzeczy dla moich sióstr. Zamierzam sprawić Mary nowy płaszcz jesienią, bo z tej nędznej roli nigdy nic nie będzie miała.

Tiny spytała, dlaczego nie zaczeka, przecież po Bożym Narodzeniu płaszcze będą tańsze. - Co wy sobie wyobrażacie? - dodała. - Jest ich jeszcze sześcioro młodszych ode mnie. I wszyscy myślą, że jestem bogata, bo zawsze, gdy przyjeżdżam na wieś, jestem ładnie ubrana. - Wzruszyła ramionami. - Ale wy dobrze wiecie, że rnam słabość do różnych błyskotek. Wolę im kupować błyskotki, niż to, co jest im potrzebne.

- Wiem, jak to jest - powiedziała Anna. - Kiedy tutaj przyjechaliśmy, byłam mała, i nie mieliśmy pieniędzy na kupowanie zabawek. Nie mogłam przeboleć lalki, którą dostałam od kogoś przed wyjazdem z Norwegii. Stłukł mi ją jakiś chłopak na statku i do dziś go za to nie cierpię.

- O ile wiem, to po przyjeździe tutaj miałaś niemało żywych lalek do niańczenia, podobnie jak i ja! - zauważyła cynicznie Lena.

- Tak, dzieci pojawiały się jedno po drugim, to prawda. Ale nie miałam nic przeciw temu. Lubiłam dzieci. Najmłodsze, którego wszyscy już bardzo nie chcieliśmy, jest teraz najukochańsze.

Lena westchnęła. - Niech sobie będą dzieci, byle tylko nie rodziły się zimą. U nas prawie zawsze tak było. Nie mam pojęcia, jak mama to zносиła. Wiecie co, dziewczęta? - usiadła z nagłym przyplływem energii. - Postanowiłam zabrać moją mamę z tej starej lepianki, w której już tyje lat przeżyła. Mężczyźni nigdy się na to nie zdobędą. Johnnie, mój najstarszy brat, chce się teraz żenić i budować nowy dom dla swojej dziewczyny zamiast dla matki. Pani Thomas uważa, że niedługo będę się

mogła już przenieść do innego miasta i sama poprowadzić interes. Jeżeli tego nie zrobię, to może wyjdę za mąż za jakiegoś bogatego spekulanta.

- To niezbyt ciekawa przyszłość - skomentowała sarkastycznie Anna. - Ja bym chciała uczyć, tak jak Selma Kronn. Pomyślcie! Będzie pierwszą skandynawską dziewczyną uczącą w gimnazjum. Powinniśmy być z niej dumne. Selma była rozmiłowana w nauce i nie tolerowała

WILLA CATHER

lekkomyślności Tiny i Leny, one jednak zawsze mówiły

o niej z podziwem.

Tiny kręciła się niespokojnie, wachlując się słomkowym kapeluszem. - Gdybym była taka zdolna jak ona, siedziałbym nad książkami dzień i noc. Tylko że ona się taka urodziła... no i jeszcze do tego ojciec też ją wyćwiczył! Był podobno w starym kraju kimś ważnym.

- Tak samo jak ojciec mojej mamy - mruknęła Lena - ale niewiele z tego dla nas pożytku! Ojciec mego ojca też był bystry, tylko że był człowiekiem szalonym. Ożenił się z Laponką. Myślę, że ja coś po niej odziedziczyłam, płynie we mnie lapońska krew.

- Prawdziwą Laponką, Leno? - wykrzyknąłem. - Z taką, co się ubiera w skóry?

- Nie wiem, czy się ubierała w skóry, ale była prawdziwą Laponką i cała rodzina miała mu to za złe. Wysłano go na północ do jakiejś urzędowej pracy, no i tam ją spotkał. Ożenił się.

- A mnie się wydawało, że Laponki są tłuste i paskudne,
1 mają skośne oczy jak Chińczycy, czy to prawda? - wyraziłem swoje zastrzeżenia.

- Nie wiem, może i tak. Muszę jednak mieć w sobie coś z Laponki, bo mama mówi, że Norwegowie, którzy mieszkają na północy, ciągle drżą, żeby ich chłopcy nie ganiłi za Laponkami.

Po południu, kiedy upał już nie był tak dokuczliwy, zabawiliśmy się w chowanego na płaskim terenie urwiska, kryjąc się za drzewkami. W końcu Lena, która zbyt często kryła, oznajmiła, że ma już dość, więc rzuciliśmy się na trawę, całkiem wyczerpani.

- Jim - odezwała się Antonia sennym głosem - opowiedz mi o przybyciu tutaj pierwszych Hiszpan, tak jak opowiadaliście sobie z Charleyem. Ja już im próbowałam to wszystko opowiedzieć, ale zapomniałam.

Usiadły wszystkie razem pod małym dębem. Antonia opierała się o pień drzewa, o Antonię dwie pozostałe, i tak słuchały mojej opowieści o Coronado i jego poszukiwaniach Siedmiu Złotych Miast. W szkole uczono nas, że nie dotarł dalej na północ, aż do Nebraski, zrezygnował bowiem z poszukiwań i zawrócił gdzieś w Kansas. Jednakże obaj z Charleyem Harlingiem byliśmy głęboko przekonani, że był tutaj, nad tą rzeką. Pewien farmer na północ od nas orząc ziemię wykopał metalowe strzemię mistrzowskiej roboty i szablę z napisem wrytym w języku hiszpańskim. Pożyczył te relikty panu Harlingowi, który przyniósł je do domu. Wyczyściłem je razem z Charleyem i przez całe lato wisiały w biurze pana Harlinga. Nasz pastor, ojciec Kelly, odczytał nazwisko hiszpańskiego twórcy tej szabli i skrót oznaczający miasto Cordova.

- Ja też widziałam to na własne oczy - wtrąciła tryumfalnie Antonia. - Tak więc Jim i Charley mają rację, a nie nauczyciele.

Dziewczęta zaczęły się zastanawiać. Dlaczego Hiszpanie dotarli aż tak daleko? Jak ten kraj wtedy wyglądał? Dlaczego Coronado już nigdy nie powrócił do Hiszpanii, do swego majątku, zamków i króla? Nie potrafiłem im na to odpowiedzieć. Wiedziałem tylko ze szkolnych książek, że "zmarł na odludziu z rozpacz".

- Nie on jeden - powiedziała ze smutkiem Antonia, a pozostałe dziewczęta przytaknęły szeptem.

Patrzyliśmy na rozciągającą się przed nami krainę i na zachodzące słońce. Rozkołysana trawa zdawała się płonąć dokoła. Kora na dębach przybrała kolor miedzi. Nawet brunatna rzeka miała złotawy poblask. Łachy piaskowe na rzece lśniły jak szkło, a w gąszczu wierzbiny światło tak drżało, jakby przemykały między gałązkami płomyki ognia. Wiatr uspokoił się zupełnie. W wąwozie zawodziła żałośnie

synogarlica, a gdzieś dalej w krzakach pohukiwała sowa. Dziewczęta, oparte jedna o drugą, siedziały bez ruchu. Na ich czołach migotały długie promienie słońca.

Nagle ujrzeliśmy dziwne zjawisko. Niebo było bezchmurne, słońce zachodziło na przejrzystym, złocistym niebie. W momencie gdy czerwona tarcza oparła się o wysoko wznoszące się pola na horyzoncie, nagle jakiś ogromny czarny kształt przesłonił słońce. Zerwaliśmy się na równe nogi wyężając wzrok w tym kierunku. Na jakiejś farmie na wzgórzu

zostawiono na polu pług, za którym właśnie skryło się słońce. Pług powiększony przez horyzontalne światło na tle widnokregu wyrastał tuż przed słońcem, dokładnie pośrodku jego tarczy; rączki i lemiesz - czarne na tle rozlanej czerwieni. I tak sobie stał, bohaterski w swej wielkości, jakby wyrysowany na słońcu.

Chociaż szeptem mówiliśmy o tej zjawie, ale wkrótce zniknęła: kuk obsuwała się coraz niżej i niżej, aż w końcu nawet jęg górny czerwony skrawek skrył się pod ziemią, Pola rozciągające się poniżej nas pociemniały, niebo poblądło, a pozostawiony przez zapomnienie pług gdzieś w dali na prerii wrócił do swych maleńkich rozmiarów.

XV

Pod koniec sierpnia Cutterowie pojechali na kilka dni do Omaha pozostawiając na opiece Antonii cały dom. Od czasu owego skandalu z tą szwedzką dziewczyną Wkk Cutter nie mógł się nigdy pozbyć żony z Black Hawk, chyba że sam z nią gdzieś wyruszył.

Następnego dnia po odjeździe Cutterów Antonia przyszła nas odwiedzić. Babcia zauważyła, że Antonia jest jakaś niespokojna i roztargniona. - Antonio, ty się czymś martwisz

- spytała babcia zaniepokojona.

- Tak, proszę pani. Nie mogłam spać dzisiaj w nocy.

- Trochę się wahała, ale w końcu opowiedziała nam, jak dziwnie się pan Cutter zachowywał przed wyjazdem. Całe srebro włożył do koszyka i umieścił pod jej łóżkiem, a także pudło z papierami, podobno bardzo cennymi. Musiała mu przyrzec, że nie będzie sypiać nigdzie poza domem ani też wracać późno podczas jego nieobecności. Surowo zakazał jej zapraszać do siebie na noc którąś ze znajomych dziewcząt. Będzie absolutnie bezpieczna, powiedział, bo właśnie założył nowy zamek Yale u frontowych drzwi.

Cutter tak wielką wagę przykładał do tych wszystkich szczegółów, że Antonia źle się taraz czuła sama w tym

domu. Nie podobało jej się, jak wchodził do kuchni, żeby udzielać jej instrukcji, ani też jak na nią patrzył. - Tak mi się wydaje, że znowu chce sść uciec do którejś ze swych sztuczek i nastraszyć mnie.

Babcia się zaniepokoiła. - Uważam, że nie powinnaś tam pozostawać, skoro tak to odczuwasz. Myślę, że nie byłoby w porządku, gdybyś teraz, skoro już dałaś słowo, opuściła ten dom. Może by Jim poszedł tam spać, a ty spałabyś o nas. Byłabym spokojniejsza, gdybyś była pod naszym dachem. Sądzę, że Jim równie dobrze jak ty roztoczy opiekę nad ich srebrem i lichwiarskimi papierami,

Antonia zwróciła się do mnie pytając skwapliwie: - Och, poszedłbyś, Jim? Pościelę ci moje łóżko świeżo i wygodnie. To chłodny pokój, a łóżko stoi tuż przy oknie. Wczoraj w nocy bałam się uchylić okna.

Lubiłem swój własny pokój, a nie cierpiałem domu Cutterów, lecz Antonia byk tak strapiona, że zgodziłem się na taką zamianę. Okazało się, że spałem tam równie dobrze jak wszędzie, a kiedy przyszedłem rano do domu, czekało już na mnie pyszne śniadanie przyrządzone przez Antonię, Po odmówieniu modlitwy usiadła razem z nami do stołu, całkiem jak za dawnych czasów na wsi.

Trzeciej nocy u Cutterów wydało mi się, że ktoś otworzył i zamknął drzwi. Potem jednak zapadła cisza, a ja chyba zaraz znowu usnąłem.

Po chwili stwierdziłem, że ktoś usiadł na brzegu mojego łóżka. Byłem na pół we śnie, ale zdawałem sobie sprawę, że może się ten osobnik dobrać do srebra Cutterów, Jeżeli się nie ruszę, to odnajdzie sobie srebro i mnie zostawi w spokoju. Wstrzymałem oddech. Leżałem w absolutnej ciszy. Ale wkrótce ręka delikatnie chwyciła mnie za ramię, a jednocześnie coś owłosionego i pachnącego kolońską

wodą zaczęło mnie muskać po twarzy. Nawet gdyby nagle w całym pokoju rozbłysło światło elektryczne, i tak nie mógłbym wyraźniej dostrzec tego zarośniętego, a znanego mi oblicza, które się nade mną pochylało. Chwyciłem go za bokobrody i pociągnąłem z wrzaskiem. Ręka, która trzymała mnie za ramię, natychmiast znalazła się na mojej szyi

Zupełnie oszalał: stał nade mną dusząc mnie jedną pięścią, a drugą walił mnie w twarz, syczał i dławił się sypiąc przekleństwami.

- A więc takie rzeczy się tu wyprawia, gdy wyjeżdżam? Gdzie ona jest, ty wstrętny szczeniaku, no gdzie? Pewnie pod łóżkiem, ty ladacznico! Znam te twoje sztuczki! Już ja ci pokażę! A z tym nędznikiem to się sam rozprawię! Mam go w ręku, świetnie!

Dopóki Cutter trzymał mnie za gardło, nie miałem żadnych szans. Chwyciłem go jednak za kciuk i odgąłem z całych sił, aż puścił mnie z jękiem. W mig skoczyłem na nogi, powaliłem go na ziemię, po czym dałem nura w otwarte okno. Wywaliłem okratowaną ramę i runąłem na podwórko.

Nagle zorientowałem się, że pędzę przez północną część Black Hawk w nocnej koszuli, tak jak to czasem zdarza się w najkoszmarniej szych snach. Kiedy wreszcie znalazłem się przy domu, przez kuchenne okno wspiąłem się do środka. Z nosa i warg ciekła mi krew, ale było mi tak niedobrze, że nawet nie zwracałem na to uwagi. Na wieszaku znalazłem szal i płaszcz, położyłem się na kanapie w salonie i choć cały byłem obolały, natychmiast zasnąłem.

Rano zbudził mnie okrzyk przerażenia babci. Byłem, doprawdy, porządnie zmalretowany. Babcia pomogła mi wejść do mojego pokoju, gdzie zerknąłem w lustro. Mój nos wyglądał jak wielka ciemna śliwka, jedno oko miałem całkiem zapuchnięte i to w najrozmaitszych kolorach. Babcia orzekła, że trzeba zaraz sprowadzić doktora, ale błagałem ją, jak jeszcze nigdy o nic, aby tego nie robiła. Zniosę to wszystko pod warunkiem, że nikt mnie nie zobaczy ani się nie dowie, co mi się przydarzyło. Prosiłem też, żeby nawet dziadek nie wchodził do mego pokoju. Wydawało mi się, że babcia mnie rozumie, choć byłem zbyt słaby i zgnębiony, aby cokolwiek wyjaśnić. Kiedy zdjęła mi nocną koszulę i zobaczyła sińce na moich piersiach, aż łzy polały się z jej oczu. Cały ranek spędziła myjąc mnie, robiąc okłady i nacierając arniką. Przez drzwi słyszałem płacz Antonii, ale prosiłem babcię, aby ją odesłała. Wtedy wydawało mi się, że już nigdy więcej nie zechcę jej zobaczyć. Nienawidziłem jej prawie tak samo jak Cuttera. To przez nią spotkała mnie ta cała ohyda. Babcia zaś bez przerwy tylko powtarzała: dobrze, że nie było tam wtedy Antonii. Ja zaś leżałem z moją zeszepeconą twarzą odwrócony do ściany i jakoś nie byłem tym specjalnie ucieszony. Zależało mi tylko na jednym, aby babcia trzymała wszystkich z daleka ode mnie. Gdyby raz przedostała się ta historia na zewnątrz, nie byłoby jej końca. Mogłem sobie bez trudu wyobrazić, jak używaliby sobie wtedy starsi w drugistorze.

Babcia starała się mi dogadzać na wszelkie sposoby, a dziadek wybrał się na stację, gdzie dowiedział się, że Wiek Cutter wrócił do domu wieczornym ekspresem ze wschodu, a wyjechał rano o szóstej pociągami do Denver. Naczelnik stacji powiedział, że miał całą twarz oblepioną plastrami, a lewą rękę na temblaku. Wyglądał tak, jakby był ledwo żywy, naczelnik więc spytał go, co mu się przydarzyło od przyjazdu o dziesiątej wieczorem; na to Cutter sypanął przekleństwami i powiedział, że już on się postara o to, aby naczelnika zwolniono z pracy za brak uprzejmości.

Po południu, gdy spałem, Antonia wybrała się z babcią do Cutterów, żeby spakować swój kufer. Okazało się, że dom jest zamknięty, musiały więc wybić okno, żeby się dostać do pokoju Antonii. Panował tam niesamowity bałagan. Wszystkie jej sukienki zostały wyrzucone z szafy na środek pokoju podarte i stratowane. Moje własne ubranie zostało tak potraktowane, że już go więcej nie zobaczyłem; babcia od razu spaliła je w piecu u Cutterów.

Podczas gdy Antonia pakowała kufer i doprowadzała do porządku pokój przed opuszczeniem go na zawsze, rozległ się gwałtowny dzwonek u drzwi frontowych.

Stała tam pani Cutter – nie mogła wejść, bo nie miała klucza do nowego zamka - a głowa jej aż się trzęsa z wściekłości.

Radziłam jej, żeby się trochę opanowała, bo dostanie ataku - opowiadała potem babcia.

Nie pozwoliła jej zobaczyć się z Antonią, tylko kazała jej usiąść w salonie i sama zdała relację z wszystkiego, co się zdarzyło w nocy. Powiedziała pani Cutter, że Antonia jest

WILLA CATHER

przeżona i jedzie na jakiś czas do domu, nie ma sensu pytać ją o cokolwiek, bo dziewczyna nic więcej na ten temat nie wie.

Z kolei pani Cutter opowiedziała swoją wersję. Poprzedniego dnia rano wyruszyła z mężem do domu z Omaha. Na dworcu w Waymore musieli się zatrzymać na kilka godzin, żeby się przesiąść do pociągu w stronę Black Hawk. Wtedy to Cutter zostawił ją, bo chciał załatwić jakąś sprawę w banku w Waymore. Po jakimś czasie wrócił i oświadczył, że musi tu zostać na noc, ona jednak niech wraca do domu. Kupił jej bilet i wsadził ją do pociągu. Zobaczyła, że razem z biletem wsunął jej do torebki banknot dwudziestodolarowy. Ten banknot, powiedziała, powinien być wzbudzić jej podejrzenia, ale się niestety, nie zorientowała.

Na małych stacjach pociągi nigdy nie są zapowiadane; każdy się orientuje, kiedy przyjeżdżają. Cutter pokazał konduktorowi bilet i posadził żonę na jej miejscu przed odjazdem pociągu. Był już późny wieczór, gdy się zorientowała, że jedzie ekspresem do Kansas City, że ma w tym kierunku bilet i że Cutter świadomie to wszystko zaplanował. Konduktor poinformował ją, że pociąg do Black Hawk odjeżdżał z Waymore dwadzieścia minut później niż pociąg do Kansas City. Z miejsca zorientowała się, że mąż jej wymyślił to wszystko po to, aby bez niej wrócić do Black Hawk. Nie miała innego wyjścia, musiała pojechać do Kansas City i pierwszym pośpiesznym pociągiem wrócić stamtąd do domu.

Cutter mógł powrócić do domu o dzień wcześniej niż jego żona uciekając się do jednego z wielu prostszych sposobów; mógł ją zostawić w hotelu w Omaha i powiedzieć, że na kilka dni jedzie do Chicago. Ale jemu właśnie zależało na tym, żeby ją rozwścieczyć, wtedy dopiero miał pełną przyjemność.

- Zapewniam panią, pani Burden, że pan Cutter za to zapłaci. Oj, zapłaci! - oświadczyła kiwając końską głową i wywracając oczami.

Babcia z kolei orzekła, że wcale w to nie wątpi.

Cutter najwyraźniej upajał się tym, że w oczach żony

MOJA ANTONIA 159

uchodzi za diabła. W pewnym stopniu był jakby uzależniony od podniecenia, jakie wyzwał w jej histerycznym usposobieniu. Być może wściekłość żony i jej zdumienie bardziej utwierdzały go w poczuciu, że jest rozpustnikiem, aniżeli jego własne wyczyny. Rozkoszowanie się rozpustą może kiedyś osłabnąć, ale gdy nie osłabnie przekonanie o rozpuście męża u pani Cutter. Z góry liczył na porachunek z żoną po zakończeniu eskapady - był to ostatni łyk mocnego trunku po długim obiedzie. Kłótnia z panią Cutter to jedyne podniecające doznanie, bez którego nie potrafiłby się obejść!

SSHaRHH
KSIĘGA TRZECIA
Lena Lingard

Na uniwersytecie miałem szczęście dostać się od razu pod wpływ wspaniałego i niezwykle żywego umysłu. Gaston Cleric przybył do Lincol tylko o kilka tygodni wcześniej niż ja i rozpoczął pracę jako kierownik filologii klasycznej. Lekarz zalecił mu wyjazd na Zachód, ponieważ bardzo podupadł na zdrowiu po długiej chorobie we Włoszech. Był moim egzaminatorem na wstępnych egzaminach i potem nadzorował mój kurs.

Nic pojechałem do domu podczas pierwszych wakacji letnich, lecz pozostałem w Lincoln, żeby przerobić grekę, która była warunkiem rozpoczęcia pierwszego roku studiów. Doktor Cleric w dalszym ciągu odradzał mi powrót do Nowej Anglii, toteż oprócz kilkutygodniowego pobytu w Kolorado on także całe lato spędzał w Lincoln. Graliśmy w tenisa, czytaliśmy i chodzili na długie spacery. Zawsze będę powracał we wspomnieniach do tego okresu umysłowego rozbudzenia jako do najszcześniejszych chwil w moim życiu. Gaston Cleric wprowadził mnie w świat idei; kiedy wkracza człowiek po raz pierwszy w ten świat, wszystko inne na pewien czas blednie, a to, co miało miejsce przedtem, zdaje się, jakby w ogóle nic istniało. A jednak stwierdziłem ze zdumieniem, że coś przetrwało; niektóre postacie z mego dawnego życia zdawały się oczekiwać mnie i w nowym życiu,

W owych czasach wśród studentów było wielu poważnych chłopców, którzy przyjechali na uniwersytet prosto z farm i małych miasteczek z rzadka rozrzuconych w tam stanie. Niektórzy przybyli prosto z pola zarobiwszy trochę grosza przez lato na farmie i utrzymywali się z tego przez cztery lata, nic dojadając i żyjąc w bardzo skromnych warunkach. Ukończenie studiów było z ich strony wielkim poświęceniem, niemalże bohaterstwem. Nasi wykładowcy zostali też dość osobliwie dobrani; byli wśród nich wędrowni, pionierscy nauczyciele, duchowni bez posady głoszący Ewangelię, paru młodych entuzjastów, którzy dopiero co skończyli studia. W młodym college'u, które ledwie parę lat temu dźwignął się z prerii, panowała atmosfera wysiłku, oczekiwania i niezłomnej nadziei.

Nasze prywatne życie było równie swobodne, jak życie naszych wykładowców. Nie było wtedy domów akademickich, każdy mieszkał, gdzie mógł i jak mógł. Ja wynajmowałem mieszkanie u starszych ludzi, którzy od dawna już osiedli w Lincoln, pożenili dzieci i teraz żyli sobie spokojnie we własnym domu na peryferiach miasta, skąd rozciągał się widok już tylko na pola. Dom był niezbyt dogodnie położony dla studentów, dlatego za cenę jednego pokoju miałem tam dwa pokoiki. Moja sypialnia - dawniej pomieszczenie na bieliznę - była nieogrzewana i mieściła się w niej tylko rozkładane łóżko, ale dzięki temu drugi pokój mogłem nazywać swoim gabinetem. Kredens i wielką orzechową szafę, w której mieściły się wszystkie moje ubrania, nawet kapelusze i buty, odsunąłem na bok, i prawie ich nie dostrzegałem, podobnie jak dzieci usuwają niestosowne przedmioty, gdy bawią się w "dom". Uczyłem się przy dużym, wygodnym stole z zielonym blatem, stojącym tuż przy oknie wychodzącym na zachód, z którego rozciągał się widok na prerię. W rogu, po prawej stronie, stały moje książki na półkach, które sam zrobiłem i pomalowałem. Na pustej ścianie po lewej stronie, oklejonej staromodną ciemną tapetą, rozwiesiłem ogromną mapę starożytnego Rzymu, wykonaną przez pewnego niemieckiego uczonego. Zamówił ją dla mnie Cleric, gdy sprowadzał książki z zagranicy. Nad półką z książkami powiesiłem fotografię teatru w Pompei, którą ofiarował mi ze swoich zbiorów Cleric. Kiedy się czytałem, z boku, przy końcu stołu, stało zwykle przy ścianie wyściełane krzesło z wysokim oparciem. •Sam je kupiłem, dobierając z wielką starannością. Mój

wykładowca czasami wstępował do mnie po wieczornej przechadzce i zauważyłem, że przesiadywał dłużej i stawał

się bardzo rozmowny, gdy miałem dla niego wygodne krzesło, butelkę Benedyktyna i odpowiednią ilość ulubionych papierosów pod ręką. Stwierdziłem, że w rozmaitych drobnych wydatkach był bardzo oszczędny, co zupełnie nie pasowało do jego charakteru. Bywało czasem, że przyszedł i siedział milczący i markotny, po czym rzuciwszy kilka sarkastycznych uwag wychodził, aby snuć się po ulicach miasta, które były tak samo spokojne i przytłaczająco monotonne jak ulice w Black Hawk. Kiedy indziej znów potrafił siedzieć prawie do północy i mówić o łacińskiej i angielskiej poezji albo o swoim długim pobycie we Włoszech.

Trudno mi odtworzyć ten szczególny urok i żywość jego opowieści. W tłumie był prawie zawsze milczący. Nawet dla swoich studentów nie miał gotowych banałów czy profesjonalnych anegdot. Jeśli był zmęczony, jego wykłady były niejasne i zawile, ale jeśli sam był zainteresowany, były to wykłady pasjonujące. Jestem przekonany, że Gaston Cleric mógłby być wielkim poetą, lecz czasami wydawało mi się, że jego pełne bogatej wobraźni porywy słowne wywierały fatalny skutek na jego dar poetycki. Zbyt wiele trwonil w zapale osobistego kontaktu. Wielekroć widywałem, jak siedział ze zmarszczonymi ciemnymi brwiami, oczy miał utkwione w jakimś przedmiocie na ścianie albo w jakimś wzorze na dywanie, po czym błyskawicznie rozsnuwał obraz, jaki uformował się w jego umyśle. Potrafił wyciągnąć z mroku i roztoczyć przed każdym dramat antycznego życia - białe figury na niebieskim tle. Nigdy nie zapomnę jego twarzy, kiedy któregoś wieczoru opowiadał mi o dniu, jaki spędził samotnie pośród nadmorskich świątyn w Paes- tum; cichy wietrzyk wiejący wśród kolumn bez dachu, ptaki latające nisko nad ukwieconymi łąkami na bagnach, błyski światła na srebrzystych, spowitych chmurami górach. Z przyjemnością pozostał tam na całą noc, okrył się płaszczem i kocem i patrzył, jak gwiazdy wędrują po niebie; siedział tak dopóty, dopóki "oblubienica starego Tironosa" nie wyłoniła się z morza, a góry zarysowały się wyraźnie w nadciągającym brzasku dnia. Wtedy właśnie zapadł na gripę, z powodu której nie mógł wyjechać do Grecji i długo leżał chory w Neapolu. Wciąż jeszcze, doprawdy, za to pokutował.

Pamiętam też żywo inny wieczór, kiedy coś nas naprowadziło na rozmowę o szacunku Dantego dla Wer- giliusza. Cleric recytował jedną pieśń po drugiej z "Komedii" przytaczając też rozmowę między Dantem a jego "ukochanym nauczycielem", a tymczasem niepostrzeżenie wypalił się papieros pomiędzy jego długimi palcami. Słyszę jeszcze teraz, jak cytuje Stacjusza, który mówił do Dantego:

Sławą rozgłośny, nazwiskiem pamiętny - Takimi do nas duch przemówił słowy -
...Nasieniem

Dzielnym dla ognia były mego stylu Iskry przez bożą wyrzucone świecę, Co zapaliła już poetów tyłu.

Rozumiem tutaj Eneidę, rodzicę, Piastunkę moich niemowlęcych pieśni...*

Choć tak bardzo podziwiałem wiedzę Clerica, nie miałem złudzeń co do siebie; zdawałem sobie sprawę, że ja uczonym nigdy nie będę. Nie potrafiłem na dłuższy okres zatracić się pośród bezosobowych przedmiotów. Ożywienie umysłowe zdolne było sprowadzić mnie z powrotem do mojej nagiej krainy i postaci po niej rozrzuconych. Kiedy właśnie z całym oddaniem zaczynałem chłonać nowe formy, które rozsnuwał przede mną Cleric, myśl nagle umykała i uświadamiałem sobie, że przebywam pośród miejsc i ludzi z mojej własnej, niewiele znaczącej przeszłości. Stali prości i krzepcy, niby wizja pługu na tle słońca. Byli wszystkim, co miałem w odpowiedzi na to nowe wezwanie. Szkoda, że Jake, Otto i Piotr Rosjanin zajmowali tyle miejsca w mojej pamięci, wolałbym je zapęłnić innymi rzeczami. Jednakże ilekroć ożywiona została moja świadomość, wraz z nią ożywiali się

moi starzy przyjaciele i choć to może wydać się dziwne, towarzyszyli mi we wszystkich nowych doświadczeniach. Tak bardzo złączyli się z moim życiem, że przestałem się zastanawiać, czy jeszcze w ogóle gdzieś żyją i jak żyją.

II

Któregoś marcowego wieczora na drugim roku studiów siedziałem sam po kolacji w swoim pokoju. Przez cały dzień była ciepła odwilż, na podwórkach leżało błoto, strumyki brunatnej wody z radosnym szumem spływały na ulice z ośnieżonych brzegów rzeki. Okno miałem otwarte, a wiejący przez nie wiatr rozleniwiał mnie. Na krańcu prerii, gdzie zachodziło słońce, niebo było turkusowoniebieskie jak jezioro pulsujące złocistym światłem. Powyżej, w absolutnej przejrzystości zachodniego nieboskłonu, wieczorna gwiazda wisiała jak lampa umocowana na srebrnych łańcuchach, jak lampa wyryta na tytułowej stronie starych łacińskich tekstów, jak światło, które się zawsze pojawia w raju i budzi nowe pragnienia wśród ludzi. Przypomniało mi to w każdym razie, że trzeba zamknąć okno i zapalić knot w mojej lampie. Zrobiłem to z żalem, a wtedy wyłoniły się z cienia wszystkie zamazane przedmioty i zajęły swoje miejsca wokół mnie wedle ustalonej zwyczajem przydatności.

Podparłem otwartą książkę i w ciszy wpatrywałem się w tę stronę "Georgików", od której rozpoczynała się jutrzejsza lekcja. Na samym początku była melancholijna refleksja:

Najpiękniejszym ten okres dla nieszczęsnych stworzeń Rychło mija.

"Optima dies... prima fugit". Wróciłem do początku księgi trzeciej, którą przerabialiśmy dziś rano: "Primus ego in patriam mecum... deducam Musas";

Ja pierwszy, oby tylko starczyło mi życia, Muzy w kraj z aońskiego przywiódł ukrycia.*

Cleric wyjaśnił nam, że "patria" tutaj nie oznacza państwa ani nawet prowincji, ale małą wioskę nad rzeką Mincio, gdzie się urodził poeta. Nie była to chępliwość, lecz nadzieja, tak zuchwała, jak i żarliwie pokorna, że być może sprowadzi on Muzę (świeżo przybyłą do Italii spośród okrytych chmurami greckich gór) nie do stolicy, palatia Romana, lecz do swojej małej "wioski"; na ojcowskie pola "opadające zboczem ku rzece, pomiędzy stare buki z połamanymi wierzchołkami".

Cleric uważał, że Wergiliusz umierając w Brundisium musiał zapewne przypomnieć sobie ten fragment. Kiedy uświadomił sobie gorzki fakt, że musi pozostawić niedokończoną "Eneidę", i kiedy uznał, że to wielkie płótno, wypełnione postaciami bogów i ludzi, należy raczej spalić, niżby miało przetrwać niedokończone, wtedy musiał zapewne wrócić myślą do tych doskonałych w swej wymowie "Georgików", gdzie pióro tak pasowało do treści, jak pług pasuje do bruzdy; i musiał chyba powiedzieć sobie, z uczuciem wdzięczności dobrego człowieka: "byłem pierwszym, który Muzy w kraj z aońskiego przywiódł ukrycia".

Opuściliśmy salę spokojnie, w poczuciu, że musnęło nas skrzydło wielkiego uczucia, choć pewnie tylko ja jeden znałem na tyle blisko Clerica, aby się domyślać, co to było za uczucie. Wieczorem, gdy siedziałem wpatrując się w moją książkę, żarliwość jego słów kłębiła się pośród wielkich myśli skupionych na otwartej przede mną stronicy. Zastanawiałem się, czy ten skalisty odcinek wybrzeża Nowej Anglii, o którym mi tak często opowiadał, był jego patrią. Niewiele jeszcze zdołałem przeczytać, gdy rozległo się pukanie. Pospieszyłem do drzwi, a otworzywszy je ujrzałem stojącą w ciemnym hallu kobietę.

- Nie poznajesz mnie, Jim?

Głos wydał mi się znajomy, ale nie rozpoznałem jej, dopóki nie stanęła w świetle padającym z mego pokoju, a wtedy ujrzałem Lenę Lingard! Wyglądała tak spokojnie i zwyczajnie w miejskim stroju, że mógłbym ją minąć na ulicy i wcale nie zauważyć.

Miała na sobie dopasowany

czarny kostium, a na jasnych włosach skromny czarny koronkowy kapelusz, przystrojony niezapominajkami.

Poprowadziłem ją do krzesła Clerica, jedyne wygodne krzesło, jakie miałem, zadając jej chaotyczne pytania.

Nie była speszona moim zakłopotaniem. Rozglądała się z naiwną ciekawością, którą tak dobrze pamiętałem, - Wygodnie ci się tutaj mieszka, prawda? Ja też mieszkam teraz w Lincoln, Jim. Sama prowadzę interes. Mam pracownię krawiecką w Raleigh Block, na O Street. Zrobiłam naprawdę dobry początek,

- Kiedy, Leno, tutaj przyjechałaś?

- Och, jestem już całą zimę. Babcia ci nie wspominała o tym w liście? Już kilka razy chciałam cię odwiedzić, ale tyle się nasłuchałyśmy, jakim to uczonym masz zostać, że czułam się onieśmielona. Nie byłam pewna, czy się ucieszysz moimi odwiedzinami, - Roześmiała się tym swoim aksamitnym, naturalnym śmiechem, który był albo bardzo szczery, albo bardzo wystudiowany, trudno się było zorientować. - Chociaż wydajesz się taki sam jak dawniej... tylko że teraz jesteś już młodym mężczyzną, oczywiście. Czy uważasz, że się zmieniłam?

- Chyba jesteś ładniejsza, choć zawsze byłaś ładna. Może w tym stroju wyglądasz trochę inaczej,

- A podoba ci się? Prowadząc taki interes sama też muszę się ładnie ubierać.

Zdjęła żakiet i siedziała jeszcze chyba swobodniejsza w bluzce z delikatnego, cienkiego jedwabiu. Czuła się już u mnie jak u siebie w domu, spokojnie wtopiła się w otoczenie, jak zawsze we wszystko. Zwierzyła mi się, że dobrze jej się wiedzie w interesie, że zaoszczędziła trochę pieniędzy,

- Latem w tym roku zamierzam wybudować dom dla matki, o czym już od tak dawna mówię. Nic mogę od razu go spłacić, ale chcę, że by go miała, nim stanie się zbyt stara, aby się nim cieszyć. Następnego lata sprowadzę jej nowe meble i dywany, a więc przez całą zimę będzie miała na co czekać.

Patrzyłem na Lenę, taką delikatną, pogodną i zadbaną. i przypomniałem sobie, jak biegała boso po prerii, aż do pierwszego śniegu, i jak Szalona Mary goniła ją po polach. Wydawało mi się to wprost cudowne, że sobie tak świetnie radzi na tym świecie. Niewątpliwie zawdzięczała to tylko sobie, nie komu innemu,

-Musisz być z siebie dumna, Leno - powiedziałem szczerze, - Spójrz na mnie, jeszcze nigdy nie zarobiłem nawet dolara i nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam zarobić.

- Antonia twierdzi, że będziesz kiedyś bogatszy niż pan Harling, Wiesz, że ona się zawsze tobą chełpi.

- Powiedz, jak się miewa Antonia?

-Bardzo dobrze. Pracuje teraz w hotelu u pani Gardener. Jest u niej gospodynią. Pani Gardener podupadła na zdrowiu i nie może już sama dojrzeć wszystkiego. Ma ogromne zaufanie do Antonii. Antonia jest też w dobrych stosunkach z Harlingami, Mała Nina tak wielbi Antonię, że pani Harling wszystko jej przebaczyła.

- Czy wciąż chodzi z Larrym Donovanem?

- Tak, a nawet jeszcze gorzej! Chyba się zaręczyli. Antonia mówi o nim, jakby był co najmniej dyrektorem kolei. Wszyscy się śmieją, bo nigdy nie była sentymentalna. Nie chce słyszeć złego słowa o nim. Strasznie naiwna.

Powiedziałem, że nie lubię Larry'ego i nigdy nie polubię.

Twarz Leny spochm umiała. - Tłumaczę jej, ale bezskutecznie. Wierzy mu bezgranicznie. To jej słabość, sam wiesz. Jeżeli już kogoś polubi, to nie chce o nim słyszeć złego słowa.

- Dobrze by było, żebym pojechał do domu i trochę się zajął Antonią - powiedziałem.

- O tak - Lena spojrzała na mnie w szczerym zdumieniu.

- Dobrze, że Harlingowie znowu się do niej przyjaźnie odnoszą, Larry się ich boi. Wysyłają statkami ogromne ilości zboża, mają wpływy na kolei. Czego się uczysz?

- oparła łokcie na stole i przysunęła do siebie książkę. Poczuję zapach fiołkowych perfum. - A więc to jest łacina? Chyba trudna. Czasami jednak chodzisz do teatru, bo cię kiedyś widziałam. Lubisz dobre sztuki, prawda, Jim? Nie mogę usiedzieć w domu wieczorem, jeżeli przyjeżdża

WILIA CATHER

do miasta teatr. Wydaje mi się, że mogłabym pracować jak niewolnik, aby tylko mieszkać w takim miejscu, gdzie są teatry.

- Wybierzemy się więc kiedyś razem. Chyba pozwolisz, abym cię odwiedzał, prawda?

- A chciałbyś? Będzie mi bardzo miło. Po szóstej jestem już zawsze wolna, a moje pomocnice zwalniam o wpół do szóstej. Stołuję się, żeby nie tracić czasu, ale czasami przyrządzam zrazy dla siebie, chętnie więc przyrządzę i dla ciebie. No cóż - zaczęła wkładać białe rękawiczki - cieszę się, że się z tobą zobaczyłam, Jim.

- Przecież chyba się nie spieszysz, Leno? Prawie nic mi jeszcze nie opowiedziałaś.

- Porozmawiamy, jak przyjdiesz do mnie. Myślę, że nieczęsto odwiedzają cię tu kobiety. Starsza pani na dole niezbyt chętnie mnie w puściła na górę. Powiedziałam jej, że jestem z twego rodzinnego miasta i obiecałam twojej babci, że cię odwiedzę. Pani Burden dopiero byłaby zdziwiona!

- Lena roześmiała się wstając.

Chwyliłam kapelusz, ale potrząsnęła głową. - Nie odprowadzaj mnie. W drugistorze umówiłam się ze Szwedami. Nie byłoby to dla ciebie interesujące. Chciałam zobaczyć twój pokój, żebym mogła wszystko o tobie napisać Antonii, a muszę jej napisać, że cię zostawiłam jak należy z twoimi książkami. Ona się zawsze boi, że cię kiedyś ktoś porwie. - Lena włożyła na jedwabną bluzkę żakiet, który jej podałem, wygładziła go i powoli zapięła. Odprowadziłem ją do drzwi. - Przyjdź czasem do mnie, jak się będziesz czuł osamotniony. Może jednak masz dość przyjaciół, powiedz?

- Przynęła bliżej swój gładki policzek. - Powiedz - szepnęła mi żartobliwie do ucha. Ale już po chwili zniknęła na dole mrocznych schodów.

Kiedy wróciłem do mego pokoju, było w nim jakoś przyjemniej niż zwykle. Lena pozostawiła po sobie ciepło i przyjacielski nastrój w blasku lampy. Jak/e zachwycił mnie jej śmiech! Tyle w nim było delikatności, spokoju i radości - był pochlebna oceną wszystkiego. Zamknąwszy oczy słyszałem, jak dziewczęta się śmieją - Dunki / pralni MOJA AKTOWA 169

i trzy czeskie Marie. Lena przywiodła je do mnie aż tutaj. Przyszło mi na myśl, jak jeszcze nigdy dotąd, że istnieje związek pomiędzy takimi właśnie dziewczętami i poezją Wergiliusza. Gdyby nie było takich właśnie dziewcząt na świecie, nic byłoby w ogóle poezji. Po raz pierwszy zrozumiałem to wyraźnie. To wzajemne powiązanie wydało mi się niezwykle cenne. Uczepiłem się go tak silnie, jakby miało nagle zniknąć.

Kiedy usiadłem znowu nad książką, mój dawny sen

0 Lenie biegającej po polach w krótkiej spódniczce wydał mi się wspomnieniem aktualnego wydarzenia. Przesuwał się po otwartej stronie książki jak obraz, a pod nim tkwiły te jakże ponure słowa: „Optima dies... prima lugit”.

III

Najlepszy sezon teatralny w Lincoln przypadł późno, kiedy wszystkie dobre zespoły zatrzymały się na jeden wieczór w powrotnej drodze po długim pobycie w Nowym Jorku

1 Chicago. Tej wiosny wybrałem się z Leną, żeby zobaczyć Josepha Jeffersona w „Rip Yan Wmkle” i sztukę wojenną pod tytułem „Shenandoah”. Była nieugięta, gdy chodziło o płacenie za jej bilet; mówiła, że prowadzi interes i nie może pozwolić, aby uczący się chłopak wydawał na nią pieniądze. Lubiłem chodzić z Leną do teatru; wszystko było dla niej cudowne i wszystko prawdziwe. Tak jakby się chodziło im zebrania religijne z kimś, kto się stale nawraca Wyrażała swe uczucia wobec aktorów

z jakimś fatalistycznym poddamem się. Wszystkie kostiumowe i sceniczne akcesoria znaw\ł dla niej o wiele więcej niż dla mnie. Na ..Robin Hood/ie" siedziała w zupełnej ekstazie nie spuszczać oczu z usi kontraltu. który śpiewał: "Och, przyrzeknij mi!"

Pod koniec kwietnia tablice ogłoszeń, które śkdzitan pilnie w owych dniach, rozkwitły ktoregos ranka lśniąc* białymi plakatami. Widniały na nich wyraźnie wydrokowane niebieskimi gotyckimi literami; nazwisko aktorki, o której często s\yszałem, ora/ tMu\ "Dama kameliowa"

W sobotę wieczorem wstąpiłem po Lenę mieszkającą w Ra leigh Błock i poszliśmy do teatru. Wieczór był ciepły i parny, oboje byliśmy w świetnych humorach. Przyszliśmy wcześniej, bo Lena lubiła przyglądać się wchodzącym ludziom. W programie zamieszczono notatkę, że "okolicznościowa muzyka" pochodzi z opery "Traviata", która oparta jest na tej samej powieści, co grana właśnie sztuka. Nic czytaliśmy tej powieści i nic o niej nie wiedzieliśmy, choć pamiętałem, że kiedyś mówiono, że jest to sztuka, w której błyszczą najwspanialsze aktorki. Zimą widziałem "Hrabiego Monte Christo" - grał James O'Neill - i była to jedyna znana mi sztuka Aleksandra Dumas. Ta sztuka została napisana przez jego syna, oczekiwałem więc rodzinnego podobieństwa. Dwa zajęcia, gdyby tu wpadły prosto z prerii, nic byłyby mniej zorientowane, co jć czeka, niż ja i Lena.

Zaczelismy się emocjonować już w momencie podniesienia kurtyny, kiedy Varville, siedzący przed kominkiem w ponurym nastroju, zaczął zadawać pytania Nanine, W tym dialogu by) jakiś zupełnie inny akcent. Jeszcze nigdy nie słyszałem w teatrze słów tak żywych, które by zakładały z góry i przesądzały o wszystkim, jak te słowa, które padały pomiędzy Varvillem i Małgorzatą w ich krótkim spotkaniu przed przybyciem przyjaciół. Była to najznakomitsza, najbardziej światowa i czarująco wesoła scena, jaką kiedykolwiek oglądały moje oczy, Nigdy jeszcze nic widziałem, aby na scenie otwierano butelki z szampanem - szczerze mówiąc, jeszcze w ogóle nigdzie nie widziałem. Wspomnienie tej kolacji nawet teraz wywołuje we mnie uczucie głodu; widok jej wtedy, po zjedzeniu obiadu w studenckiej stołówce, był prawie że torturą. Pamiętam też złożone krzesła i stoły (ustawione szybko przez lokajów w białych rękawiczkach i pończochach), śnieżnobiałe obrusy, lśniące szkło, srebrne półmiski, wielką tacę z owocami i pasowe róże. Pokój pełen był pięknych kobiet i olśniewających młodych mężczyzn, roześmianych i prowadzących ze sobą ożywioną rozmowę, Mężczyźni ubrani byli mniej więcej w stylu epoki, w której sztuka została napisana, kobiety raczej dowolnie. Nie widziałem w tym braku konsekwencji. Ich rozmowy zdawały się otwierać przed wszystkimi ten wspaniały świat, w którym żyli; po każdym zdaniu stawał się człowiek starszy i mądrzejszy, każdy dowcip rozszerzał horyzonty. Doświadczano się pełni i sytości i nic musiał się człowiek uczyć, co robić z rękoma podczas przyjęcia w salonie. Jeżeli aktorzy mówili wszyscy jednocześnie i nic chwyciłem jakiejś frazy, które błyskawicznie między sobą wymieniali, byłem bardzo zgnębiony. Wyteżałem uszy i oczy, aby nic uronić niczego.

Aktorka grająca Małgorzatę była nawet wtedy staroświecka, ale miała już swoją historię. Należała do sławnego nowojorskiego zespołu Dały'ego, a potem została jego "gwiazdą". Powiadano, że nie można jej było uczyć, miała bowiem w sobie surową, naturalną siłę i przekazywała ją ludziom podatnym na to, o smaku niezbyt wybrednym. Miała już niemało lat, twarz zniszczoną, a figurę dziwnie toporną i sztywną. Poruszała się z trudnością - wydaje mi się, że utykała na nogę - mówiono coś o chorobie kręgosłupa. Armand był jej przeciwieństwem: młody, smukły, przystojny, zdumiewająco inny. Ale jakie to miało znaczenie? Święcie wierzyłem w jej moc oczarowania go, w jej oszałamiające piękno. Wierzyłem w jej młode, żarliwe, bez troskie, trzeźwe, skazane na przegraną, gorączkowe pragnienie szczęścia. Miałem ochotę przeskoczyć światła rampy i pomóc szczupłemu Armandowi w koszuli z falbankami w przekonaniu jej, że istnieją jeszcze na tym świecie lojalność i oddanie. Jej nagła choroba w momencie największej wesołości, jej bladość, chusteczka przyciśnięta do ust, kaszel, który maskowała śmiechem, podczas gdy Gaston grał cicho na pianinie - wszystko to poruszyło do głębi moje serce. Ale jeszcze bardziej jej cynizm, jaki objawiał się w długim dialogu z kochankiem. Jakże daleki byłem od

poddawaniu w wątpliwość jej braku wiary! Kiedy czarująco szczerzy młody człowiek błagał ją - przy akompaniamencie orkiestry w znanym duecie z "Traviaty" - "misterioso, misterioso" - ona zachowała swój

gorzki sceptycyzm, a kurtyna opadła na nią, gdy tańczyła beztrąsko z innymi, odesławszy Armandę wraz z jego kwiatami.

W antrakcie nie było czasu na zapomnienie. Orkiestra przez cały czas grała melodie z "Traviaty", muzykę radosną i smutną, cichą i daleką, błahą i poruszającą do głębi serca. Po drugim akcie zostawiłem Lenę, która ze łzami w oczach wpatrywała się w sufit, i wyszedłem do hallu na papierosa. Tam pogratulowałem sobie, że nie przyszedłem z jakąś dziewczyną z Lincoln, która podczas przerwy rozmawiałaby tylko o młodzieżowych tańcach albo o tym, czy kadeci rozłożą obóz w Plattsmouth. Lena była przynajmniej kobietą, a ja mężczyzną.

W scenie między Małgorzatą i starzejącym się Duvałem Lena płakała przez cały czas, a ja siedziałem bezradny nie mogąc zapobiec takiemu zakończeniu tego etapu idyllicznej miłości, drżąc przed powrotem młodego człowieka, którego niewysłowione szczęście miało się stać miarą jego kłeski.

Sądzę, że żadna kobieta nie mogła bardziej odbiegać pod względem wyglądu, głosu i temperamentu od uroczej bohaterki Dumas niż ta aktorka-weteranka, która po raz pierwszy mnie z nią zapoznała. Jej koncepcja postaci była równie ciężka i bezkompromisowa jak jej dykcja: podkreślała myśl i spółgłoski. Przez cały czas była przepełniona wielkim tragizmem, trawiona żalem. Wszelkie emocje czy dobre maniere były jej obce. Głos miała gruby i głęboki; kiedy wołała: "Ar-r-rmand!", wydawało się, że wzywa go przed sędziowską ławę. Ale wystarczyły same słowa. Musiała je tylko wypowiedzieć. One tworzyły postać, całkiem od niej niezależną.

Bezduśny świat, do którego Małgorzata wkroczyła ponownie z Varvillem, nigdy jeszcze aż tak nie błyszczał, nie był aż tak beztrąski, jak tego wieczoru, kiedy zgromadzono w salonie Olimpii w czwartym akcie. Pamiętam żyrandole zwisające z sufitu, służbę w liberii, stoły do gry, na które mężczyźni rzucali stosy złota, i schody, po których wchodził goście. Wszyscy już zebrali się przy stolikach do gry w karty. Prudence ostrzegła Duvala, a wtedy pojawiła się na schodach Małgorzata z Varvillem; co za płaszcz, jaki wachlarz, jaka biżuteria - i ta twarz! Jedno spojrzenie wystarczyło, aby się przekonać, co się z nią dzieje, Ody Armand z okropnymi słowami: "Słuchajcie wszyscy, nic nie jestem winien tej kobiecie!" cisnął złoto i banknoty w na pół omdlałą Małgorzatę, Lena skuliła się przy moim boku i zakryła twarz rękoma.

Kurtyna podniosła się ukazując scenę w sypialni. Każdy nerw miałem napięty do ostatnich granic. Sama Nanine mogła pobudzić mnie do płaczu. Kochałem ją czule: a Gaston, jaki wydawał się bliski i dobry! Prezentów z okazji Nowego Roku nie było zbyt wiele; niczego teraz nie mogło być zbyt wiele. Nie mogłem powstrzymać łez. Nawet chustka w bocznej kieszeni marynarki, służąca tylko do ozdoby, a nie do użytku, była już mokra, nim ta śmiertelnie chora kobieta opadła po raz ostatni w ramiona swego kochanka.

Gdy opuszczaliśmy teatr, zobaczyliśmy ulice błyszczące od deszczu. Przezornie wziąłem ze sobą pożyteczny dyplomowy prezent od pani Harling i pod jego osłoną odprowadziłem Lenę do domu. Potem poszedłem wolno w stronę tej dzielnicy miasta, która przypominała jeszcze wieś, a w której ja właśnie mieszkałem. Na podwórkach kwitły bzy, ich zapach po deszczu, a także zapach świeżych liści i kwiatów owiał mnie gorzką słodyczą. Brnąłem przez kałuże i pod ociekającymi deszczem drzewami, płacząc po Małgorzacie Gautier, jakby zmarła zaledwie wczoraj i jakby to był rok 1840, kiedy to wzdychano tak często, a których to westchnień doświadczyłem dopiero tego wieczoru, poprzez długie lata i liczne języki, poprzez osobę niedołążnej starej aktorki. A sens tego taki, że żadne okoliczności nie mogą niczego udaremnić. Gdziekolwiek i kiedykolwiek ta sztuka bywa wystawiana, zawsze jest kwiecień.

IV

Jakże dobrze pamiętam ten surowy, niewielki salonik, " którym zwykle czekałem na Lenę; twarde, wyściełane końskim włosiem meble, kupione podczas jakiejś licytacji,

podłużne lustro, stylowe talerze na ścianie. Jeżeli usiadłem choćby nu moment, było pewne, że na moim ubraniu będzie pełno nitek i ścinków kolorowego jedwabiu.

Sukces Leny zdumiewał mnie. Była lekkomyślna; nie miała w sobie tej siły przebiccia i pewności siebie, dzięki którym ludzie robią interesy. Wiejska dziewczyna przybyła do Lincoln bez żadnych listów polecających, jedynie do mieszkającej tutaj jakiejś kuzynki pani Thomas, i od razu zaczęła szyć ślubne stroje. Była na pewno uzdolniona w tym kierunku. Wiedziała, jak określała to sama, "w czym ludziom jest dobrze".

Niezmordowanie śledziła modę. Nieraz wieczorem wpadałem do niej, a ona w pracowni drapowała satynę na drucianym manekinie, niemalże z wyrazem błęgiego uniesienia na twarzy. Często myślałem, że te lata, kiedy Lena dosłownie nie miała się w co przyodziać, wzbudziły w niej potrzebę nieustannego zainteresowania ubiorem innych ludzi. Jej klientki mówiły, że Lena "ma styl", i przymykały oczy na jej różne niedociągnięcia. Nigdy, jak się przekonałem, nie skończyła sukni w obiecunym terminie i często kupowała droższy materiał, niż upoważniała ją do tego klientka. Kiedyś, gdy przyszedłem o szóstej, Lena odprowadzała właśnie do drzwi jakąś nerwową matkę i jej niezbragną, wyrosniętą córkę. W drzwiach kobieta zatrzymała się i zwróciła się do Leny z prośbą:

- Postara się pani, panno Lingard, aby kosztowało to poniżej pięćdziesięciu? Bo widzi pani, ona jest za młoda, żeby ubierać się u drogiej krawcowej, u poza tym jestem przekonana, że pani lepiej ją ubierze niż kto inny.

- Och, wszystko będzie dobrze, pani Herron. Sądzę, że suknia będzie efektowna - odparła Lenu uprzejmie.

Jej sposób byciu w stosunku do klientek podobał mi się, zastanawiałem się, gdzie się nauczyła takiego opanowania.

Czasami po zakończeniu porannych wykładów spotykałem Lenę w mieście, w aksamitnym kostiumie i małym czarnym kupelusiku, z woalką gładko okrywającą jej twarz, świeżą jak wiosenny porunek, z bukietem żonkili albo hiacyntem, który niosła do domu. Kiedy mijaliśmy cukiernię, w krokach jej wyczuwało się wuhanie, zaczynała się trochę ociągać.

- Nie pozwól mi tam wchodzić - szeptała. - Postaraj się mnie stąd odciągnąć. - Bardzo lubiła słodczy, a nie chciała być pulchna.

W niedzielę jadaliliśmy zwykle wspólnie pyszne śniadanie u Leny w domu. Z tyłu za jej pracownią było w wykuszu okno, tak dużym, że mieściła się tam kanapa i stolik. W tym zaciszu przyrządzaliśmy śniadanie, oddzieleni zasłoną od długiego pokoju, w którym były stoły do krojenia materiałów, druciane manekiny, a na ścianach wisiały udrupowane materiały. Wszystko na stole lśniło od zalewającego pokój słońca, nawet płomyk lampy spirytusowej był zupełnie niewidoczny. Kudłaty czarny spaniel Leny, zwany Księciem, jadł śniadanie razem z nami. Siedział obok niej na kanapie i zachowywał się bardzo grzecznie, dopóki polski nauczyciel gry na skrzypcach, mieszkający po przeciwnej stronie hallu, nie rozpoczął swoich wprawek. Wtedy Księżę zaczynał warczeć i prychać wielce niezadowolony. Podarował Lenie tego psa właściciel domu, stary pułkownik Raleigh. Z początku była z tego niezadowolona, tyle lat opiekowała się zwierzętami, że nie potrafiła się już nad nimi rozczulać. Księżę okazał się jednak bardzo przyjemny i w końcu go polubiła. Po śniadaniu odbywała się tresura: pies leży, podaje łapkę, stoi jak żołnierz. Kładliśmy mu na głowie mają czapkę kadeta - miałem obowiązkowe ćwiczenia wojskowe na uczelni - i kazaliśmy mu trzymać w przednich łupkach miarkę krawiecką. Powaga, z jaką to robił, budziła w nas niepohamowany śmiech.

Zawsze mnie bawił sposób mówienia Leny. Antonia mówiła jakoś inaczej niż wszyscy. Nawet jak się nauczyła mówić całkiem poprawnie, zawsze wyczuwało się

jakąś impulsywność i obcy akcent. Lenu podchwyciła wszystkie konwencjonalne wyrażenia, jakie tylko słyszała w pracowni krawieckiej pani Thomas. Te formalne zwroty, małomiasteczkowa kwiecistość, banalne frazesy, prawie wszystkie obłudne w swoim założeniu, stawały się zabawne i ujmujące, kiedy wypowiadała je Lenu swoim aksamitnym głosem, z pieśczośliwą intonacją i figlarną naiwnością. Było to

176 WILLA CATHER

naprawdę pocieszne, gdy Lena, niemal tak otwarta jak sama Natura, nazywała nogę "kończyną, a dom "budowlą".

W tym słonecznym zaciszu długo przesiadywaliśmy zwykle przy kawie. Lena wyglądała najładniej rano; budziła się rześka, jej oczy miały intensywniejszy kolor, tak jak niebieskie kwiaty są najbardziej niebieskie w momencie rozkwitu. Mogłem siedzieć beczynn timer cały niedzielny ranek i tylko się jej przyglądać. Teraz zachowanie Ole Bensona nie stanowiło już dla mnie zagadki.

- W postępowaniu Ole'a nie było nigdy nic złego - wyznała mi kiedyś. - Niepotrzebnie się ludzie niepokoiłi. Lubił po prostu posiedzieć sobie w brudzie i zapomnieć na chwilę o złym losie. Lubiłam, gdy przychodził. Każde towarzystwo jest miłe, jeżeli człowiek przez cały czas jest tylko z krowami.

- Był to chyba straszny ponurak? - spytałem. - Podobno nic nigdy nie mówił.

- Oczywiście, że mówił, tylko po norwesku. Służył jako marynarz na angielskim statku i był w różnych stronach świata. Miał wspaniałe tatuaże. Godzinami się w nie wpatrywaliśmy, bo przecież w gruncie rzeczy nie było na co patrzeć. Przypominał książkę z obrazkami. Na jednym ramieniu miał statek i dziewczynę z truskawkami, a na drugim dziewczynę stojącą przed małą chatką, z płotem i furką, czekającą na ukochanego. A wyżej na ramieniu ów marynarz już powrócił i obsypywał ją pocałunkami. "Powrót marynarza", tak to nazywał.

Musiałem przyznać, iż trudno się było dziwić Olemu, że lubił od czasu do czasu popatrzeć na ładną dziewczynę, skoro miał w domu takie straszdyło.

- Wiesz - powiedziała mi Lena w zaufaniu - ożenił się z Mary, bo myślał, że jest mądra i że stanie się przy niej porządnym człowiekiem. Nigdy nie był porządny na łądzie. Ostatnim razem wylądował w Liverpoolu po dwu latach podróży. Rano otrzymał wypłatę, a już następnego dnia nie miał ani centa w kieszeni, stracił też zegarek i kompas. Zadał się z jakimiś kobietami i wszystko mu zabrały. Przyjechał do tego kraju małym statkiem pasażerskim.

Mary była na nim stewardesą i próbowała go zawrócić ze złej drogi. Uznał, że jest to kobieta, przy której się może ustatkować. Biedny Ole! Przynosił mi cukierki z miasta, chował je w worku z paszą. Nie potrafił niczego odmówić dziewczynie. Gdyby to było możliwe, już dawno poroz- dawałby swoje tatuaże. Takich ludzi jak on zawsze najbardziej mi żal.

Jeżeli spędzałem wieczór z Leną i trochę dłużej się u niej zasiedziałem, polski nauczyciel gry na skrzypcach wychylał głowę ze swego pokoju i patrzył, jak schodzę na dół, mrużąc coś tak groźnie, że łatwo mogłaby się wywiązać kłótnia. Lena powiedziała mu kiedyś, że lubi słuchać jego gry na skrzypcach, wobec tego zawsze zostawiał uchylone drzwi i obserwował, kto do niej wchodzi i wychodzi.

Z powodu Leny zapanowały chłodne stosunki między Polakiem i właścicielem domu. Stary pułkownik Raleigh przybył do Lincoln z Kentucky i w okresie inflacji zainwestował odziedziczony majątek w nieruchomościach. Teraz przesiadywał w swoim biurze dzień w dzień i usiłował wykryć, gdzie się podziały jego pieniądze i w jaki sposób mógłby je odzyskać. Był wdowcem i nie mógł sobie znaleźć odpowiedniego towarzystwa w mieście, w którym mieszkali raczej dość przypadkowi ludzie. Podobała mu się Lena, a także jej dobre maniery. Powiadał, że jej głos przypomina mu Południe, i starał się wyszukiwać jak najwięcej sposobności, aby tylko mógł jej słuchać. Wiosną pomalował i wytapetował jej pokoje, wstawił porcelanową wannę zamiast blaszanej, która wystarczała poprzedniemu lokatorowi. Po dokonaniu tych przeróbek stary dżentelmen często do niej zaglądał, aby spytać o jej życzenia. Rozbawiona

opowiadała mi, jak Ordinsky pojawił się kiedyś wieczorem w jej drzwiach i powiedział, że jeżeli gospodarz niepokoi ją swą troskliwością, on postara się to szybko przykrócić.

- Właściwie to nie bardzo wiem, co z nim zrobić ~ zwierzyła mi się potrząsając głową - przez cały czas jest zły. Nie chciałabym, aby się zachowywał niegrzecznie wobec (ego miłego staruszka. Pułkownik jest gaduła, ale przecież żyje tak samotnie. Sądzę, że i on także niezbyt znosi

Ordmsky'cgo Kiedy4 zaznaczył, że jeżeli miałabym jakieś zastrzeżenia cci do moich sąsiadów, powinnam bez wahania powiedzieć mu o tym.

Pewnej soboty jedliśmy właśnie z kolacją, gdy nagle usłyszeliśmy pukanie do drzwi salonu, Stał w nich Ordinsky bez marynarki, w koszuli frakowej z kołnierzykiem, Książę natychmiast skoczył na cztery łapy i zaczął warczeć, a tymczasem gość bardzo przeproszał, że się pokazuje w takim stroju, ale błaga, aby mu fena pożyczyla kilka agrafek.

- Och, bardzo proszę, panie Ordinsky, proszę wejść, a zobaczę, co się stało, – Zamknęła za nim drzwi, - Jim, mógłbyś uspokoić Księcia, dobrze?

Dałem prztyczka Księciu w nos, a Ordinsky zaczął tłumaczyć, że już od dość dawna nie miał na sobie tego fraka, a dzisiaj wieczorem, kiedy właśnie ma grać na koncercie, okazało się, że kamizelka jest na plecach rozpruta, Pomyślał sobie, że na razie, póki nie odda jej do krawca, może by się dało spiąć agrafkami,

Lena wzięła go za łokieć i obróciła Roześmiała się na widok długiej dziury w satynie, - Nie zdołałby pan tego pospinać, panie Ordinsky Trzymał ja pan złożona zbyt długo i materiał cały się przetaił wzdłuż kantu Proggse ją zdjąć Podłóżę kawałek nowej jedwabnej podszewki i za dziesięć minut będzie kamizelka gotowa, - /niknęła wraz z kamizelką w pracowni zostawiając nas samych, ale Ordinsky stał przy drzwiach niczym jakaś drewniana figura. Skrzyżował ramiona i wpatrywał się we mnie lekko skośnymi brązowymi oczami, w których widać było podniecenie. Głowa jego miała kształt czekoladowej pralinki, a pokryta była loczkami koloru suchej słomy, które wiły się wokół spiczastego czubka głowy, Zawsze tylko słyszałem jego pomrtfk*, toteż byłem wielce zdziwiony, gdy się do mme odezwał.

- Panna Ungard - powiedział do mnie wyniośle - to młoda kobieta, dla której mam najwyższe,.. najwyższe uznanie

- Ja również - odparłem chłodno,

AfifHmtA \ 79

Nie zwrócił uwagi na moje słowa, zaczął przebierać palcami po rękawach koszuli, wciąż trzymając założone ramiona,

~ Szczerego serca - mówił dale) wpatrując się w sufit - i uczucia nikt tutaj nie jest w stanie zrozumieć. Naj* szlachetniejsze cechy wydają się jedynie śmiesznością, Studenci, którzy są tylko zarozumiałymi ignorantami i stać ich wyłącznie na szyderstwo, cóż om wiedza o óelikMtiofaż.

Staralem się zapanować nad wyrazem mojej twarzy i próbowałem mówić ptrważnie,

- Jeżeli ma pan na myśli mnie, panie Ordinsky, to muszę wyjaśnić, że znam parnę lingard od dawna i doceniam jej dobroć, Pochodzimy z tego samego miasta i wychowywać my się razem,

Wzrok jego przeniósł się z sufitu na mnie, - Czy mam przez to rozumieć, że interesy tej kobiety bhskte są pańskiemu seretf! Że nic chce jej pan skompromitować?

- Jest to słowo, które nie ma w tym przypadku za- stosowania, panie (Jrdinsky, Dziewczyna sama zarabiająca na własne utrzymanie może zaprosić studenta na kotagę i z tego powodu źle się o mej me mówi. My po proMo traktujemy to jako coś zupełnie naturalnego.

~ Wobec tego niewłaściwie pana osąd/tłem i proszę

0 wybaczenie - skłonił się przede mną z powaga - Panna Lingard - ciągnął dalej ~ to ufne serce. Ona jeszcze nie poznała, jakie jest życie naprawdę, A jeśli chodzi o pana 1 o mnie, noblesse ohfige - i spojrział na mnie baczny wzrokiem,

Lena wróciła z kamizelką. - Proszę przyjść i pokazać się nam, jak już pan będzie wychodził, panie (Jrdinsky. Jeszcze nigdy nie widziałam pana we fraku - poprosiła otwierając przed nim drzwi.

Po paru minutach pojawił się znowu trzymając w ręku futerale ze skrzypcami, Szyję miał owiniętą ciepłym szalikiem, a kościste ręce w grubych wełnianych rękawiczkach, łona mówiąc dodawała mu otuchy, wyszedł więc tak dumny ze swego wyglądu i profesji, że wybuchnęliśmy śmiechem natychmiast, gdy tylko drzwi się za nim zamknęły. I H

daczek - rzekła Lena z pobłażliwością - wszystko traktuje tak bardzo poważnie.

Potem już Ordinsky miał do mnie stosunek przyjacielski i zachowywał Nę tak, jakby nas łączyło jakieś wzajemne głębokie zrozumienie. Napisał napastliwy artykuł, w którym atakował miasto za brak muzykalności i prosił, abym mu zrobił przysługę - zaniósł go wydawcy porannej gazety, Gdyby wydawca odmówił, miałem mu powiedzieć, że będzie odpowiadał przed Ordmsky'm "osobiście", Oświadczył, że nie cofnie ani jednego słowa i że jest przygotowany na to, że straci wszystkich uczniów. Mimo że nikt nie zareagował ani słowem po ukazaniu się tego artykułu - w którym rodo się od błędów drukarskich, co uznał za celowa robotę

- satysfakcję dało mu przekonanie, że mieszkańcy miasta Lincoln potulnie przyjęli epitet "nieokrzescani barbarzyńcy",

- Bo widzi pan, tak już jest - powiedział do mnie - tam gdzie nie ma rycerskości, nie ma też amour-propre, - Kiedy spotykałem go potem w drodze do uetttu/w, wydawało mi się, że trzyma głowę z wyrazem pogardy, a wchodził na stopnie frontowych ganków i dzwonił do drzwi z większą pewnością siebie niż dotychczas. Powiedział Lenie, że nigdy nie zapomni, jak stanąłem przy nim wtedy, gdy był "pod ostrzałem",

Przez cały ten czas, oczywiście, dałem się unosić fali, Lena zakłóciła mój poważny nastrój. Wykłady przesiały mme interesować. Zabawiałem się z Leną i Księciem, g także i z Polakiem* wybierałem się na przejażdżki powozem ze starym pułkownikiem, który polubił mnie i rozmawiał ze mną o tMm i "wielkich pięknościach", jakie znał w młodości Wszyscy trzej byliśmy zakochani w lx we

Przed pierwszym czerwca zaproponowano 0a#tOfi0W Ckrieowi prace w charakterze wykładowcy w Harvard College, na która zdecydował Zaproponował, abym i j* przeniósł s«e tam jesienią i ukończył swoje studia w Harvard f>owiedział się o lenie - nie ode mnie - i przeprowadził z* mną p"ważną rozmowę,

I era/ juz nic tutaj nie osiągniesz, Albo powinieneś rzucić nauki i zacząć pracować, albo zmienić college i ZłKHWF

zabrać się do nauki solidnie, Sie ockniesz się, jeżeli będziesz się zabawiał z ta przystojną Norweżka, Widziałem cif z nią w teatrze, Jest bardzo ładna i całkiem nieodpowiedzialna, tak bym ja ocenił,

Cleric napisał do mego dziadka, że chciałby mnie zabrać ze sobą na Wschód, Ku memu zdumieniu dziadek odpisał, że jeżeli tylko mam ochotę, mogę jechać, W tym dniu, kiedy przyszedł Kst, byłem i zadowolony, i zasmucony, Cały wieczór spędziłem sam w swoim pokoju i starałem mę wszystko przemyśleć. Nawet przekonywałem sam siebie, że stoję na drodze feny - trzeba przecież wykrzesać z siebie choć trochę szlachetności! - ho gdyby nie zabawiała sic ze mną, pewnie wyszłaby za mąż i ułożyła sobie życie.

Następnego wieczoru poszedłem do Leny, Zastałem ją na sofie w wyk uszowym oknie z nogą w ogromnym kapciu. Niezdarna mała Rosjanka, która przyjęła do pracy, upuściła jej żelazko na palec u nogi. Obok na stole stał kosz wczesnych letnich kwiatów, który przyniósł Ordmsky dowiedziawszy się o wypadku Leny, On zawsze wiedział, co się u niej dzieje,

Lena opowiadała jakąś zabawną plotkę o jednej z klienteli; gdy przerwałem jej podnosząc kosz z kwiatami,

- Ten facet któregoś dnia ci óę oświadczy, Leno,

- Och, nawet często to robi! - mruknęła.

- CoTt Mimo że mu odmawiasz?

- Nie zwraca na to uwagi. To zdaje się podnosić \$0 m duchu. Tak już bywa ze starymi mężczyznami Czują gię ważni, jeżeli myślą, że są w kimś zakocham,

- Pułkownik ożeniłby się z tobą w każdej chwili Mam nadzieję, że nie wyjdiesz za starego mężczyznę, choćby nawet był bogaty, lena przesunęła poduszki i spojrzała na mnie ze zdziwieniem,
- Nic mam zamiaru wychodzić za mikofo, Nie wiedziałeś o tym?
- Nonsens, Leno. Tak mówią wszystkie dziewczęta, ale przecież sama dobrze wiesz, jak jest taka ładna dziewczyna jak ty zawsze w końcu wychodzi za męża

Potrząsnęła głową. - Ale nie ja(

-Dlaczego? Z jakiego powodu tak mówisz? - nalegałem.

Lena się roześmiała.

-Przed wszystkim dlatego, że ja w ogóle nie chcę mieć męża. Mężczyźni są dobrzy jako przyjaciele, ale z chwilą gdy zostaną mężami, stają się podtatusiali i niezdolni, nawet ci, którzy byli szalenie zakochani. Zaczynają od razu mówić, co jest rozsądne, a co głupie i życzą sobie, aby kobieta siedziała w domu przez cały czas. Chcę być nierozsądna, jeżeli mam na to ochotę, i z nikim się nie liczyć.

-Ale będziesz się czuła osamotniona. Zmęczyci cię takie życie, w końcu zechcesz mieć rodzinę.

- To nie ja. Lubię być sama. Kiedy zaczęłam pracować u pani Thomas, miałam dziewiętnaście lat i do tego czasu nie przespałam ani jednej nocy sama w łóżku, zawsze spało nas przynajmniej troje. Nie miałam dla siebie ani jednej wolnej chwili, chyba tylko wtedy, gdy pasłam bydło.

Zazwyczaj, jeżeli już Lena wspominała wieś, to najczęściej rzucała jakieś pojedyncze zdanie, z poczuciem humoru albo lekkim cynizmem. Tym razem jednak jej myśli krążyły wokół dzieciństwa. Powiedziała, że nie pamięta takich czasów, aby od najmłodszych lat nie hołubiła dzieciaka, nie pomagała prać pieluch, nie musiała myć spękanych rąk i twarzy młodszego rodzeństwa. W jej wspomnieniach dom to miejsce, w którym jest za dużo dzieci, ponury mężczyzna i ciężka harówka dla chorej kobiety.

-To nie wina matki. Gdyby tylko mogła, na pewno by nam zapewniła wszelkie wygody. Ale to nie było życie dla dziewczynki! Jak już zaczęłam paść bydło i doić krowy, nie mogłam się pozbyć zapachu bydła. Kilka koszul, jakie miałam, trzymałam w pudle po sucharach. W soboty, jak już wszyscy poszli spać, a nie byłam zbyt zmęczona, mogłam się umyć. Szłam dwukrotnie do młyna, żeby przynieść sobie wody, i grzałam w garnku na piecu. Potem przynosiłam balie z piwnicy i kąpałam się w kuchni. Zakładałam czystą bieliznę i wchodziłam do łóżka z innymi dziećmi, które były brudne, jeśli ja ich nie wykąpałam. Ty,

Jim, nie możesz powiedzieć o życiu rodzinnym. Ja trwałam w nim długo.

- Nic zawsze przecież tak bywa - zaproponowałem.

- Przeważnie. Prawie zawsze jest się pod czyjś pantoflem. Ale o co chodzi, Jim? Czyżbyś się bał, że kiedyś zechcę wyjść za ciebie?

Wtedy wyznałem jej, że wyjeżdżam,

- Dlaczego chcesz wyjechać? Może nie byłam dla ciebie miła?

- Byłaś dla mnie bardzo dobra, Leno - wyznałem prawdę.

- Przy tobie o niczym więcej nie myślę i póki będę z tobą, w dalszym ciągu nie będę myślał. Nigdy się nie zabiorę poważnie do niczego i nie będę się uczył, jeżeli tutaj pozostanę. Sama zresztą dobrze o tym wiesz.

Usiadłem obok niej na kanapie i wpatrywałem się w podłogę. Wszystkie sensowne powody gdzieś mi uleciały z głowy.

Lena przysunęła się do mnie bliżej i w głosie jej wyczułem pewne wahanie, co mnie trochę zraniło, ale już po chwili zaczęła mówić normalnym głosem:

- Nie powinnam była w ogóle zaczynać, prawda?

- szepnęła. - Nie powinnam była wtedy do ciebie przychodzić. Ale tak bardzo chciałam. Chyba zawsze byłam trochę zwariowana na twoim punkcie. Nie wiem, jak się stało, może to Antonia spowodowała, bo zawsze mnie upominała, żebym z tobą nie wyprawiała swoich sztuczek. Zostawiłam cię w spokoju dość długo, nie sądzisz? Była cudowna dla tych, których kochała, ta Lena Lingard!

W końcu odsunęła mnie od siebie po czułym, długim, pożegnalnym pocałunku.

- Nie inuż żalu, że wtedy do ciebie przysłałam? - zapytała cicho. - Wydawało mi się to tak naturalne. Często sobie myślałam, że chciałabym być twoją pierwszą ukochaną. Myło z ciebie takie zabawne dziecko!

Ilekoć się z kimś rozstawiała, całowała go, jakby ze smutkiem, świadoma, że jest to już rozstanie nu zawsze.

Nim wyjechałam z Lincoln, jeszcze wielokrotnie się żegnaliśmy, jednakże nigdy nie usiłowała przeszkodzić mi

WILLA CATHER

ani powstrzymać od wyjazdu. - Wyjeżdżasz, ale jeszcze nie wyjechałeś, prawda? – powtarzała.

Rozdział mego życia w Lincoln zamknął się raptownie. Pojechałem do dziadków na kilka tygodni, potem odwiedziłem krewnych w Wirginii, a następnie dołączyłem do Clerica w Bostonie. Miałem wtedy dziewiętnaście lat.

KSIĘGA CZWAJTA

Historia kobiety z pionierskich czasów

i

W dwa lata po wyjeździe z Lincoln skończyłem wstępne studia w Harvard. Przed rozpoczęciem studiów na Wydmie Prawa pojechałem na wakacje do domu. Już pierwszego wieczora po moim przybyciu przyszły panie Harling, Frances i Sally, aby mnie powitać. Wszystko wydawało mi się takie same jak dawniej. Tylko dziadkowie troszkę się postarzel. Frances była już zamężna i razem z mężem prowadziła interes Harlingów w Black Hawk. Zebraliśmy się wszyscy w babci salonie, a ja czułem się tak, jakbym nigdy nie wyjeżdżał z domu. Jednego tylko tematu unikaliśmy przez cały wieczór.

Kiedy odprowadzałem Frances po rozstaniu z panią Harling przed jej furtką, powiedziała do mnie: - Słyszałeś zapewne o biednej Antonii?

Biedna Antonia! Teraz już wszyscy będą tak o niej mówili, pomyślałem z goryczą. Wyjaśniłem, że babcia pisała mi, jak to Antonia pojechała do Larry'ego Donovana, tam gdzie pracował, żeby się z nią ożenił, ale ją porzucił, no i ma dziecko. To wszystko, co wiedziałem na ten temat.

- I wcale się z nią nie ożenił - dodała Frances. - Już jej nie widziałam po powrocie od Larryego Donovana. Mieszka na farmie i prawie nigdy nie przyjeżdża do miasta. Raz tylko przyniosła dziecko, żeby pokazać mamie. Obawiam się, że tam już zostanie i będzie harować dla Ambrosza.

Chciałem wykreślić Antonię z moich myśli. Byłem nią gorzko rozczarowany. Nie mogłem jej przebaczyć, że stała się przedmiotem współczucia, podczas gdy Lena Lingard, której ludzie zawsze przepowiadali, że popadnie w kłopoty, była teraz świetną krawcową w Lincoln i osobą szanowaną^w Black Hawk. Lena oddawała swoje serce, kiedy była

zakochana, ale jednocześnie głowę przeznacziała dla interesów i pięła się w życiu coraz wyżej.

W owych dniach modnie było mówić pobłaźliwie o Lenie, a surowo o Tiny Soderball, która w ubiegłym roku wyjechała cichaczem na Zachód, żeby spróbować szczęścia. Pewien człowiek w Black Hawk, który właśnie powrócił z Seattle, przywiózł wieści, że Tiny wcale nie pojechała w nieznane, jak mówiła, ale w określonym celu. Jeden z założycieli przedzalni, który zwykle zatrzymywał się w hotelu pani Gardener, był właścicielem opustoszałej posiadłości nad brzegiem morza w Seattle i zaproponował Tiny, aby założyła interes w jednym z jego pustych domów. Prowadziła teraz pensjonat dla marynarzy. Wszyscy powiadali, że będzie to już koniec Tiny. Nawet gdyby chciała zrobić "porządny lokal", nie dałaby rady; wszystkie pensjonaty dla marynarzy były jednakowe.

Kiedy o tym rozmyślałem, stwierdziłem, że nigdy nie znałem Tiny tak dobrze, jak inne dziewczęta. Pamiętam, jak dreptała żywo na wysokich obcasach po jadalni z ogromną tacą pełną półmisek, spoglądając dość zuchwale na eleganckich mężczyzn, a z pogardą na zaniedbanych, którzy tak się jej bali, że nie mieli odwagi prosić o dwa rodzaje ciasta. Przyszło mi więc na myśl, że może i marynarze boją się Tiny. Jakże bylibyśmy zdziwieni, Frances i ja, gdybyśmy już wiedzieli wtedy, kiedy siedzieliśmy u Frances na frontowym ganku i rozmawiali o Tiny, jaka będzie w rzeczywistości jej przyszłość. Spośród wszystkich dziewcząt i chłopców w Black Hawk Tiny Soderball miała wieść najbardziej awanturnicze życie i osiągnąć najtrwalszy sukces.

A oto dzieje Tiny:

Kiedy prowadziła pensjonat w Seattle, odkryto złoto na Alasce. Górnicy i marynarze powracali z Północy z fantastycznymi opowieściami i workami złota. Tiny patrzyła na złoto i ważyła je w swoich dłoniach. Zbudziła się w niej odwaga, o jaką nikt by jej nie posądzał. Sprzedała swój interes i wyruszyła do Circle City wraz z pewnym cieślą i jego żoną, których nakłoniła, aby z nią pojechali. Dotarli do Skaguay podczas silnej śnieżycy; saniami ciągnionymi przez psy przejechali Chilkoot Pass i popłynęli przez Jukon płaskodennymi łodziami. W Circle City znaleźli się akurat w dniu, kiedy Indianie Siwash przybyli do osiedla z wieścią, że natrafiono na bogatą żyłę złota w górze rzeki, w okolicy potoku Klondike. W dwa dni później Tiny wraz ze swymi przyjaciółmi i prawie wszyscy z Circle City wyruszyli do Klondike ostatnim parowcem płynącym w górę rzeki Jukon przed nastaniem mroźnej zimy. Ludzie z tego statku założyli Dawson City. W ciągu kilku tygodni znalazło się tam półtora tysiąca bezdomnych ludzi. Tiny i żona cieśli zaczęły gotować dla nich posiłki w namiocie. Górnicy podarowali jej działkę pod budowę domu, na której cieśla postawił hotel z drewnianych belek. Tam gotowała nieraz posiłki dla stu pięćdziesięciu osób dziennie. Górnicy przemierzali w rakach dwadzieścia mil ze swoich kopalni, aby kupić u niej świeżego chleba, i płacili złotem.

Tej zimy Tiny miała w swoim hotelu Szweda, który nocą podczas śnieżycy odmroził sobie nogi próbując odnaleźć powrotną drogę do swej chaty. Uważał biedak, że spotkało go wielkie szczęście, bo zaopiekowała się nim kobieta i to mówiąca jego własnym językiem. Kiedy powiedziano mu o konieczności amputowania obu stóp, wyraził nadzieję, że tego nie przetrwa; bo cóż mógłby robić człowiek pracy w tym twardym świecie bez nóg? Zmarł podczas operacji, ale przedtem zdążył jeszcze przekazać Tiny Soderball swoją działkę ze złotem nad Hunkers Creek. Tiny sprzedała hotel, zainwestowała połowę swych pieniędzy w działkach budowlanych w Dawson, a resztę ulokowała w swojej złotodajnej działce. Przeniósł się na dzikie jeszcze tereny

1 tam żyła. Kupowała potem następne działki od zniechęconych górników, wymieniała albo sprzedawała z zyskiem.

Spędziła nad Klondike około dziesięciu lat, po czym wróciła ze znaczną fortuną i zamieszkała w San Francisco. Spotkałem się z nią w Salt Lake City, w 1908 roku. Była szczupła, o surowym wyrazie twarzy, bardzo dobrze ubrana i powściągliwa w sposobie bycia. Dziwne, ale przypominała mi panią Gardener, u której tak długo pracowała w Black

Hawk, Opowiadała mi o różnych swoich desperackich krokach w krainie złota, ale opowieść ta była już pozbawiona dreszczyku, Wyznała nam że zerze, że interesuje ją jedynie pomnażanie pieniędzy. /, ciepłym uczuciem mówiła tylko o dwóch osobach: o Szwedzie, Johnsonie, który podarował jej złodziejami działkę, i o Lenie Ingard. Nakłoniła Lenę, aby przyjechała do San Francisco i otworzyła pracownię,

- Lincoln nie było dla niej odpowiednim miejscem -- powiedziała Tiny. W Utah małym mieście zawsze by o niej pici kowano, FINCO jest w sam raz. Ma tutaj wspaniałą pracownię. Och, jest taka sama jak zawsze! Bez troska, ale zrównoważona. To jedyna ze znanych mi osób, która się nie starzeje. Dla mnie to dobrze, że ona jest tutaj. Jak się potrafi wszystkim cieszyć! Pilnuje mnie, żebym się nie zaniedbywała. Jeżeli uzna, że potrzebna mi nowa sukienka, szyje i przysyła do domu - z odpowiednim rachunkiem, oczywiście!

Tiny lekko utykała, /złotodajna ziemia nad Flunkcr Creek pobierała myło od swych właścicieli. I Tiny ucierpiała od gwałtownej zmiany pogody, podobnie jak biedny John Non. Straciła trzy palce u jednej z tych ładnych małych nóżek, które biegały po Black Hawk w pantofelkach z wikowymi czubkami i prążkowanymi pończochach, Wspominała o swoim okaleczeniu zdawkowo, beznamyślnie. Była zadowolona ze swych osiągnięć, ale nie upojona. Wydawało się, że wygasł w niej żar pasjonowania się czymkolwiek.

II

W niedługi czasy po przybyciu tego lata do domu namówiłem dziadków, aby zrobili sobie zdjęcie, i w tym celu wybrałem się do fotografa, bo chciałem się z nim najpierw umówić, MuNiłem zaczekać, aż wyjdzie z pracowni, u tymczasem obejrzałem wszystkie zdjęcia na ścianach próbując rozpoznać kogoś znajomego: dziewczęta w 81 rojach dyplomowych, wiejskie pary ślubne trzymające się za ręce, rodziny składające się z trzech pokoleń, Wśród tych wszystkich zdjęć zauważyłem portret w grubych ramach, ponure „powiększenie litograficzne”, jakie często spotyka się na farmach w salonie, a na nim dziecko o dużych okrągłych oczach w krótkiej sukieneczce. WyNzedeł fotograf i uśmiechnął się, jakby trochę zażenowany.

• To dziecko Antonii Szimerdy, Pewnie ją pan pamięta, służyła u Larlingów. /Je się stało! A ona jest chyba dumna z tego dziecka. Nawet może nie chciała o tanich ramach. Spodziewam się, że jej brat przyjedzie w Nobotę po ten portret.

Wyszedłem z głębokim przekonaniem, że może się zobaczyć z Antonią. Inna dziewczyna trzymałaby dziecko z dala od ludzi, ale nie Antonia, zdjęcie jej dziecka u fotografa w mieście, i to w grubych złotych ramach, musi być widoczne dla wszystkich. Jakże to do niej podobne! Chyba mi łatwiej przebaczyć, mówiłem sobie, gdyby nie zadużył się z takim ładunkiem.

Larry Donovan był konduktorem w pociągu pasażerskim, jednym z tych kolejarzów arystokratów, którzy boją się, aby ktoś nie poprosił ich o podniecenie oknu w wagonie, a jeśli tak się zdarzy, naciskają w milczeniu guziczek, aby przyszedł posługacz. Larry obnosił tę swoją urzędową powściągliwość nawet na ulicy, gdzie nie było okien w pociągach, które by mogły poniżyć jego godność. Kończąc pracę wychodził obojętnie z pociągu razem z pasażerami, w kapeluszu na głowie, a konduktorami czapką w torbie z krokodylęj skóry, udawał się natychmiast na stację i zmieniał ubranie. Była to dla niego sprawa niezwyklej wagi, aby go nikt poza pociągiem nie zobaczył w granatowych spodniach. Zazwyczaj był chłodny i zachowywał dystans z mężczyznami, ale do kobiet odnosił się z jakąś cichą i pełną powagi familjarnością * ścisnął im dłonie obrzucając jednocześnie znaczącym, wyntudiuowanym spojrzaniem, Zwracał się do wszystkich kobietom, i

zameżnym, I pannom; przechadzał się z nimi przy świetle księżycy użalając się, Jaki popełnił błąd, że nie objął pracy w biurze, j o ile lepiej nadawałby nie na stanowisko naczelnika Ktucji w l)cnvcr niż ten nędznik, który piustuje taki urząd. Pakt,

że jest niedoceniany, był cichym sekretem, którym się dzielił ze swymi ukochanymi, i jakoś zawsze udawało mu się obudzić współczucie w czyimś głupim sercu.

Tego ranka, kiedy byłem już koło domu, dostrzegłem panią Harling na podwórku przy okopywaniu jarzębiny. Lato było suche, nie miała żadnego chłopca do pomocy. Charley krążył na okręcie wojennym po Morzu Karaibskim. Skierowałem się do furtki, którą otworzyłem i zamknąłem z taką samą przyjemnością, jak za dawnych czasów; lubiłem dotykać tej furtki. Wziąłem z rąk pani Harling łopatę, żeby spulchnić ziemię wokół drzewa, a tymczasem pani Harling usiadła sobie na schodach i zaczęła opowiadać o wilgach, które uwiły gniazdo pośród gałęzi jarzębiny.

- Proszę pani - odezwałem się w końcu - chciałbym się dowiedzieć dokładnie, jak to było z tym małżeństwem Antonii.

- Dlaczego nie porozmawiasz na ten temat z lokatorką twego dziadka, z wdową Steavens? Zna tę sprawę najlepiej. Pomagała Antonii przygotować się do ślubu i była z nią, gdy Antonia wróciła. Opiekowała się też nią, gdy urodziło się dziecko. Ona ci może opowiedzieć o wszystkim. Poza tym ma dar opowiadania i niezwykłą pamięć.

III

Pierwszego albo drugiego sierpnia zaprząłem konia do bryczki i wyruszyłem ku wyżynnej krainie, aby odwiedzić wdowę Steavens. Zbiór pszenicy został już zakończony i w wielu miejscach na horyzoncie unosiły się czarne kłęby dymu z parowych młockarek. Stare pastwiska zostały obecnie zamienione w pszeniczne i kukurydziane pola, stopniowo zniknęła też czerwona trawa, zmieniał się cały krajobraz wsi. W miejsce starych lepianek postawiono teraz drewniane chaty z małymi ogródkami i ogromne czerwone stodoły, a wszystko to razem mówiło o szczęśliwych dzieciach, zadowolonych kobietach i mężczyznach, przed którymi roztaczała się pomyślna przyszłość. Wietrzne wiosny i upalne lata wzbogaciły i złagodziły tę płaską równinę; każdy wysiłek, jaki człowiek w nią wkładał, owocował płodnością bujną i długotrwałą. Wszystkie zmiany wydawały mi się piękne i pełne harmonii; przypominało to rozwój wielkiego człowieka albo wielkiej myśli. Znajome mi tu było każde drzewo, piaszczysty brzeg rzeki i pofałdowana dolina. Stwierdziłem, że tak pamiętam kształt tej ziemi, jak ktoś pamięta kształt ludzkich twarzy.

Kiedy dojechałem do naszego starego wiatraka, wyszła powitać mnie wdowa Steavens. Skórę miała brązową jak Indianka, była wysoka i bardzo silna. W dzieciństwie jej masywna głowa przypominała mi zawsze rzymskiego senatora. Natychmiast jej wyjaśniłem, po co przyjechałem.

- Zostaniesz z nami na noc, Jimmy, dobrze? Porozmawiam z tobą po kolacji. Wolę mieć całą robotę za sobą, wtedy mi się lepiej rozmawia. Nie masz chyba nic przeciwko zjedzeniu ciepłego biskwita na kolację. W dzisiejszych czasach niektórzy mają.

Kiedy odprowadzałem konia, usłyszałem pianie koguta. Spojrzałem na zegarek i westchnąłem; była trzecia, a wiedziałem, że będę mógł jeść dopiero po szóstej.

Po kolacji poszedłem z panią Steavens na górę do starego salonu, a jej ponury, milczący brat został na dole | czytał rolnicze gazety. Wszystkie okna były otwarte. Jasny księżyc świecił na zewnątrz, wiatrak leniwie pracował na lekkim wietrzyku. Moja gospodyni postawiła lampę na stoliku w kącie pokoju i przykręciła knot, żeby mniej grzała. Usiadła w ulubionym bujanym fotelu i podstawiła sobie wygodny mały stołeczek pod zmęczone nogi.

- Cierpię na artretyzm, Jim, starzeję się - westchnęła pogodnie. Skrzyżowała ręce na kolanach i usiadła tak, jakby była na jakimś zebraniu.

- A więc chcesz się dowiedzieć wszystkiego o drogiej Antonii? No cóż, przyszedłeś do właściwej osoby. Strzegłam jej tak, jakby była moją własną córką. Tego lata, kiedy miała wyjść za mąż, bywała u mnie codziennie. Szimerdowie nie mieli maszyny do szycia, wszystko więc szykowała sobie u mnie. Nauczyłam ją mureżki, pomagałam kroić

i dopasować suknie. Siedziała sobie przy maszynie koło okna i pedałowała niezamordowanie - była bardzo silna - przez cały czas wyśpiewując te dziwne czeskie piosenki, jakby była najszcześniejszym stworzeniem na świecie.

"Antonio - mawiała - nie szyj tak szybko. Nie przyspieszysz dnia, choćbyś nie wiem jak chciała".

Wtedy się śmiała i zaczynała pedałować trochę wolniej, ale niedługo zapomniała, i znowu pedałowała w tym samym tempie, cały czas śpiewając. Jeszcze nigdy nie widziałam dziewczyny, która by się tak przygotowywała na dobrą gospodynię. Od Harlingów dostała piękne obrusy, a Lena Lingard przysłała jej z Lincoln dużo ładnych rzeczy. Zrobiliśmy mereżkę we wszystkich obrusach i poszewkach na poduszki, a także w niektórych prześcieradłach. Stara pani Szimerda zrobiła jej mnóstwo koronki do bielizny. Antonia opowiadała mi, jak urządzi swój dom. Kupiła nawet srebrne łyżki i widelce, które trzymała w kufierku. Ciągle pilnowała brata, żeby jeździł na pocztę. Jej chłopak pisał do niej dość często z różnych miast, do których jeździł.

Po raz pierwszy zmartwiła się, kiedy jej napisał, że w jego pracy zaszły zmiany i będą musieli zamieszkać w Denver. "Jestem wiejską dziewczyną - powiedziała - i nie wiem, czy będę sobie dobrze radzić w mieście. Chciałam mieć kurczaki, a może nawet krowę!" Ale zaraz potem się rozweseliła. Wreszcie dostała list z wiadomością, kiedy ma przyjechać. Była podniecona, otworzyła kopertę i zaczęła czytać tu, w tym pokoju. Chyba już zaczęła się niepokoić długim oczekiwaniem, choć nigdy tego po sobie nie pokazała.

Potem przyszedł czas pakowania. Było to w marcu, o ile dobrze pamiętam, straszne błoto, ślota, kiepskie drogi, ciężko było przewieźć jej rzeczy do miasta. Ale tym razem, muszę przyznać, Ambrosz zachował się jak trzeba. Pojechał do Black Hawk i kupił jej sztucze platerowe w czerwonym aksamitnym pudełku, całkiem dla niej odpowiednie. Dał jej też trzysta dolarów, widziałam czek. Zgromadził zarobione przez nią pieniądze jeszcze w pierwszych latach, gdy się najmowała do pracy i muszę powiedzieć, że było to ładne z jego strony. Uścisnęłam mu dłoń w tym pokoju.

"Ambrosz, postępujesz jak prawdziwy mężczyzna - powiedziałam - cieszę się, mój chłopcze".

Był zimny, dżdżysty dzień, kiedy odwoził ją i trzy kufry do Black Hawk, skąd wieczornym pociągiem odjeżdżała do Denver; skrzynki zostały już wysłane wcześniej. Zatrzymał wóz koło naszego domu i przybiegła, żeby się pożegnać. Zarzuciła mi ręce na szyję i ucałowała, dziękując za wszystko, co dla niej zrobiłam. Była tak szczęśliwa, że płakała i śmiała się na przemian, a zaróżowione policzki miała mokre od deszczu.

"Mogłabyś się podobać każdemu mężczyźnie" - powiedziałam patrząc na nią.

Uśmiechnęła się jakby przelotnie i szepnęła: "Żegnaj, mój drogi domu" - po czym pobiegła do wozu. Uważam, że miała na myśli i ciebie, i twoją babcię, no i mnie, więc ci to powtarzam. Ten dom był dla niej zawsze schronieniem.

Za kilka dni otrzymaliśmy list z wiadomością, że bezpiecznie dojechała do Denver i że on ją tam oczekiwał. Wkrótce mieli się pobrać. Czekał tylko na awans przed ślubem, jak mówił. Nie podobało mi się to, ale nic nie mówiłam. W następnym tygodniu Julka dostała pocztówkę, na której było napisane, że "czuje się dobrze i jest szczęśliwa". Potem już nie mieliśmy żadnej wiadomości. Minął miesiąc i stara pani Szimerda zaczęła się niepokoić, a Ambrosz był w stosunku do mnie tak niechętny, jakbym to ja wybrała tego mężczyznę i ich wyswatała.

Któregoś wieczora brat William wszedł do domu i powiedział, że jak wracał z pola, to minął go wynajęty wóz z miasta, wyjeżdżający od zachodniej drogi. Na przednim siedzeniu obok woźnicy stał kufer, a za nim drugi. Z tyłu siedziała kobieta cała

owinięta szalem, ale mimo to wydało mu się, że jest to Antonia Szimerda albo Antonia Donovan, zależy, jak się teraz nazywa.

Nazajutrz rano kazałam bratu, aby mnie zawiózł do Szimerdów. Mogę jeszcze chodzić, ale moje nogi nie są już takie jak dawniej i trochę się oszczędzam. Na sznurach przed domem wisiało pranie, choć był to środek tygodnia. Kiedy podjechaliśmy bliżej, serce we mnie zamarło - bielizna,

którą tak pieczołowicie szyłyśmy, powiewała teraz na wietrze. Wyszła Julka z pełną miednicą prania, ale natychmiast umknęła do domu, jakby nie chciała nas widzieć. Weszłam do środka, a Antonia stała nad balią i wykańczała duże pranie. Pani Szimerda kręciła się koło swojej roboty i wyrzekała. Nawet nie podniosła na mnie oczu. Antonia wytarła rękę o fartuch i wyciągnęła ją do mnie, przyglądając mi się spokojnie, ale ze smutkiem. Kiedy wzięłam ją w ramiona, odsunęła się. "Lepiej nie, pani Steavens - powiedziała - bo się rozpłaczę, a bardzo tego nie chcę".

Poprosiłam, aby wyszła ze mną na dwór. Wiedziałam, że nie może swobodnie ze mną rozmawiać przy matce. Wyszła z gołą głową i skierowałyśmy się w stronę ogrodu.

"Nie jestem mężatką, proszę pani - mówiła do mnie bardzo spokojnie - a powinnam być".

"Och, moje dziecko - ja na to - co ci się przydarzyło? Nie obawiaj się i powiedz mi wszystko!"

Usiadła w bruzdzie, tak żeby nie widać jej było z domu. "Uciekł ode mnie - zwierzyła się. - Myślę, że w ogóle nie miał zamiaru żenić się ze mną".

"Powiedasz, że rzucił pracę i wyjechał z kraju?" - szepnęłam.

"Nie miał żadnej pracy. Wyrzucono go, znalazł się na czarnej liście za pobieranie opłat do własnej kieszeni. Nie wiedziałam. Myślałam, że go źle potraktowano. Był chory, jak przyjechałam. Wyszedł właśnie ze szpitala. Żył ze mną, póki nie wydałam wszystkich pieniędzy, a potem zorientowałam się, że wcale nie stara się o pracę. Któregoś dnia nie wrócił. Pewien miły człowiek na stacji powiedział mi, kiedy go szukałam, żebym dała spokój, bo Larry chyba zszedł na złą drogę i już więcej nie wróci. Pojechał podobno do Old Mexico. Konduktorzy się tam bogacą pobierając od ludzi opłaty o połowę niższe i okradając towarzystwo. Zawsze opowiadał o tych ludziach, którzy w ten sposób się bogacą".

Spytałam, dlaczego nie nalegała choćby na ślub cywilny, miałyby go wtedy w swoich rękach. Biedne dziecko, oparła głowę na dłoniach i powiedziała: "Sama nie wiem, czemu tego nie zrobiłam. Pewnie wyczerpałam się tak długim oczekiwaniem. Uważałam, że jak się przekonam, ile dobrego mogę dla niego zrobić, sam będzie chciał być razem ze mną".

Wierz mi, Jimmy, usiadłam obok niej i popadłam w rozpacz. Płakałam jak małe dziecko. Nie mogłam nad sobą zapanować. Mało mi serce nie pękło. Był cudowny, ciepły dzień majowy, wiał wiatr, na pastwiskach hasały żrebaki, a ja byłam załamana. Moja Antonia, taka dobra dziewczyna, wróciła znieśławiona. A ta Lena Lingard, takie byle co, tak dobrze ułożyła sobie życie. W każde lato przyjeżdża do domu w jedwabiach i satynach i tyle robi dla matki. Oddaję sprawiedliwość, komu się należy, ale sam dobrze wiesz, Jimmie Burden, że obie te dziewczyny miały zupełnie inne zasady w życiu. No i ta dobra zaznała tylko bólu! Nie potrafiłam jej pocieszyć. Podziwiałam jej spokój. Kiedy wracałyśmy do domu, zatrzymała się, żeby sprawdzić, czy bielizna schnie, i wydawała się być dumna z jej białości - powiedziała, że mieszkała w murowanym domu i nie miała odpowiednich warunków do prania.

Po raz drugi zobaczyłam Antonię na polu przy pługu. Całą wiosnę i lato pracowała na farmie jak mężczyzna; wydawało się to samo przez się zrozumiałe. Ambrosz nie miał nikogo innego do pomocy. Biedny Marek stał się niebezpieczny i już dawno odesłano go do zakładu. Nigdy nie oglądaliśmy Antonii w żadnej z tych ładnych sukienek. W ogóle nie wyjmowała ich z kufra. Była spokojna i zrównoważona. Ludzie podziwiali jej pracowitość i starali się tak zachowywać, jakby nic się nie zdarzyło. Mówili na jej temat, to oczywiście; więcej by mówili, gdyby zachowywała się wyniośle.

Ale była tak przybita i cicha, że nikt już nie chciał jej ponizać. Nigdzie nie chodziła. Przez całe lato ani razu do mnie nie wstąpiła. Z początku byłam dotknięta, ale później pomyślałam, że zbyt wiele wspomnień kojarzy jej się z tym domem. Ilekroć mogłam, ją odwiedzałam, tylko że jak ona wracała z pola, to ja w tym czasie miałam najwięcej roboty tutaj. Mówiła tylko o zbożu i pogodzie, jakby nigdy nie miała innych zainteresowań, a jak poszłam do niej wieczorem, zawsze sprawiała wrażenie zmęczonej.

Bolały ją zęby; psuły się, jeden po drugim, często chodziła ze spuchniętą twarzą. Do dentysty w Black Hawk nie chciała jechać, żeby nie spotkać kogoś znajomego. Ambroszowi przeszła dobroć już dawno i był jak zawsze gburowaty. Kiedyś powiedziałam mu, że nie powinien pozwalać Antonii tak ciężko pracować. Odparł na to: "Jeżeli tylko to chce jej pani kłaść do głowy, to lepiej niech pani nie przychodzi". Więc przestałam przychodzić. Antonia pracowała przy żniwach i młócce, ale do sąsiadów na młóckę już chodzić nie śmiała, tak jak dawniej, gdy była młoda i swobodna. Częściej zaczęłam ją widywać dopiero jesienią, kiedy pasła bydło Ambrosza na otwartych pastwiskach od północy, ciągnących się aż po wielkie siedlisko psów preriowych. Nieraz pędziła je za zachodnie wzgórze, a wtedy wychodziłam do niej i szłyśmy razem kawalek. Miała trzydzieści sztuk w stadzie; była susza, trawa krótka, dlatego przypędzała je aż tak daleko.

Jesień była ładna, a ona lubiła być sama. Kiedy buhaje się pożywiały, siadała na porośniętych trawą zboczach wzdłuż rowów i godzinami się wygrzewała w słońcu. Jeśli nie wypuszczała się daleko, ja wymykałam się z domu i dołączałam do niej.

"Chyba powinnam robić koronki albo jakąś robótkę na drutach, tak jak Lena - powiedziała któregoś dnia - ale ledwie coś zacznę, to się zaraz rozglądam i zapominam

O wszystkim. Wydaje się, że tak niedawno bawiliśmy się tutaj z Jimem Burdenem. Wszędzie dokoła napotykałam miejsca, na których zatrzymywał się mój ojciec. Myślę nieraz, że nie będę długo żyła, dlatego tak się cieszę każdym dniem tej jesieni".

Potem zimą nosiła długi męski płaszcz i buty, i nawet męski kapelusz z szerokim rondem. Obserwowałam ją zawsze, jak przechodziła, i widziałam, że jej kroki stają się coraz cięższe. Któregoś dnia w grudniu zaczął padać śnieg. Widziałam, jak późnym popołudniem pędziła do domu bydło przez wzgórze. Śnieg sypał obficie, toteż szła pochylona

I wydała mi się jakoś bardziej samotna niż zwykle. "Boże drogi - powiedziałam do siebie - czemu ta dziewczyna

wraca tak późno! Nim dopędzi bydło do zagrody, zrobi się całkiem ciemno". Musiała się już czuć słabo i nie miała siły wstać i wcześniej przypędzić bydło.

Stało się to tego właśnie wieczoru. Przyproceedziła bydło do domu, wpuściła do zagrody, a sama zamknęła się w swoim pokoju za kuchnią. Tam, nikogo nie wzywając, nie jęknąwszy nawet, położyła się na łóżku i urodziła dziecko.

Podawałam kolację, gdy pani Szimerda wpadła kuchennymi schodami bez tchu, wołając:

"Dziecko jest, dziecko jest! Ambrosz jak diabeł!"

Mój brat William jest niewątpliwie spokojnym człowiekiem. Miał właśnie zasiąść do gorącej kolacji po długim dniu pracy w polu. Bez słowa wstał, poszedł do stajni i zaprzągnął konie. Zawiózł nas najszybciej, jak się tylko dało. Z miejsca zajęłam się Antonią, ale ona leżała z zamkniętymi oczami i wcale nie zwracała na mnie uwagi. Matka nalała do balii ciepłej wody, żeby umyć dziecko. Zerknęłam na to, co robi, i powiedziałam głośno: "Pani Szimerda, niech pani nie dotyka dziecka tym ostrym, szarym mydłem. Porobią mu się pęcherze". Byłam oburzona.

"Proszę pani - odezwała się Antonia - gdyby zechciała pani zajrzeć do mego kufra, znalazłaby tam pani mydło".

- Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedziała.

Ubrałam dziecko i pokazałam Ambroszowi. Mruczał coś siedząc za stołem i nawet nie chciał spojrzeć.

"Radzę to wrzucić do beczki z wodą deszczową"

- burknął.

“Słuchaj, Ambrosz - ja na to 1 pamiętaj, że w tym kraju obowiązuje prawo. Stwierdzam jako świadek, że to dziecko przyszło na świat zdrowe i silne i będę czuwać nad nim”. Byłam dumna, że go tak nastraszyłam.

No cóż, myślę, że się nie interesujesz specjalnie dziećmi, ale Antonia miewa się dobrze. Pokochała to dziecko od pierwszej chwili tak, jakby miała na palcu obrączkę, i nigdy się go nie wstydzi. Ma teraz rok i osiem miesięcy i chyba trudno byłoby znaleźć bardziej zadbane dziecko. Antonia to urodzona matka. Chciałabym, żeby wyszła za mąż i miała rodzinę, ale nie wiem, czy teraz byłoby to możliwe.

Spałem w tym samym pokoju, w którym sypiałem w dzieciństwie; przez otwarte okna wiał letni wiatr niosąc z sobą zapach dojrzałych pól. Leżałem wpatrując się w księżyc wiszący nad stajnią, stertami siana i stawem, i w wiatrak rysujący się mrocznym cieniem na tle nieba.

IV

Po południu wybrałem się do Szimerdów. Julka pokazała mi dziecko i powiedziała, że Antonia wiąże w snopki pszenicę na polu od południo-zachodu. Udałem się w tę stronę, Antonia dostrzegła mnie już z daleka. Stała przy snopkach oparta o widły i patrzyła na mnie. Spotkaliśmy się jak w starej piosence, w milczeniu, jeśli nie we łzach. Jej ciepła dłoń ujęła moją.

- Wiedziałam, Jim, że przyjedziesz. Słyszałam, że wczoraj wieczorem przyjechałeś do pani Steavens. Czekałam na ciebie cały dzień.

Była szczuplejsza niż dawniej i wydawała się, tak jak mówiła pani Steavens, bardzo spracowana, ale na jej poważnej twarzy malowała się teraz jakaś nowa siła, a cera świadczyła o zdrowiu i energii. A jednak? Nagle przemknęła mi myśl, że choć tyle zdarzyło się już w jej życiu i moim, miała zaledwie dwadzieścia cztery lata.

Antonia wbiła widły w ziemię i instynktownie poszliśmy w stronę nie zaoranego skrawka ziemi na rozstaju dróg, bo w tym miejscu najdogodniej mogliśmy porozmawiać. Usiedliśmy przy obwisłym ogrodzeniu z drutu, który oddzielał kawałek ziemi pana Szimerdy od reszty świata. Wysoka czerwona trawa nigdy tu nie była koszona. Zamierała zimą, budziła się do życia wiosną i krzewiła się bujnie jak trawa w tropikalnych ogrodach. Zacząłem opowiadać Antonii o wszystkim: dlaczego postanowiłem studiować prawo i pracować w biurze prawnym u jednego z krewnych mojej matki w Nowym Jorku, o Gastonie Clericu, który zmarł zimą na zapalenie płuc i jaki to wywarło wpływ na moje życie. Chciała wiedzieć wszystko o moich przyjaciółach, o życiu, jakie prowadzę, o moich nadziejach.

- To znaczy, że opuszczasz już nas na zawsze - powiedziała z westchnieniem. - Nie znaczy to jednak, że cię utracę. Spójrz tutaj na mego ojca. Już od tylu lat go nie ma, a jednak żyje dla mnie jak mały kto. Zawsze jest obecny w moim życiu. Rozmawiam z nim i ciągle zasięgam jego rady. Im jestem starsza, tym lepiej go poznaję 1rozumiem.

Spytała, czy polubiłem duże miasta.

- Ja byłabym nieszczęśliwa w mieście. Umierałabym z samotności. Lubię być tutaj, gdzie znam każdy kamień, każde drzewo, gdzie cała ziemia jest przyjazna. Chcę tutaj żyć i umrzeć. Ojciec Kelly powiada, że każdy ma coś do spełnienia na tym świecie i ja wiem, jakie mam zadanie. Postaram się, aby moja mała córeczka miała lepsze życie niż ja. Roztoczę dobrą opiekę nad tą dziewczynką, Jim.

Powiedziałem, że jestem o tym głęboko przekonany. - Wiesz, Antonio, że odkąd stąd wyjechałem, myślę o tobie więcej, niż o kimkolwiek z tych stron. Chciałbym, abys była moją ukochaną albo żoną, matką albo siostrą - czym tylko kobieta może być dla mężczyzny. Wypełniasz moje myśli. Ty wywierasz wpływ na to, co lubię albo nie lubię, na wszystkie moje upodobania, choć wielokrotnie nawet sobie z tego nie zdaję sprawy. Jesteś naprawdę nieodłączną częścią mego życia.

Zwróciła na mnie swoje żywe, ufne oczy, do których powoli napływały łzy. - Jak to możliwe? Przecież znasz tyle ludzi, a ja tak cię rozczarowałam! Nie jest to cudowne, Jim, że ludzie tak wiele mogą dla siebie znaczyć? Cieszę się, że spędziliśmy razem dzieciństwo. Nie mogę się doczekać, aby moja mała córeczka urosła i abym jej mogła opowiadać o wszystkim, co robiliśmy. Zawsze będziesz mnie pamiętał wspominając

dawne czasy, prawda? A sądzą, że każdy wspomina przeszłość, nawet ludzie najszcześliwsi.

Kiedy wracaliśmy w stronę domu przez pola, słońce opadło nisko i leżało niby wielki złoty glob na zachodzie. Jednocześnie na wschodzie pojawił się księżyc, tak ogromny

Jnk kolo u wo/iii JawioMrobr/yMy, z różowymi epikami, ulotny juk bańka mydlana albo kidożyc-wldmo, Prieo* pięć, a mota ri/loulęc miniil le dwa dała niebieskie fipojllifilnly na niebie ponad pianki) równina, odpoe/ywujae na pr/odwlcg* lyci krańcach świała,

W lym n/c/ogólnym śwlolle każde drzewo, każdy inop piwnicy, każdy nlonc/nlk, każdy krzak kaliny wyciągał nłę wzdluż i zaoNlrzul iwojo kN/lally; każda gruda zimni l każda bru/da na polu zdawały uię oitro ulere/eć w górę, Odczułem ln dawnti przyciąganie ziemi, olchy c/ar, jaki nim ml *lę /, lyci pól wraz / zapadającą nuci).

Chciałem być znowu ma lym chłopcem 1 żeby Już lulaj końc/yla idę droga mogo życia,

DoN.liAmy do końca pola, gdzie nan/e dnogl ałę rozchodziły, Ująłem jej ręce l nrzyciimałem do plewi, c/ujae raz Jen/c/r, jakie wilno, donie l dobre Mił le bri//owe ręce, i przypominając nobla, Ile dobrego dla mnlo zrobiły, Trzyma lem Je długo tuż przy moim Norcii, Ko bil o idę coraz ciemniej wokół naft, ni unia Min wyicznć w/,rok, aby wid/leć Jej twarz, której obraz chciałem zabrać ze nul aj na /IWN/O; najbliži/it, naJprawdziwNzu iwaiz npośród cieniów kobiecych twarzy lkwiljnych w najgłęw/yh c/elu4cincli mej pamięci, Wróczę powiedziałem żarliwie, pośród łagodnej, iiapleiijacoj ciemności,

Myć mota wyczułem raczej, niż wid/lałem Jej uAmiech, Jednakta nawel jeśli ule wrócili/, l lak /awn/e lulaj będzie*/, podobnie jak mój ojciec. Nie będę więc oiaimnl niona,

H/edłom znajomą mi drogll i niemal czułem, że chłopiec i dziewczynko biegną ^M mnie, jak dawniej IMN/O cienie, śmiejąc Nie l fx#poxąo do Mielito pośród traw, KHltyIM IMA IA

C chłopcy (ti/iikii

l

1'owiod/lałem Anlonii, że wróczę, ale życie wcinany!" mnlo w NWÓJ wir i upłynęto dwnd/leAcla lal, nim dotrzymalim danej obietnicy, Co pewien e/an otrzymywałem wieleł

0 niej: że wyu/ła /a niilż, i lo niedługo po lym, jak / nlij wid/,lalom, /a młodego (/echa, kuzyna Antonii lelnka; że mii biedni i maja duża rml/taę llylem kiedyś /a ^malcn 1 poleeliałem tło ('m li, a z Pfflgl wyntałem Anloaii loiogra/le JoJ rod/innej wid, Po kilku mieftiijcacli doniałem ud alej lim, w którym wymieniła lmiona iwoteh lic/uyh d/leci, ule po/a lym prawio nie więcej, lylko nlo podpiniała; "TwoJfl filara przyjaciółka Antonia Cu/ak", (idy npotkełem «ię / l iny Soderball w Sali l ake, powied/intii ml, że Anlonii nio/byi dohr/e nłę wied/le, że uujż, jenl nłahowlty, a mm IIIH raczej ciężkie życie, Chyba lo ze zwykłego tchór/onlwii ale wybiorą lem nlo lam lak długo, Kilka ra/y du reku Jeździłem na Zachód w nprawacli zawodowych i zawsze podświadomie myślałem o /alr/ymauii nlo w Nebrnncie i odwiedzeniu Antonii, (nii'b jednak odkładałem to do luuaępiiej podróty Nie chciałem uji/rć Anlonii nłarej i nleianej żydem, naprawdę bałem nio tego, W przeciągu dwud/ienlu wypełnionych ro/mailymi wydar/enlaiul lal może nie i/lowlek wy/hyc wiolo złudzeń, /u nic jednak uio ciułałem aiiacić /lad/eii z dzieciństwa, (Niektóre wnponiulemn »i| rm/ywln|oi»cll|

i Ui hard/iej ronina niż wn/yntko, co ni? może kiedykolwiek polem przydarzyć]

l.eiilo l,Innnnl /awd/lec/nm, żc nłę wic»/(ie wyhridem do Anlonii, Dwa lala lenili pojechałem do Sun Irimeinco w loclo, kiedy zarówno l ona. jak l liny Noderhidl hyly w mieAcio, l iny mion/ku we wlnnym domu, a l ono nut pracownio w wynajętym lokalu w narożnym domu, (iekuw

byłem zobaczyć te dwie kobiety razem po tylu latach. Tiny sprawdza co pewien czas rachunki Leny i inwestuje jej pieniądze. Lena zaś troszczy się o to, żeby Tiny nie zrobiła się skąpa. - Co jest dla mnie najbardziej odrażające - powiedziała w obecności Tiny - to chytrość u bogatej kobiety. - Na ponurej twarzy Tiny pojawił się uśmiech i zapewniła mnie, że Lena nigdy nie będzie ani chytra, ani bogata. - I wcale nie chcę być - orzekła Lena zadowolona z siebie.

Lena opowiedziała mi z humorem o Antonii i bardzo zachęcała, żebym ją odwiedził.

- Naprawdę powinienes, Jim. Sprawisz jej tyle radości. Nie zwracaj uwagi na to, co Tiny mówi. Nic złego nie można powiedzieć o Cuzaku. Polubisz go. Nie jest przedsięwzięty, to prawda, ale z kolei mężczyzna energiczny i brutalny nie pasowałby do Antonii. Ma ładne dzieci, dziesięcioro albo jedenaścioro jak do tej pory. Ja bym nie chciała mieć tak licznej rodziny, ale Antonia to lubi. Będzie zachwycona, że może ci je pokazać.

Jadąc na Wschód zatrzymałem się w Hastings w Nebrasce, wynająłem otwarty powóz i dobre konie i wyruszyłem na poszukiwanie farmy Cuzaków. Wczesnym popołudniem wiedziałem już, że muszę być blisko celu. Po prawej stronie, na lekkim wzniesieniu, ujrzałem spory dom, obok czerwoną stodołę, jesionowy gaj oraz pastwiska dla bydła opadające w dół aż do samej drogi. Zatrzymałem konie zastanawiając się, czy nie wjechać właśnie tutaj, gdy usłyszałem jakieś szepty. Przede mną, pośród śliwkowych gąszczy przy drodze, zobaczyłem dwóch chłopców pochylonych nad martwym psem. Mniejszy, który mógł mieć cztery albo pięć lat, klęczał ze złożonymi rękami, a gołą głowę z krótko przystrzyżonymi włosami opuścił nisko w głębokim smutku. Drugi stał obok trzymając mu rękę na ramieniu i pocieszał go w języku, którego już dawno nie słyszałem. Zatrzymałem przy nich konie, a wtedy starszy wziął brata za rękę i podszedł do mnie. On też sprawiał wrażenie mocno zgnębionego. Było to dla nich niewątpliwie smutne popołudnie.

- Czy jesteście synami pani Cuzak? - spytałem.

Młodszy nawet nie podniósł głowy, był zatopiony we własnych przeżyciach, ale starszy spojrzał na mnie szarymi, inteligentnymi oczami. - Tak, proszę pana.

- Czy pani Cuzak mieszka na tym wzgórzu? Chciałbym się z nią zobaczyć. Wsiadajcie, pojedziemy razem.

Spojrzał na opierającego się młodszego brata. - My chyba pójdziemy. Otworzymy panu bramę.

Wjechałem na boczną ścieżkę, za mną szli chłopcy. Kiedy zatrzymałem się przy wiatraku, jeszcze jeden chłopiec, bosi i z kędzierzawą głową, wybiegł ze stodoły, aby uwiązać moje konie. Ładny to był chłopak, o jasnej cerze z piegami, rumianych policzkach i rudych, gęstych włosach, które wijąc się opadały mu na szyję. Uwiązał konie dwoma poruszeniami rąk i skinął głową, gdy spytałem, czy matka jest w domu. Spojrzał na mnie, a na jego twarzy pojawiły się dołeczki w uśmiechu niestosownego rozbawienia, po czym jednym susem wskoczył do wiatraka z niefrasobliwością, w której dostrzegłem pewne lekceważenie. Zdawałem sobie sprawę, że zerka na mnie stamtąd, jak wchodzę do domu.

Dokoła kręciły się kaczki i gęsi kwacząc i gęgając. Na schodach ganku wygrzewały się białe koty pośród żółtych dyni. Zajrzałem przez drucianą siatkę do dużej, widnej kuchni z białą podłogą. Zobaczyłem długi stół, rząd krzesel pod ścianą i lśniący piec w rogu. Dwie dziewczynki zmywały naczynia śmiejąc się i gwarząc, a mała dziewczynka w krótkim fartuszkach siedziała na stołku i bawiła się szmacianą lalką. Kiedy spytałem o mamę, jedna z dziewcząt rzuciła ścierkę, pobiegła bezszelestnie na bosaka przez

kuchnię i zniknęła. Starsza, w pantoflach i pończochach, podeszła do drzwi, aby mnie zaprosić do środka. Była to hoża ciemnowłosa dziewczyna, w której oczach widziałem spokój i opanowanie.

*- Zechce pan wejść, mama będzie za chwilę.

Nim zdążyłem usiąść na krześle, które mi podała, stał się cud; prawdziwy spokój ogarnął moje serce, ten rodzaj spokoju, który daje człowiekowi odwagę o wiele większą

niż życie pełne emocji i gwaru. Weszła Antonia i stanęła przede mną; silna, opalona, o płaskich piersiach i ciemnych falujących włosach, lekko szpakowatych. Był to, oczywiście, szok. Musi być, kiedy się ludzie spotkają po tylu latach, a zwłaszcza gdy kobieta żyje tak intensywnie i tak ciężko pracuje. Oboje staliśmy patrząc na siebie. Oczy, które niespokojnie na mnie spoglądały... tak, to były oczy Antonii. Nie widziałem takich od czasu, gdy po raz ostatni w nie patrzyłem, choć widziałem potem tysiące ludzkich twarzy. Im dłużej na nią patrzyłem, tym mniejsze zmiany dostrzegałem, a tym wyraźniej dawną Antonię. Oto stała przede mną, pełna życia, zniszczona, ale wcale nie poniżona; patrzyła na mnie i mówiła tym lekko zachrypniętym, ożywionym głosem, który tak dobrze pamiętałem.

- Męża nie ma w domu, proszę pana. Ale może ja mogę coś załatwić.

- Nie pamiętasz mnie, Antonio? Czyżbym się aż tak zmienił?

Przymrużyła oczy w padającym ukośnie słońcu, w którym jej brązowe włosy nabruły rudawego odcienia. Nagle oczy jej otworzyły się szerzej, a i cała twarz jakby się powiększyła. Westchnęła i wyciągnęła obie spracowane ręce.

- To przecież Jim! Anna, Julka, to Jim Burden! - Ledwie zdążyła chwycić mnie za rękę, a już spojrzała przerażona.

- Co się stało? Ktoś może umarł?

Poklepałem ją po ramieniu.

- Skądże znowu! Nie przyjechałem tym razem na pogrzeb. Wysiadłem z pociągu w Hastings i przyjechałem odwiedzić ciebie i twoją rodzinę.

Puściła moje ręce i zaczęła się krzątać pospiesznie. - Anton, Julka, Nina, gdzież, wy się wszyscy podziewacie? Anna, biegnij po chłopców. Gdzieś tam są pewnie przy tym psie. I zawołaj Leo. Gdzie jest ten Leo?! - Powyciągała ich ze wszystkich kątów i sprowadzała je, jak kotka swojej kociaki.

- Chyba zaraz nie odjeżdżasz, Jim, prawda? Najstarszego syna nie ma w domu. Pojechał z ojcem na targ w Wilber. Nie pozwolę ci odjechać! Musisz pozostać i zobaczyć

Rudolfa i naszego tatę. - Popatrzyła na mnie błagalnie dysząc z podniecenia.

Zapewniłem ją, że będziemy mieli dużo czasu. Coraz to jakiś bosonogi chłopak wślizgiwał się do kuchni i wszyscy gromadzili się wokół matki.

- No więc, powiedz mi teraz, jak mają na imię i kto ma ile lat.

Wymieniła wszystkich po kolei trochę się myląc w ich wieku, na co parskali śmiechem. W końcu doszła do mego szybkoconego przyjaciela z wiatraka: - A to jest Leo, ma już tyle lat, że na pewno powinien być grzeczniejszy, niż jest.

Podbiegł do niej i zabawnie szturchnął ją kędzierzawą głową, jak młody baran, lecz w głosie jego była prawie że rozpacz: - Zapomniałaś! Zawsze zapominasz o mnie. To brzydko! Proszę, mam, powiedz mu! - Zacisnął pięści okropnie strapiony i wpatrywał się w nią natarczywie.

Owinęła sobie wskazujący palec jego złotym runem i pociągnęła. - No więc, ile masz lat?

- Dwanaście - powiedział bez tchu, patrząc na matkę, nie na mnie. - Mam dwanaście lat i urodziłem się w Wielkanoc.

Potwierdziła to skinieniem głowy. - Prawda. To wielkanocne dziecko.

Wszystkie dzieci spojrzały na mnie, jakby oczekując zdziwienia albo zachwyty z powodu tej wiadomości. Jak widać wszyscy nawzajem byli z siebie dumni, a także i z tego, że było ich tak wiele. Kiedy już dzieci zostały przedstawione, Anna, najstarsza córka, która mnie powitała, wysłała gdzieś wszystkie dzieci i przyniosła biały fartuch, by zawiązać matce.

- Posiedź sobie, mamó, i porozmawiaj z panem. My skończymy zmywanie, nie będziemy przeszkadzać.

Antonia rozejrzała się bardzo roztargniona. - Dobrze, dziecko, ale może zaprowadzilibyśmy gościa do salonu, skoro jest taki ładny?

Córka uśmiechnęła się pobłaźliwie i wzięła ode mnie kapelusz. - Zostań już tutaj, mamusiu, rozmawiajcie sobie, a ja z Julką będziemy się przysłuchiwać. Salon możesz

pokazać potem. - Uśmiechnęła się do mnie i poszła zmywać naczynia z siostrą. Mała dziewczynka ze szmacianą lalką znalazła sobie miejsce na najniższym stopniu wewnętrznych schodów na tyłach kuchni i usiadła z podwiniętymi palcami u nóg wpatrując się w nas z oczekiwaniem.

- To Nina, po Ninie Harling - wyjaśniła Antonia. - Czy nie ma oczu podobnych do Niny? Powiadam ci, Jim, kochałam was, wszystkie dzieci, jak swoje własne. Te dzieci wiedzą wszystko o tobie, o Charleyu, o Sally, tak jakby razem z wami się wychowywały. Właściwie to wcale nie mogę zebrać myśli, tak jestem wzruszona. I zapomniałam mówić po angielsku. Nieczęsto rozmawiam. Mówię dzieciom, że kiedyś znałam angielski dobrze. - Powiedziała, że w domu mówią po czesku. Małe dzieci zupełnie nie znały angielskiego, dopiero uczyły się w szkole.

- Nie mogę uwierzyć, że to ty siedzisz w mojej kuchni. Nie poznałbyś mnie, prawda Jim? Ty wciąż jesteś młody. Ale mężczyźni jest zawsze łatwiej, Anton też nie wygląda starzej, niż kiedy za niego wychodziłam. Zęby ma wciąż ładne. Mnie niewiele zostało. Ale czuję się młoda jak dawniej i dużo mogę robić. Och, teraz już nie musimy tak ciężko pracować. Mamy dużo pomocników, papa i ja. A ty ile masz dzieci, Jim?

Wyznałem, że nie mam wcale, co ją wprawiło w zakłopotanie. - Och, to niedobrze! A może byś tak wziął któreś z tych moich niedobrych! Leo, on jest najgorszy. -

Pochyliła się w moją stronę z uśmiechem. - Ale najwięcej go kocham - szepnęła.

- Mamo! - dwie dziewczynki pochylone nad zmywaniem zgromiły cicho matkę.

Antonia podrzuciła głowę i roześmiała się. - Nic na to nie poradzę. Wiecie o tym dobrze. Może to dlatego, że się urodził w Wielkanoc, sama nie wiem. Ciągłe psoci, ani minuty nie ma spokoju.

Przyglądając się jej pomyślałem, jak niewielkie znaczenie mają na przykład jej zęby. Znam tyle kobiet, które zachowały to wszystko, co ona straciła, ale przygaś w nich ten jakiś wewnętrzny blask. Antonia nie utraciła życiowej werwy. Jej

MOJA ANTONIA 207

brązowa, stwardniała skóra nie była zwiotczała, nie odnosiło się wrażenia, że została pozbawiona soków żywotnych.

Podczas naszej rozmowy wszedł mały chłopczyk, którego nazywano Janem, i usiadł na stopniu koło Niny, pod osłoną schodów. Miał na spodniach zabawny, długi, pasiasty fartuch, niczym kitel, a włosy przycięte tak krótko, że wydawał się prawie łysy. Patrzył na nas szarymi, pełnymi smutku oczami.

- Chciałby ci mamo, opowiedzieć o psie. Znaleźli go nieżywego - powiedziała Anna przechodząc koło nas do kredensu.

Antonia przywołała do siebie chłopca skinieniem ręki. Stał przy jej krześle i kręcąc w drobnych palcach troczki od jej fartucha opowiadał wszystko cicho po czesku, a łzy przesłaniały mu oczy i spływały z długich rzęs. Matka słuchała, uspokajała go, po czym szepem coś mu obiecała, a wtedy na twarzy chłopca pojawił się przelotny uśmiech przez łzy. Wycofał się i zaczął się cicho zwierzać ze swego sekretu Ninie, przysunąwszy się do niej blisko i zasłoniwszy ręką usta.

Kiedy Anna skończyła swoją pracę i umyła ręce, stanęła przy krześle matki. - A może byśmy pokazały panu Burdenowi naszą nową piwnicę na owoce? - spytała.

Ruszyliśmy przez podwórko z dziećmi deptającymi nam po piętach. Chłopcy stali przy wiatraku i rozmawiali o psie; kilku spośród nich pobiegło przed nami, żeby otworzyć drzwi do piwnicy. Zeszliśmy na dół, a wszyscy udali się za nami, przy czym chłopcy wydawali się równie dumni z tej piwnicy jak dziewczęta.

Ambrosz, chłopiec o myślącym wyrazie twarzy, ten, który wskazywał mi drogę pośród śliwkowego gąszczu, zwrócił moją uwagę na grube ściany z cegły i cementową podłogę. - Trochę daleko od domu - przyznał - ale zimą prawie zawsze jest ktoś z nas pod ręką, żeby przynieść, co trzeba.

Anna i Julka pokazały mi trzy beczułki, jedna pełna solonego kopru, druga siekanych pikli, a trzecia marynowanych skórek arbuza.

- Nic uwierzyłbyś, Jim, ile trzeba, aby ich wszystkich nakarmić! - wykrzyknęła Antonia. - Powinieneś zobaczyć, ile chłebu pieczemy we środy i soboty! Nic dziwnego, że ich biedny papa nie może się wzbogacić. Ileż on musi kupić dla nas cukru, żeby zrobić przetwory. Mamy własną pszenicę, którą mielemy na mąkę... ale o tyle mniej możemy sprzedać.

Nina i Jan, i malutka dziewczynka, której było na imię Lucie, nieśmiało pokazywali półki ze słoikami. Nic nie mówili, tylko patrząc na mnie wodzili czubkami palców po szkle i wskazywali czereśnie, truskawki i dzikie jabłka, dając mi wyobrażenie o ich smakowitości błogim wyrazem twarzy.

- Pokaż mu, mamó, marynowane śliwki. Amerykanie tego nie znają - powiedział jeden ze starszych chłopców. - Mama używa ich do robienia kołaczy - dodał.

Leo, po cichu, rzucił jakąś pogardliwą uwagę po czesku.

- Myślisz, że nie wiem, co to są kołacze? - zwróciłem się do niego. - Mylisz się, młody człowieku. Jadłem kołacze twojej matki dawno temu, na długo przed twoim urodzeniem w dzień wielkanocny.

- Zawsze zbyt zuchwały ten Leo - zauważył Ambrosz wzruszając ramionami.

Leo schował się za matkę i uśmiechnął się szczerząc zęby.

Skierowaliśmy się w stronę wyjścia; Antonia i ja wyszliśmy pierwsi, dzieci czekały. Rozmawialiśmy stojąc już na zewnątrz, gdy nagle wszyscy wypadli, duzi i mali, głowy płowe, złociste i brązowe, błyskając bosymi piętami; istna eksplozja życia z ciemnej grotty prosto w blask słońca. Aż mi się przez chwilę zakręciło w głowie.

Chłopcy poprowadzili nas teraz do frontowej części domu, której jeszcze nie widziałem; na farmie życie toczy się zawsze na tyłach domu. Dach był tak spadzisty, że okap opadał tuż nad gęstwinę wysokich malw, teraz już brązowych i ozdobionych nasionami. W lipcu, powiedziała Antonia, cały dom tonął w tych kwiatach; Czesi, jak pamiętam, zawsze sadzili malwy. Frontowe podwórko ogrodzone było kolcz astym żywopłotem z świętojańskich drzewek, a przy bramie rosły dwa srebrne drzewka z rodziny mimozowatych.

Stąd rozciągał się widok na pastwisko z dwoma sadzawkami i na pas ścierniska, gdzie latem rosło żyto.

W pewnej odległości za domem był gaj jesionowy i dwa sady: czereśniowy z agrestem i porzeczkami pomiędzy rzędami drzew i jabłkowy osłonięty od gorących wiatrów wysokim żywopłotem. Starsze dzieci zawróciły, gdy doszliśmy do żywopłotu, ale Jan, Nina i Lucie przeczołgali się przez jakąś dziurę, tylko im znana, i skryli się pod nisko rosnącymi krzewami morwy. Kiedy tak szliśmy wśród jabłoni rosnących w wysokiej trawie, Antonia co chwila przystawała, aby mi opowiedzieć o tym lub tamtym drzewie. - Kocham je tak, jakby były ludźmi - powiedziała głaszcząc pień drzewa.

- Jak tu przybyliśmy, nie było ani jednego drzewa. Sami wszystkie posadziliśmy, a potem nosiliśmy wodę, żeby je podlewać... po całym dniu pracy w polu. Anton, człowiek z miasta, często się zniechęcał. Ale ja nigdy nie czułam aż takiego zmęczenia, żebym się uwolniła od niepokoju o te drzewa w czasie suszy. Myślałam o nich jak o dzieciach. Często w nocy, jak Anton spał, wstawałam i zanosłam wodę tym biedactwom. I teraz, widzisz, mamy z nich pożytek. Mój mąż pracował w pomarańczowym gaju na Florydzie, zna się więc na szczepieniu drzew. Nigdzie u sąsiadów nie ma ogrodu, który by tak rodził jak nasz.

W środku ogrodu napotkaliśmy altankę obrośniętą winem, z ławkami po bokach i stolikiem z powyginanych desek. Czekala tam na nas trójka dzieci. Patrzyły na mnie nieśmiało, prosząc o coś matkę.

- Chcą, żebym ci opowiedziała, jak nauczyciel urządza tutaj co roku szkolny piknik. Sami jeszcze nie chodzą do szkoły, więc sobie wyobrażają, że szkoła to piknik.

Wyraziłem swój zachwyt nad altanką, po czym dzieci wybiegły na otwarty teren, gdzie rosła gęsta dżungla bławatków, w której kucaly, czołgały się i coś odmierzały sznurkiem.

- Jan chce tam pochować psa - wyjaśniła Antonia.
- Musiałam mu pozwolić. Jest podobny do Niny Harling. Pamiętasz, jak ona się wszystkim przejmowała? On też ma takie zabawne pomysły.

Siedzieliśmy sobie i przyglądaliśmy się dzieciom. Antonia oparła łokcie na stole. Niezmacony spokój panował w ogrodzie otoczonym trzema rodzajami ogrodzenia: płotem z drutu, następnie żywopłotem z kolczastych świętojańskich drzewek i z morw, które chroniły od gorących wiatrów latem, a zimą od śniegu. Żywopłoty wyrosły tak wysoko, że nic wokoło nie było widać, tylko błękitne niebo w górze, nawet dach stodoły i wiatrak nie były widoczne. Poprzez wysuszone liście wina padało na nas popołudniowe słońce. Cały ogród był wypełniony słońcem jak czarka, wokoło unosił się zapach dojrzewających na drzewach jabłek. Owoce na dzikich jabłoniach zwisały z gałęzi w takiej obfitości jak paciorki na sznurku, ciemnoczerwone, z delikatnym srebrzystym połyskiem. Parę kur i kaczek przedostało się przez żywopłot i dziobało opadłe owoce. Kaczory były bardzo przystojne, szaroróżowe, ich łebki i szyje gęsto porastały opalizujące zielenią piórka. Antonia zwierzyła mi się, że zawsze przypominają jej żołnierzy - podobny mundur widziała w starym kraju, gdy była dzieckiem.

- Czy zostały jeszcze jakieś przepiórki? - spytałem. Przypomniałem jej, jak polowała ze mną latem przed wyjazdem do miasta. - Całkiem nieźle strzelałaś, Antonio. A pamiętasz, jak chciałaś nieraz uciec, żeby wybrać się na polowanie na kaczki z Charleyem Harlingiem i ze mną?

- Tak, pamiętam, ale teraz nawet się boję spojrzeć na strzelbę. - Chwyliła jednego kaczora i zmierzyła mu zielone piórka. - Od kiedy mam dzieci, nie cierpię niczego zabijać. Jak mi przyjdzie ukłócić szyję starej gęsi, robi mi się słabo. Czy to nie dziwne, Jim?

- Sam nie wiem. Podobne słowa powiedziała kiedyś królowa Włoch do mego przyjaciela. Niegdyś z zapałem polowała, ale teraz odczuwa coś takiego jak ty i strzela do glinianych gołębi.

- To znaczy, że jest dobrą matką - oceniła z zapałem Antonia.

Opowiedziała, jak przybyła z mężem do tego nowego kraju, gdzie ziemia była tania i na dogodnie spłaty. Pierwsze dziesięć lat były bardzo trudne. Mąż nie znał się na pracy

w polu i często tracił zapał. - Nigdy byśmy sobie nic dali rudy, gdybym nic była tak silna. Zawsze miałam zdrowie, dzięki Bogu, i mogłam mu pomagać w polu, dopóki nie rodziłam dzieci. Nasze dzieci były dobre, opiekowały się jedne drugimi. Marta, która widziałeś jeszcze bardzo malutką, dużo mi pomagała i nauczyła Annę, aby była taka sama.

Moja Marta już wyszła za męża i ma dziecko. Pomyśl, Jim!

Nigdy się nie załamalam. Anton jest dobry, kochałam moje dzieci i wierzyłam, że wyrosną na dobrych ludzi. Należę do farmy. Nigdy się tu nie czuję samotna jak w mieście. Pamiętasz, jakie smutne nastroje mnie czasem ogarniały? Aż nie wiedziałam, co się ze mną dzieje, prawda? Tutaj ich nie miewam. I chętnie pracuję, byle tylko nic mieć smutków. - Podparła ręką policzek i patrzyła na ogród, gdzie słońce stawało się coraz bardziej złociste.

- Nigdy nie powinnaś była przenosić się do miasta, Antonio - powiedziałem zastanawiając się nad jej życiem.

Spojrzała na mnie z ożywieniem.

- Och, cieszę się, że byłam w mieście! Nie potrafiłabym ani gotować, ani prowadzić domu, gdybym nie pracowała u Harlingów. Nauczyłam się też u nich dobrych manier, dzięki którym mogłam lepiej wychować swoje dzieci. Czy nie uważasz, że jak na wiejskie dzieci są dobrze wychowane? Gdyby nie to, czego nauczyłam się od pani Harling. pewnie wychowałabym moje dzieci jak dzikie króliki. Cieszę się, że miałam możliwość się tego wszystkiego nauczyć, ale jednocześnie rada jestem, że moje córki

nic będą musiały tak pracować. Kłopot ze mną był taki, Jim, że nigdy nic mogłam uwierzyć, aby ktoś, kogo kochałam, zdolny był zrobić coś złego.

W trakcie tej rozmowy Antonia zapewniła mnie, że mogę zostać u nich na noc. - Mamy dużo miejsca. Dwaj chłopcy śpią na sianie, do późnych chłodów, chociaż wcale nie muszą. Leo zawsze o to prosi, a Ambrosz idzie /a nim, żeby go pilnować.

Powiedziałem jej, że chętnie będę spał z chłopcami na sianie.

- Wybierzesz sobie, co wolisz. Szafa jest pełna czystych kocy uszykowanych na zimę. Ale teraz już muszę iść, bo dziewczęta zrobią całą robotę, a ja chcę sama przyrządzić dla ciebie kolację.

Po drodze do domu spotkaliśmy się z Ambroszem i Antonem, którzy szli do krów z wiadrami na mleko. Przyłączyłem się do nich, a za nami w pewnej odległości podążał Leo, wybiegając co pewien czas do przodu i strasząc nas zza kępy chabrów: - Jestem królik! - albo: - Jestem wielki wąż!

Szedłem pomiędzy dwoma starszymi chłopcami - byli prości, ładnie zbudowani, mieli kształtne głowy i bystre oczy. Mówili o szkole i nowym nauczycielu, o zbiorach i żniwach, a także o tym, ile wołów mają do karmienia tej zimy. Byli swobodni i ufni, jakbym był ich starym przyjacielem - ale nie nazbyt starym! Czuję się w ich gronie jak chłopak, odżyły we mnie wszystkie dawne, a zapomniane już zainteresowania. Wydawało mi się to tak naturalne, że idę o zachodzie słońca wzdłuż ogrodzenia z kolczastego drutu, w stronę czerwonej sadzawki, a mój cień posuwa się obok, z prawej strony, po krótko przyciętej trawie.

- Czy mama pokazywała panu pocztówki, które przysłał jej pan ze starego kraju? - spytał Ambrosz. - Oprawiliśmy je i wiszą w salonie. Bardzo się ucieszyła, jak je dostała. Chyba jeszcze niczym tak bardzo się nie cieszyła. - W głosie jego brzmiała nuta szczerzej wdzięczności, co wzbudziło we mnie pragnienie, aby dostarczyć więcej takich okazji.

Położyłem mu rękę na ramieniu. - Bo widzisz, wszyscy kochaliśmy twoją matkę. Była śliczną dziewczyną.

- Och, wiemy o tym - odezwali się obaj jednocześnie, jakby trochę zdziwieni, że muszą o tym mówić. - Wszyscy ją lubili, prawda? I Harlingowie, i pana babcia, i wszyscy ludzie w mieście.

- Bo czasami tak bywa - odważyłem się powiedzieć - że chłopcy nie zdają sobie sprawy z tego, że ich matka była kiedyś młoda i piękna.

- My wiemy! - jeszcze raz zapewnili gorliwie. - I teraz nie jest stara - dodał Ambrosz. - Niewiele starsza od pana.

- Jak bym zauważył, że jesteście dla niej niegrzeczni - powiedziałem - to chyba wziąłbym kija i wszystkim bym przyłożył. Nie mógłbym znieść tego, jak byście nie okazywali jej szacunku i traktowali matkę tylko jak kogoś, kto się wami opiekuje. Bo widzicie, ja kiedyś bardzo kochałem waszą matkę i wiem, że nie ma takiej drugiej jak ona.

Chłopcy roześmieli się, sprawiło im to przyjemność, ale i byli lekko zakłopotani.

- Nigdy nam o tym nie mówiła - rzekł Anton. - Ale zawsze o panu dużo nam opowiadała i jakie to były przyjemne czasy. Ma pana zdjęcie, które wycięła kiedyś z gazety z Chicago. A Leo mówi, że poznał pana od razu, jak tylko podjechał pan do wiatraka. Tylko że z Leo bywa rozmaicie, czasami lubi się przechwalać.

Przyprowadziliśmy krowy do domu, aż do samej obory, i tam chłopcy je wydoili, a tymczasem zapadł już wieczór. Wszystko było tak, jak być powinno: mocny zapach słoneczników i chabrów pokrytych rosą, niebo przejrzyste, niebieskie, ze złotym poblaskiem, wieczorna gwiazda, chlupot mleka w wiaderkach, chrupkanie i kwiczenie świń walczących o kolację. Ogarnęło mnie wieczorne osamotnienie, jakie odczuwa chłopak na farmie, kiedy to wszystkie posługi wydają się niezmiennie jednakie, a świat taki daleki.

Stół, nakryty do kolacji, otoczony był dwoma długimi rzędami niespokojnych główek w świetle lampy i oczami wpatrzonymi niespokojnie w Antonię, która siedziała na honorowym miejscu i napełniała talerze podając je kolejno. Dzieci siedziały wedle ustalonego porządku: małe obok starszych, które czuwały nad ich zachowaniem i

jedzeniem. Anna i Julka co pewien czas wstawały od stołu, aby podać świeże kołaczki i dzbanki z mlekiem.

Po kolacji udaliśmy się do salonu, żeby Julka i Leo zagrali dla mnie. Antonia poszła pierwsza z lampą w ręku. Nie starczyło krzeseł dla wszystkich, młodsze dzieci usiadły więc na gołej podłodze. Mała Lucie szepnęła mi, że kupią sobie dywan do salonu, jeżeli sprzedadzą pszenicę po dwadzieścia centów. Leo, po dość długiej chwili zamieszania, zaczął grać na skrzypcach. Był to stary instrument pana

Nimordy, którego Antonin /nwszc tuk str/egła, trochę Jeszcze zu duży dla chłopcu. tłał Jcdnnk bardzo dobrze Jnk nu samouka. Wysilki biednej Julki nie były luk udane. Kiedy grali, mała Nina wstała ze swego kata, wys/łu na środek pokoju i zaczęła wykonywać całkiem ładny taniec bosymi stopami na deskach podłogi. Nikt nie zwracał na nh| uwagi i kiedy skończyła, umknęła i usiadła obok brata,

Antonia powiedziała coś do Leo po czesku. Spoważniał i /marszczył czoło, Chciał najwyraźniej zrobić kwaśna minę. ale tylko poiwor/yły mu się zmarszczki w zupełnie niezwykłych miejscach na twarzy, Pr/e/ chwilę naciskał i kręcił kołkami; po c/y m /ac/i) grać czeskie melodie, bez akompaniamentu, ale nawet lepiej mu s/ło, Mył to lak ruchliwy chłopiec, że nie miałom możliwości pr/yjr/cć się Jego Iwa r/y, Moje pierws/e wrażenie było slus/nc; r/ec/ywłś- cie przypominał fatum, Na jego głowie nnjhard/lcj widoczno były uszy, u kasztanowe włosy rosły mu bujnie na szyi. Jego oczy nio były lak s/c/oro i ro/.stawione szeroko jak u pozostałych chłopców, były głęboko osad/one, /iclouo/łole 1 wydawały się być wrażliwe na światło, Antonia powiod/iała, że on jeden częściej się kalcc/y. niż ws/yscy ra/om wzięci, /aws/c próbce jeździć na żrebakach jes/c/e nic okiełzanych, drażni się / indorem, to /nów sprawdza, jak długo hyk /niesie kolor czerwony albo juk ostru jest nowa siekiera.

Po skończonym koncercie Antonin przyniosła pudełko polne fotografii: onu / Antonem w ślubnym stroju, trzymający się za rękę; jej brat Ambrosz z hard/o lęgi) żoni). która mu własna farmę i krótko tr/yma mężu. co ml uprawiło prawdziwa przyjemność; tr/y c/eskie Murio i ich liczne rodziny,

- Nie uwierzyłbyś, jakie to solidne d/lowc/yiny - /a* zmtc/yłn Antonia. Muriu Svohodn robi najleps/e masło w tym kraju i świetnie prowadzi interes. Dzieci jej będą miały wielkie s/unse w życiu.

Auloniui pi/ogłądała fotografie, u wszystkie młode Cu/aki siały /,a Jej krzesłem patr/iic nu zdjęciu prze/. ramię mutki z ogromnym /ainlercsowunicm, Nina i Jan usiłowali coś zobaczyć, ale wyższe d/ieci lm /usłuniały, przyniosły więc sobie krzesło i sianaws/y na nim spokojnie patrzyły, Mały chłopc/yk /upomniał o swym onieśmieleniu i śmiał się zadowolony oglądając znajome mu twarze, W całej gromadce skupionej wokół Antonii wyczuwałem prawdziwa harmonię, Wszyscy przechylali się to w tę, to w tamtą stronę, nic obawiając się, że ktoś kogoś dotknie, Przypatrywali się zdjęciom z najwyższym uznaniem; na niektóre patrzyli z zncchwytem. luk jakby postaci z dzieciństwa matki były zupełnie nic/wyklc. Najmłodsze dzieci, nic znające angielskiego, s/eplały swoje uwagi w ich bogatym, starym języku.

Antonin wyciągnęła fotografię Leny, która w ubiegłym roku otrzymała z San Francisco na Boże Narodzenie.

- Czy ona lak wygląda? Nie była już w domu sześć lał,

I nk, dokładnic tak wygląda Lena, powiedziałem, przy* stojna kobieta, trochę zbyt pulchna, w za dużym kapeluszu, ale le su mc oczy z sennym wyrazem i te same niewinne dolec/ki, wciijż jeszcze zaczajone w kącikach ust.

Było też zdjęcie Frances Harling w obszytym sutaszein kostiumie do konnej jazdy, który tak dobrze pamiętałem.

- Juka ona ładnu! - cicho szepnęły dziewczęta. Wszyscy się z tym zgod/ili. Widać było, że Frances przeszła do rodzinnej legendy jako bohaterka. Tylko Leo na nic nie reagował.

« A oto pun I larling w swoim długim filtrzc. Był bardzo boguty. prawda, manio?

- Nie jest Kockefcllerem! ~ wtrącił Leo niskim głosem, Nulychmiast przypomniulo mi się, jak to pani Szimerda powiedziała kiedyś do mnie, że mój dziadek "nic jest

Jezusem". Jego ciągły sceptycyzm był jakby bezpośrednim dziedzictwem po leją kobiecie,

- Nie wysilaj się! - /ganił go Ambrosz.

i .co pokażni mu prężny, czerwony język, ale już za chwilę wybuchnął chichotem na widok dwóch niewygodnie usadowionych mężczyzn i niezgrabnego chłopaka w workowym ubraniu pomiędzy nimi; Jake, Otto i ja! /robiliśmy to zdjęcie, pamiętam, kiedy pojechaliśmy 4 Lipca do Black Hawk w pierwszym roku mego pobytu w Nehrasco. /przyjemnością /obaczyłem znowu uśmiech Jake'» i srogie wi)sy Otto. Młode Cu/aki wiedziały o nich wszystko.

- To on zrobił dziadkowi trumnę, prawda? - spytał Anton.

- Zaczne to były chłopaki, prawda, Jim? - Oczy Antonii zaszczyły łzami. - Do dziś odczuwam wstyd, że się tak pokłóciłam z Jake'iem. Byłam w stosunku do niego zuchwała i niegrzeczna, Leo, co się nieraz ludziom zdarza, a szkoda, że nikt mnie wtedy nie zgał.

- Ale to jeszcze nie koniec, jeśli chodzi o pana - ostrzegli mnie. Pokazali moje zdjęcia zrobione tuż przed odjazdem do college'u: wysoki chłopak w spodniach w paski i słomkowym kapeluszu, usiłujący wyglądać swobodnie i beztrusko.

- Niech nam pan opowie - rzekł Charley - o grzechotniku, którego zabił pan w siedlisku psów preriowych. Jaki był długi? Mama raz mówi, że miał sześć stóp, a innym razem, że pięć.

Te dzieci łączył z Antonią podobny stosunek, jak niegdyś dzieci Harlingów. Były tak samo z niej dumne i tak samo łaknęły jej opowieści i zabawy z nią, jak i my w owych czasach.

Dopiero o jedenastej wieczorem wzięłem torbę i koce i razem z chłopcami poszedłem do stodoły. Antonia odprowadziła nas do drzwi, ale jeszcze trochę ociągaliśmy się, żeby popatrzeć na białe zbocze z zagrodą dla bydła i dwie sadzawki uśpione w blasku księżycy, a także na rozległe pastwisko pod gwiaździstym niebem.

Chłopcy kazali mi wybrać miejsce, więc ułożyłem się pod dużym oknem, otwartym, bo noc była ciepła, skąd mogłem patrzeć na gwiazdy. Ambrosz i Leo wtulili się w siano tuż pod strzechą i leżeli chichocząc i coś do siebie szepcząc. Łaskotali się, podskakiwali i turlali w sianie, a potem nagle umilkli. Nie upłynęła minuta, a już spali głębokim snem.

Długo nie zasypiałem, wolno przesuwający się po niebie księżyc minął moje okno i powędrował w górę. Rozmyślałem o Antonii i jej dzieciach: o Annie, tak troskliwej dla matki, o pełnej powagi miłości Ambrosza, o Leo, który obdarzał matkę zazdrosnym uczuciem małego zwierzaka. Cóż to był za widok, gdy wszyscy wytoczyli się z piwnicy na światło dzienne! Warto było przemierzyć długie mile, aby to zobaczyć. Antonia zawsze pozostawiała po sobie wizje, które nigdy nie blakły - z upływem czasu nabierały nawet mocniejszych barw. W mojej pamięci było wiele takich wizji, utrwalonych mocno niczym drzeworyty w elementarzu: Antonia uderzająca bosymi stopami o boki mego kucyka podczas tryumfalnego powrotu z wężem; Antonia w czarnym szalu i futrzanej czapce stojąca nad grobem ojca w zawieci śnieżnej; Antonia z zaprzęgiem koni na tle wieczornego nieba. Reprezentowała te odwieczne postawy ludzkie, które instynktownie uznajemy jako powszechne i prawdziwe. Nie doznałem zawodu. Była teraz spracowaną kobietą, a nie uroczą dziewczyną, ale wciąż było w niej coś, co rozpałało wyobraźnię, potrafiła zadziwić jednym spojrzeniem lub gestem, objawiając znaczenie rzeczy całkiem zwyczajnych. Mogła tylko stanąć w ogrodzie, położyć rękę na pniu drzewa i spojrzeć w górę na jabłka, a już czuło się, jak wspaniale jest sadzić drzewa, pielęgnować, a potem zbierać owoce. Cała moc jej serca objawiała się w jej ciele, które niestrudzenie służyło wspaniałomyślnym uczuciom.

Nic dziwnego, że jej synowie by U wysocy i prości. Antonia to bogata kopalnia życia, jak założyciele dawnych plemion.

II

Kiedy zbudziłem się rano, przez okno wpadały długie smugi słońca, sięgające pod samą strzechę, pod którą spali chłopcy. Leo już się zbudził i łaskotał nogę brata suchą łodyżką rudbekii, którą wyciągnął z siana. Ambrosz go szturchnął i przewrócił się na drugi bok. Zamknąłem oczy i udałem, że śpię. Leo położył się na plecach, podniósł w górę jedną nogę i zaczął wyginać palce. Chwytał nimi suche kwiaty i wymachiwał w

smudze słońca. Zabawiał się tak przez pewien czas, po czym uniósł się na łokciu i zaczął się mnie przyglądać uważnie, potem krytycznie, mrugając w słońcu oczami. Wyraz jego twarzy był zabawny; trochę mnie dyskwalifikował. "Ten facet wcale nie jest inny niż

wszyscy ludzie, Nio /na mojej tajemnicy", Wydawało się, że świadom Jest, Iż polriitł żarliwiej się cios/yć niż więk s/ość lud/,i; ONI|(I/Ml ws/yslko s/yhko, nio nildl cierpliwości do sądów przemysłu nych. Wiod/.litł to, co chciitł wiedzieć, i w nic głębiej nio wnikul.

Ubrałem nio nu winni©, n umyłem w zimnej wodzie w wiulruku, W kuchni c/ekulo Już gotowe śniulunle, u Julku smużyła naleśniki, 'lr/ej ul u rui chłopcy wyruszyli nu pole wcześniej runo. Leo i Julku mieli jechać do miasta po ojcu, który wrncuł / Wilher południowym pociągiem, /jemy lyłko lunch w południe - wyjaśniła Antoniu u on kolację, Juk już pr/yjed/lc nusz lulu. bodziemy mieli gęś, llnrdo bym chciula, /aby mogłu przyjechać i po/,nać ciebie Mmin, Maja lora/ Forda I dzięki lomu wydaje mi się, że nie sn lak daleko, MIJż joj okropnie Jesl pr/ojęty swoja larnia. chce, żeby tam wszystko było jak lr/oba i przeważnie wyjeżdżujii lyłko w niedzielę, To pr/yslojny cliłopuk i kiedyś hędzle bogaty. Wszystko mu się puli w.rękach, A icli d/iecko, kiedy jo lu przywożą, wygląda juk muły księżę, Marta pięknie Je chowa. Teraz już się pogodziłam, że jest daleko ode mnio, ale z początku lo tuk plakiitui, jakbym ją wkładała do trumny,

Myliłmy w kuchni siuni, po/u Annę, która wlewała śmietanę do masolniey. O lak. aż wstyd nam było /a innmę, Chodziła i płukułu, u pr/ocioż Murlu hyłu szczęśliwa i ws/yscy byliśmy /ndowoleni. Joe miuł naprawdę cierpliwość dla ciebie, mamusiu,

Antonia pr/yłuknęła I uśmiechnęu Mię, - Wiem, że to głupie, ule nic im lo nie mogliim porud/ić. Chciulom, żeby hyłu luluj. Od urodzeniu nio rozslawnłnm się z nii) nawet on jeden dzień, Odyhy Anton miał jakieś /astr/eżenia. kiody hyłu dzieckiem, ulbo chciał, żebym ja /osluwila u mulki« nigdy bym /u niego nio wys/ła. Nic mogłubytii. Alo on kocluił Ja Juk wliouii) córkę.

.lu nuwel nio wlozdiuiliim, że Murlu jest moja pr/yroduia siostra, dopóki nio /oNtała nar/ec/ona .loego - /wier/yła się Annu,

Po południu wjechał wól, / Antonem I najstarszym synem, Palilem papierosa w ogrodzie i wyszedłem stamtąd go powitać. Antonia nadbiegła z. domu i objęła obu mężczyzn z tuku serdecznością, jakby ich nic widziała parę miesięcy.

"Tulu" wzbudził we mnie zainlercsowanic od pierwszego wejrzeniu, Był niższy od swoich starszych synów; przygarbiony mały człowieczek, w wywiniętych butach, jedno ramię miał wyższe, Poruszał się jednak szybko, wyglądał nu energie/,nogo człowieka. Miał czerstwą cerę, gęsto czarno włosy, lekko posiwiałe, podkrecony wąs i czerwono usty, W uśmiechu pokazywał mocno zęby, z których jego żona była lak dumna, a kiedy mnie zobaczył, z, jogo żywych, figlarnych oczu wyczytałem, że wic o innie wszystko. Wyglądał nu filozofii / poczuciem humoru, który przygiął jedno ramię pod ciężarem trudów i szedł naprzód ciesząc się życiem, kiedy tylko było lo możliwe. Pospieszył naprzeciw mnie i wyciągnął mocną dłoń, opaloną i gęsto owłosiona. Był w świątecznym ubruniu, bardzo grubym i za ciepłym na laką pogodę, miał nickrochmaloua białą koszulę, niebieski kruwut w duże białe grochy, jaki noszą chłopcy, zawiązany w węzeł. / miejsca zaczął opowiadać o swoim wyjeździe

/ grzeczności mówił po angielsku,

« Mama, szkoda, że nie widziałaś tańca damy na drucie w nocy na ulicy, Pus/c/ują na nią jes/c/c światło, u ona unosi się w powietrzu, coś pięknego, jak ptak! Mają tańczącego niedźwiedzia, całkiem jak w starym kraju, dwie ulbo trzy kuruzele i ludzi w balonach. A juk się nuzyw, Rudolf, to wielkie koło?

- Diabelskie koło - włączył się ninkim hurytonem do rozmowy Kudolf, Miał ponad sześć stóp w/rostopu, a klatkę piersiowa jak młody kowal. Wczoraj wieczorem wybraliśmy się nu wielkie tuńce w su li za gospoda, mam, i i u uczyłem z, wszystkimi d/iowc/ętami, tak samo jak ojciec. Jeszcze nigdy nie widziałem tylu ludnych

dziewcząt, Ilyło to na pewno /gromad/enio imigrantów, Nie słyszeliśmy ani słowa po angielsku na ulicy, tylko wśród lud/i nu występach, prawdu, papa?

Cuzak przytaknął, - I dużo ludzi przysyłu ci pozdrowieniu, Antonio. Wybaczy pan - /wrócił się do mnie § że jej

meyt- "';/.' •'>■ '* i pr/t, / mm
 »• f;/)* v ffy.l
 'fc itie l ttlf Wy tyk
 xy/fy/K /&m '/W/M&H* v A_t*/^*
 ';/;■*//>-/•; 'A/W&t* fi/G/ 4/^t
 ^ wysyr/M, w / t/M•> v/ ljk.4'
 y/fUsrul&to /A > /A //j/y&S >\A_t* / "AM V yw » /?>%', r&f
 majtt* ifrs, yt/A u / * /M\ ^-y/,/*'//^
 ft ff&H* y/WsWp*
 /.lir* gH^ftitiiffygJp tfl&fc&k /
 fA_t?, me lftAte tyz/yy?^*-^/, f-yA* /w*
 * '-tatL tM# 0y /y/fi/sAW -WG/MAM/iytMr&s
 fsdłsżs&fy r ■ Ś/M& h
 /ztytmu***^ />* p* yAt&*e/A#f< i HrtMt* ff
 wpsómt&y *e. /t & */ &
 4*ii*** mm
 iw J IJlWWJWI ■ **
 -- ■ ^n*¹ jurwu '/je* ifr
 Ż/P
 * w/ fcy -
 y/t, /A_twto* // f Wffto */ Myf / / f
 / /A f \ » yM f.'_r
 //rf/vA<A_t Y' Mfflfo
 » i M //^s/y.^CA_t- .sUr /■ i/
 #/ŚM+/IS/ / ifA_t'te
 fffiSE_tffftpt)W•na_tfai.y toyA_t
 / mtrtf 0,4(0 i m fcw/
 p!} y<t44!Mt fff fyffó (r-^A. / a w fyp>#
 ty, </.' Z' A_t,/f yr-4. /r, -t/4 ' *
 A_tf 4&//r 00\$\$\$//; U'/ y?>ń*A>
 yy4 fi,- A u// ' **/ f> j A/tfy i */A_t y,
 /HWwtfto -a- A / w
 t md * J*/* yfó/yty vy
 yt/ypt***, # Hut"
 ył/fy # ^yn KWA- y/trikm**
 fa0&%/4> 'W iM&MMA_t
 Ws* M* tkwi yt/6/ wM
 /■tifa** /M/A_t' ^ /M
 * * <' -w -9 ŚMNt tm

znanym i Antonii, i mnie, a poznanym w szczególnych okolicznościach. Już się mocno zestarli. On wysechł i wyglądał jak stara, żółkła małpa, bo jego broda i resztki włosów na głowie nie zmieniały koloru. Pani Cutter pozostała tak samo czerwona i miała tak samo błędny wzrok, ale po latach została dotknięta paraliżem, a jej nerwowy tick głową przerodził się w ciągle drzenie. Ręce tak jej się trzęsły, że już nie mogła dłużej szpecić swej porcelany, biedaczka! Starzejąc klócili się coraz częściej o to, jak ich majątek zostanie rozdysponowany. Wydano nowe prawo w tym stanie, które zabezpieczało wdowie trzecią część mienia męża. Cuttera pożerał strach, że jego żona może żyć dłużej niż on i że „jej rodzina”, której tak strasznie nienawidził, może odziedziczyć majątek. Ich kłótnie na ten temat docierały nawet poza granicę rosnących w pobliżu cedrów i słuchać mógł ich na ulicy każdy, kto tylko chciał się zatrzymać.

Pewnego rana, dwa lata temu, Cutter poszedł do sklepu żelaznego i kupił pistolet mówiąc, że chce zabić psa, a przy tym dodał, „że i starego kota ustrzeli, jeśli mu się napatoczy”. (W tym momencie dzieci przerwały opowieść Rudolfa parsknąwszy śmiechem.)

Cutter poszedł na tyły żelaznego sklepu, zawiesił tarczę i ćwiczył strzelanie dobrą godzinę, po czym udał się do domu. O szóstej wieczorem, kiedy parę osób przechodziło koło domu Cutterów wracając do domu na kolację, rozległ się strzał. Przechodnie zatrzymali się patrząc na siebie z niedowierzaniem i wtedy usłyszeli następny strzał z okna na górze. Wbiegli do domu i znaleźli Wicka Cuttera leżącego na sofie w sypialni na piętrze, z przestrelonym gardłem, krwawiącego na prześcieradła, które położył przy głowie.

“Wejdźcie, panowie - odezwał się słabym głosem. - Jak widzicie żyję i jestem w pełni świadomy. Jesteście świadkami, że przeżyłem moją żonę. Znajdziecie ją w jej pokoju. Proszę, sprawdźcie od razu, żeby nie było nieporozumienia”.

Jeden z sąsiadów zatelefonował po doktora, a pozostali poszli do pokoju pani Cutter. Leżała na łóżku, w koszuli nocnej i szlafroku, otrzymała strzał prosto w serce. Mąż musiał wejść, gdy odbywała popołudniową drzemkę, i zabił ją przyłożywszy pistolet do jej piersi. Koszulę nocną miała osmaloną od prochu.

Przerażeni sąsiedzi popędzili z powrotem do Cuttera. Otworzył oczy i rzekł wyraźnie: “Pani Cutter nie żyje, panowie, a ja jestem przytomny. Moje sprawy są w całkowitym porządku”. Po czym Rudolf dodał: - Westchnął i umarł.

Na jego biurku koroner znalazł list napisany o piątej po południu. Stwierdzał w nim, że przed chwilą zabił żonę, że jeżeli zrobiła potajemnie jakkolwiek testament, to jest nieważny, ponieważ to on ją przeżył. Wyznał, że zamierza zastrzelić siebie o godzinie szóstej, a potem, jeśli mu sił starczy, odda strzał przez okno w nadziei, że przechodnie usłyszą i wejdą, a wtedy zobaczą go, “nim jeszcze ujdzie zeń życie”, jak napisał.

- Chyba nie przypuszczałeś, że ten człowiek miał aż tak okrutne serce? - Antonia zwróciła się do mnie, gdy Rudolf skończył opowieść. - Żeby zabić tę biedną kobietę tylko dlatego, by nie skorzystała z jego pieniędzy, gdyby wcześniej umarł...

- Słyszał pan kiedykolwiek o kimś, kto by się zabił ze złości, panie Burden? - spytał Rudolf.

Przyznałem, że nigdy nie słyszałem. Każdy prawnik doświadcza ciągle, jak silnym motywem może być nienawiść, ale w mojej kolekcji prawniczych anegdot nie było takiej, która by mogła dorównać sprawie Cuttera. Na moje pytanie o wysokość jego majątku Rudolf odparł, że ponad sto tysięcy dolarów.

Cuzak zerknął na mnie z boku i powiedział wesoło: - Prawnicy pewno często się z takimi rzeczami spotykają.

Sto tysięcy dolarów! A więc taką fortunę uciął ze swoich machlojek i dla niej w końcu oddał życie!

Po kolacji poszliśmy z Cuzakiem na przechadzkę po ogrodzie i usiedliśmy przy wiatraku, aby wypalić fajkę. Opowiedział mi o sobie, tak jakby wypadało, abym znał historię jego życia.

Ojciec jego był szewcem, wuj kuźnikiem, a on, jako młodszy syn, został przyuczony do zawodu wuja. Daleko się nie zajadzie pracując dla krewnych, powiedział, więc wyruszył do Wiednia i pracował w dużej kuźnierskiej pracowni całkiem dobrze zarabiając. Jednakże młody człowiek, który lubi przyjemności, nic nie zaoszczędzi w Wiedniu. Co wieczór było dużo okazji, aby wydał to, co zarobił w dzień. Po trzech latach przyjechał do Nowego Jorku. Źle mu doradzono, zaczął pracować przy futrach podczas strajku, kiedy fabryki oferowały duże zarobki. Strajkujący robotnicy zwyciężyli, a Cuzak znalazł się na czarnej liście. Zarobił jednak kilkaset dolarów i wyruszył na Florydę, żeby uprawiać pomarańcze. Po roku ostra zima zniszczyła mu młode drzewka, a sam zapadł na malarię. Przyjechał do Nebraski odwiedzić kuzyna, Antona Jelinka i tutaj się rozejrzeć. Kiedy się zaczął rozglądać, zobaczył Antonię, która była akurat taką dziewczyną, jakiej zawsze w życiu szukał. Pobrali się natychmiast, choć musiał pożyczyć pieniędzy od kuzyna, żeby kupić obrączki.

- Ciężka to była praca, żeby uprawić tę ziemię i zebrać pierwsze plony - mówił zsuwając do tyłu kapelusz i drapiąc się w głowę. - Bywało, że mi okropnie dopiekło i chciałem to wszystko rzucić, ale moja żona ciągle powiadała, że trzeba wytrwać. Dzieci przychodziły jedno po drugim, niełatwo było myśleć o jakiejś zmianie. Ona miała rację, o tak. Jużeśmy teraz wyszli na czysto. Płaciliśmy dwadzieścia dolarów akr, a obecnie dają sto. Dziesięć lat temu kupiliśmy jeszcze kawałek ziemi i już się zwróciło. Mamy dużo chłopaków, możemy obrabiać dużo ziemi. Antonia to dobra żona dla biednego mężczyzny. Nigdy nie jest dla mnie surowa. Czasem piję za dużo piwa w mieście, wracam, a ona nic nie mówi. Nie pyta o nic. Zawsze jest dobrze między nami, jak na początku. Nie mamy zatargów o dzieci, jak nieraz u ludzi bywa. - Zapalił następną fajkę i zaciągnął się z zadowoleniem.

Cuzak okazał się bardzo towarzyski. Zadawał mi niezliczoną ilość pytań o moją podróż do Czech, o Wiedeń, Ringstrasse i teatry.

-Ha! Jak chłopaki podrosną, żeby poradzić sobie z farmą, wrócę tam kiedyś. Jak nieraz czytam gazety ze starego kraju, chce mi się uciekać - wyznał, cicho się śmiejąc. - Nigdy nie myślałem, że tak usiedzę w miejscu.

Wciąż jeszcze, jak mówiła Antonia, był człowiekiem miasta. Po skończonym dniu pracy pragnął teatru, oświetlonych ulic, muzyki i gry w domino. Chęć towarzyskiego życia była w nim o wiele silniejsza niż chęć zarobku. Lubił spędzać dzień po dniu, noc po nocy wśród ożywionego tłumu. A jednak żona potrafiła go utrzymać tutaj, na farmie, w najbardziej odludnym miejscu na świecie.

Wyobrażałem sobie tego małego człowieczka siedzącego co wieczór przy wiatraku, obejmującego czule fajkę i wsłuchującego się w ciszę; stukot pompy, chrupkanie świń, gdakanie kur, gdy zakłócił im spokój szczur. Odnosiłem wrażenie, że Cuzak stał się narzędziem specjalnej misji Antonii. Było to dobre życie, na pewno, ale nie o takim życiu on marzył! Zastanawiałem się, czy życie dobre dla jednego jest kiedykolwiek dobre dla dwojga!

Spytałem go, czy nie ciężko mu żyć bez wesołego towarzystwa, do którego był zawsze przyzwyczajony. Wytrzymał fajkę o stojak, westchnął i wrzucił ją do kieszeni.

-Z początku myślałem, że zwariuję - wyznał szczerze, ale moja żona ma gorące serce. Tyle dobrego od niej zaznałem. Teraz nie jest źle, zaczynam się już bawić z moimi chłopakami.

Kiedy wracaliśmy do domu, Cuzak podwinął rondo kapelusza nad jednym uchem i popatrzył na księżyc. - Ha! - powiedział ściszym głosem, jakby się przed chwilą obudził - trudno mi pojąć, że to już dwadzieścia sześć lat, jakem opuścił stary kraj!

UI

Następnego dnia po obiedzie pożegnałem się i odjechałem do Hastings, skąd miałem pociąg w kierunku Black Hawk. Antonia i wszystkie jej dzieci otoczyły powóz i nawet

maluchy patrzyły na mnie przyjacielsko. Leo i Ambrosz wybiegli naprzód, żeby mi otworzyć bramę. Na wzgórzu obejrzałem się raz jeszcze. Cała grupka stała przy wiatraku. Antonia powiewała swoim fartuchem.

Przy bramie Ambrosz stanął koło powozu i oparł się ręką o obręcz koła. Leo, przeskoczywszy przez płot, wybiegł na pastwisko.

- To cały Leo - rzekł brat wzruszając ramionami.

- Zwariowany chłopak. Może mu przykro, że pan odjeżdża, a może jest zazdrosny. A zazdrosny jest o każdego, kim mama się zajmuje, nawet o księdza.

Stwierdziłem, że żał mi się rozstawać z tym chłopcem, który ma tak przyjemny głos, tak ładną głowę i oczy. Wyglądał już prawie jak mężczyzna, kiedy tak stał bez kapelusza, a wiatr rozwiewał mu koszulę ukazując opaloną szyję.

- Nie zapomnij, że umówiłem się z tobą i Rudolfem na polowanie w Niobrara w przyszłym roku latem. Ojciec zgodził się na wasz wyjazd po żniwach.

Uśmiechnął się. - Na pewno nie zapomnę. Jeszcze nigdy dotąd nikt mi nie zaproponował czegoś tak wspaniałego. Naprawdę nie wiem, dlaczego jest pan tak miły dla nas

- dodał rumieniąc się.

- O, wiesz dobrze, dlaczego! - powiedziałem zbierając lejce.

Nic na to nie odpowiedział, tylko się uśmiechnął do mnie wcale nie zmieszany, a na twarzy jego, gdy odjeżdżałem, widniało zadowolenie i przywiązanie.

Dzień spędzony w Blac Hawk przyniósł mi rozczarowanie. Większość moich przyjaciół już nie żyła, inni zaś gdzieś się wyprowadzili. Obce dzieci, nie mające dla mnie żadnego znaczenia, bawiły się na dużym podwórku Harlingów, gdy tamtędy przechodziłem; ścięto jarzębinę, a z czarnej topoli, stojącej dawniej na straży przy bramie, pozostał tylko sterczący kikut. Przyspieszyłem kroku. Pozostałą część ranka spędziłem z Antonem Jelinkiem pod cienistą topolą na podwórku za barem. Obiad zjadłem w hotelu, gdzie spotkałem jednego ze starych adwokatów, wciąż jeszcze praktykującego, który zaprosił mnie do swego biura, żeby poradzić się w sprawie Cutterów. Potem już nie bardzo wiedziałem, jak wypełnić czas do odjazdu wieczornego ekspresu.

Poszedłem na długi spacer przez północną część miasta, aż ku pastwiskom, na których ziemia była tak twarda, że nikt jej nigdy nawet nie próbował zaorać, a wysoka, strzępiasta, czerwona trawa rosła jak dawniej w dolinkach i na pagórkach. Tutaj poczułem się jak w domu. Jesienny błękit nieba był zupełnie niezwykły; bezchmurny, czysty, gładki jak satyna. Na południu rysowały się mroczne urwiska nad rzeką, które niegdyś wydawały mi się ogromne, a dokoła rozciągały się tak dobrze mi znane jasnozłociste pola. Na równinach kwitły osty tworząc przy ogrodzeniach z drutu jakby barykady. Wzdłuż ścieżek dla bydła pióropusze nawłoci pospolitej splewiałały i stały się ciepłoksamitne, szare, ze złotymi niteczkami. Pozbyłem się tej dziwnej depresji, która wisi zwykle nad małymi miasteczkami, i ogarnęły mnie przyjemne myśli: o podróży, które zamierzałem odbyć z chłopcami Cuzaków do Bad Lands, aż po Stinking Water. Wystarczy Cuzaków na długo, aby miło wypełnili czas. Nawet jeśli już chłopcy urosną, będzie jeszcze sam Cuzak! Zamierzałem przejść z nim kilka mil po oświetlonych ulicach.

Wędrując przez te dzikie pastwiska miałem szczęście napotkać niewielki odcinek dawnej drogi, która wiodła z Black Hawk na północ: do farmy mego dziadka, potem do Szimerdów i norweskiego osiedla. Poza tym wszędzie została zaorana w związku z pomiarami mającej tu przebiegać szosy; ten około półmilowy odcinek to wszystko, co

pozostało ze starej drogi, która niegdyś biegła dziko przez rozległą prerię przylegając do wzniesień, krążąc i klucząc jak królik przed ogarem.

Na płaskim terenie droga niemal całkiem zanikała - ledwie jej ślad widniał w trawie i ktoś obcy mógł jej w ogóle nie zauważyć. Ale tam, gdzie wiodła przez zagłębienia, łatwo ją było odnaleźć. Po przejeżdżających wozach deszcze żłobiły głębokie koleiny, w których ziemia nie wysychała.

Wyglądały jak szramy po niedźwiedzich szponach na zboczach, na które z trudem wjeżdżały wozy farmerów, a koniom od wysiłku naprężyły się muskuły na gładkich lędźwiach. Usiadłem i patrzyłem na stogi siana, różowe w blasku zachodzącego słońca.

Tę właśnie drogę przemierzaliśmy z Antonią wysiadłszy z pociągu w Black Hawk, w słomie na wozie, zdumieni i zdążający w nieznane. Musiałem tylko przymknąć oczy, aby usłyszeć turkot wozów w ciemności i aby znów oładnęła mną ta dziwna obcość. Wszystkie doznania tej nocy były tak bliskie, że mogłem ich dotknąć wyciągnąwszy rękę. Miałem poczucie, że wreszcie siebie zrozumiałem i że odkryłem, jak niewielkie koło zatacza życie człowieka. Dla Antonii i dla mnie była to droga Przeznaczenia; powiodła nas ku tym wczesnym zrządzonom losu, które już wtedy zdecydowały, czym kiedykolwiek będziemy. Teraz zrozumiałem, że ta sama droga znowu nas do siebie zaprowadzi. Jeżeli cokolwiek straciliśmy, to jednak posiadaliśmy wspólną, drogą nam i niezwykłą przeszłość.